

# MAREK KRAJEWSKI

znak



PASOŻYT

# **MAREK KRAJEWSKI**

## **PASOŻYT**

Wydawnictwo Znak  
Kraków 2023



# PROLOG



## RUMUNIA

---

KRÓLESTWO RUMUNII TWORZYŁO jakby sześciokąt, którego bokami, nie licząc Czechosłowacji, były granice pięciu sąsiednich państw oraz wybrzeże Morza Czarnego. Gdyby poprowadzić linie proste pomiędzy środkami przeciwległych boków i połączyć Polskę z Bułgarią, sowiecką Ukrainę z Jugosławią, a Węgry ze środkiem rumuńskiego wybrzeża, to wszystkie owe linie przecięłyby się w środkowej Rumunii w historycznej krainie Wołoszczyźnie, a właściwie w jej sercu, zwanym Wołoszczyzną Małą, niedaleko miasta Călimănești.

Stanowiło ono geograficzny środek kraju, jednak nie z tej geometrycznej osobliwości było przede wszystkim znane, lecz ze swych uzdrowiskowych walorów.

Sława jego ciepłych źródeł docierała niegdyś nie tylko do oddalonego o niecałe dwieście kilometrów na południowy wschód Bukaresztu, ale również do krajów ościennych. Położenie kurortu było jednocześnie piękne – nad malowniczą, szeroką rzeką Alutą w Karpatach Południowych – oraz bardzo korzystne ze względów komunikacyjnych. Călimănești leżało bowiem na przecięciu starych szlaków handlowych, które umożliwiały łatwy dostęp ze wszystkich stron.

W sierpniu roku czterdziestego kapitan Edward Popielski, internowany tutaj od dwunastu miesięcy, nie dbał ani o walory krajoznawcze tej okolicy, ani o strategiczne, ani też o historyczne; uzdrowiskowe także pozostawiały go zupełnie obojętnym.

Centralne położenie tego miasta na mapie Rumunii interesowało go o tyle, że stąd było mu bliżej do ukochanego Lwowa niż na przykład

z Bukaresztu czy z Konstancy. Jednak odległość ośmiuset kilometrów, oddzielających w linii prostej jego miasto od miejsca przymusowego pobytu, napełniała go przerażeniem. Marnym pocieszeniem był dla niego fakt, że mógłby się przecież znaleźć gdzieś o wiele dalej. Tak jak ciężko chorego nie uraduje wiadomość, że gdzieś indziej jeszcze bardziej cierpią, tak i Edwarda – człowieka stęsknionego za ojczyzną – nie mogło przecież napawać otuchą to, że jego tęsknota byłaby dotkliwsza w miejscu bardziej od ojczyzny oddalonym.

Zgrzytając zębami z bezsilności, tkwił tutaj od tragicznego polskiego września, dzieląc los wielu wysokich oficerów Policji Państwowej.

Uciekł za granicę rumuńską, z jednej strony szarpany rozpaczą za rozerwaną przez dwóch wrogów Rzeczpospolitą, z drugiej zaś – zdumiewająco spokojny o sprawy rodzinne. Jego dwie ukochane kobiety, córka Rita i kuzynka Leokadia, znalazły już bowiem schronienie przed barbarzyńską nawałą ze Wschodu. Pierwsza w jednym z lwowskich szpitali, gdzie była bezpieczna, druga w rodzinnej wsi ich służącej Hanny Półtoranos – Strzelczyskach koło Mościsk. Ani tu, ani tam nie sięgały na razie macki siepaczy Stalina, które niewątpliwie zagarnęłyby obie kobiety, gdyby pozostały we Lwowie w ich pięknym mieszkaniu obok Ogrodu Jezuickiego.

Mijając słup graniczny na moście w Zaleszczykach, Edward płakał jako Polak, lecz cieszył się jako *pater familias*. Na razie jeden z jeźdźców apokalipsy ominął jego rodzinę.

Ale i ta radość szybko wyparowała jak poranne mgły nad rozlewiskami Aluty. Przez kolejne miesiące wciąż się zadręczał myślą, czy to jego rumuńskie internowanie nie trąci jednak zdradą ojczyzny. Przekonywał sam siebie, że nie miał wyboru – jako oficer Komendy Wojewódzkiej we Lwowie, fanatyczny antykomunista i wróg Rosji, nie kryjący nigdy swych

przekonań, stałby się natychmiast łupem sowieckiej policji politycznej, która w mieście nad Pełtwią została zasilona dużą liczbą kolaborantów.

A w jego wypadku nawet oni nie byli potrzebni. Ogoloną na łyso głowę komisarza Popielskiego i jego ciemne binokle znał we Lwowie każdy ulicznik i każda dziunia spod latarni.

– Bytowanie Leokadii i Rity uczyniłem bezpiecznym – tak mawiał sam do siebie wygnaniec – a potem musiałem przecież zadbać o własne życie. Ucieczka w te góry była wyjściem najrozsądniejszym.

Mimo takich solilokwiów czuł jakiś niesmak do samego siebie. Potęgował się on zwłaszcza wtedy, gdy inni oficerowie i wojskowi, z którymi znosił różne utrapienia – choćby takie jak czerwonka, malaria czy nieustanne ataki hotelowych pluskiew – jeden po drugim, przekupiwszy strażników, znikali z Rumunii i zasilali szeregi polskiej armii we Francji, a później w Anglii.

Edward chciał iść w ich ślady i nadal służyć Polsce swoim doświadczeniem, nabytym w czasie wykonywania różnych wywiadowczych i kontrwywiadowczych misji, ale popyt na jego usługi okazał się niewielki. Polska potrzebowała teraz żołnierzy, nie szpiegów, a ten pięćdziesięcioletni mężczyzna – mimo swych sił witalnych, którym niekiedy dawał upust w rumuńskich lupanarach – nie był bynajmniej ideałem żołnierza. Inne bowiem siły wyczerpują erotyczne ekscesy, a inne – codzienność okopów, a z tymi ostatni raz miał do czynienia dwadzieścia lat wcześniej, w czasie wojny z bolszewikami.

W oczach zwierchników powracające fale gorączki i malarii również nie poprawiały jego wizerunku – ani jako oficera polowego, ani sprawnego funkcjonariusza służb wywiadowczych. W końcu o nim zapomniano i musiał sam podjąć decyzję co do swoich losów.



Na razie, jak uznał, należy czekać na rozwój wypadków i czujnie obserwować, na ile można, tutejszą scenę polityczną. Dla niego i jego nielicznych już towarzyszy było jasne, że po przewidywanej przez wszystkich abdykacji rumuńskiego króla Karola II i po bardzo prawdopodobnym objęciu rządów przez faszyzującego generała Iona Antonescu ich los może się odmienić – niestety, na gorsze.

Zachowujący się dotąd przyzwoicie Rumuni mogą ulec wtedy swym niemieckim sojusznikom i internowani Polacy wkrótce się zamienią w jeńców wojennych. Aby uniknąć tego losu, był gotów na desperacki krok – ucieczkę do kraju, do tak zwanego Generalnego Gubernatorstwa. Mógł tam – wbrew własnej nienawiści do niemieckiego okupanta – wstąpić w szeregi kolaborującej polskiej policji, gdzie już swój azyl znaleźli niektórzy koledzy z lwowskiej komendy, chroniąc się w ten sposób przed lodową śmiercią Sybiru, przygotowywaną im przez bolszewików.

Ten pomysł wstąpienia do granatowej policji oprócz uratowania w ten sposób głowy miał jeszcze coś innego na celu. Jako funkcjonariusz mógł być jednocześnie skutecznym agentem ruchu oporu, obserwującym z bliska poczynania Niemców.

Czuł się zatem gotów do działań, ale nadal brakowało mu zachęty, ostatecznego impulsu, by porzucić ciepłe źródła Călimănești i uciec do kraju. Wciąż liczył też na jakieś międzynarodowe rozwiązanie trudnej sytuacji przebywających w Rumunii niedobitków polskiej armii i administracji. Nie pojawiało się jednak.

– A może jeszcze uzbroić się w cierpliwość? – szeptał więc do siebie w czasie bezsennych nocy coraz częściej. – I czekać, wciąż czekać, aż pojawi się najmniej ryzykowna okazja opuszczenia Rumunii?

Taka zaś również nie nadchodziła wcale i z dnia na dzień Edward pograżał się w coraz większej goryczy i w decyzyjnym bezwładzie.

Pewnego dnia zrozumiał, że ta trwająca już prawie rok beczynność, przerywana dla zabicia nudy górskimi wyprawami oraz grą w szachy i w karty na pieniądze – co, nawiasem mówiąc, było podstawowym źródłem jego utrzymania – daje mu się już tak mocno we znaki, że to właśnie ona sama w końcu stała się tym wyczekiwany bodźcem.

Jednego z ostatnich sierpniowych dni roku tysiąc dziewięćset czterdziestego podjął w końcu nieodwołalną decyzję: nie będzie już na nic czekał. Wróci przez zieloną granicę do kraju, do Przemyśla. Tam wstąpi do policji. W razie gdyby Niemcy ruszyły na bolszewię, o czym skrycie marzył, mógłby szybko się znów połączyć ze swoimi najbliższymi. A nawet – gdyby tak się nie stało i obaj okupanci pozostaliby sojusznikami – to Leokadia łatwo się przedostanie na niemiecką stronę Sanu w podzielonym na pół Przemyślu, do którego miała nieco ponad trzydzieści kilometrów ze swoich Strzelczysk. Sprowadzenie Rity z lwowskiego szpitala też nie będzie niczym niemożliwym w czasach biedy, gdy na korupcję nie było odpornych. I wtedy rodzina znów będzie razem! W Przemyślu – w mieście, które niegdyś było mu tak bliskie, bo z nim wiązały się dwa ważne epizody jego życia: nauczycielski oraz wojskowy. Podjąwszy decyzję, rozpoczął zatem stosowne przygotowania do opuszczenia Rumunii. Najpierw od zaprzyjaźnionego ze sobą właściciela hotelu pana Liviu Paulescu odebrał wszystkie swoje oszczędności, które Rumun przechowywał w sejfie.

Edward ufał hotelarzowi. Wielkodusznie darował mu niegdyś spory dług karciany, przez co zyskał jego dozągonną wdzięczność. Rumun został jego oczami i uszami w mieście, a nawet jego tajnym agentem w wielu delikatnych kwestiach – takich jak choćby sprowadzenie zdrowej córki Koryntu na nocne uciechy czy też, tak jak właśnie teraz, zdobycie fałszywego niemieckiego paszportu.

Wszystko szło zgodnie z oczekiwaniami. Od pana Paulescu Edward otrzymał lewe dokumenty, rozliczył się ze swym rumuńskim współnikiem, uregulował wszelkie należności w trafice i w restauracji, a niewielkie długi karciane w pobliskim klubie. Nabył bilety na pociąg do Bukaresztu i przekupił strażników rumuńskich, aby o jego zniknięciu powiadomili swych przełożonych z dużym opóźnieniem.

Tego sierpniowego wieczoru miał się już pożegnać z kurortem. Zjadł z panem Paulescu sytą kolację, na którą składała się karafka wina, baranina i mamałyga, uściskał się serdecznie z hotelarzem, spakował swój niewielki wygnańczy dobytek i udał się na ostatni spacer po mieście, które przez prawie rok było jego domem.

Gdy wychodził z hotelu Valcea, natknął się w jego obrotowych, mocno skrzypiących od wilgoci drzwiach na młodego mężczyznę o pociągłej twarzy, dużych odstających uszach i małym wąsiku ocieniającym górną wargę.

– Ja do pana, kapitanie Popielski – rzekł po polsku mężczyzna i wypowiedział swe nazwisko, które już z daleka trąciło fałszem. – Jan Kowalski, spedytor z Konstancy, do usług pana kapitana!

Edward poczuł niepokój – jak zawsze, gdy pojawiała się coś nieoczekiwanego, co mogło poplątać jego plany.

– Dzień dobry, panie Kowalski – odpowiedział tubalnym głosem i kiwnął głową przybyszowi, nie podawszy mu ręki. – Ja żadnych usług od pana nie chcę! Chyba że o czymś nie wiem?

Mężczyzna miał nie więcej niż trzydzieści pięć lat. Był średniego wzrostu, a jego sylwetka prężyła się jak struna. Letni garnitur z białego kortu świetnie na nim leżał. Spod guzików kołnierzyka wystawał nietypowy krawat z dzianiny. Popielski dałby sobie głowę uciąć, że jeszcze lepiej leży na mężczyźnie mundur wojskowy.

– Pojedziemy na wieczorną przejażdżkę, panie kapitanie? – Kowalski uśmiechnął się lekko i wskazał dłonią na automobil marki Adler z opuszczoną budą, w którym siedział kierowca w czapce i w goglach. – Pokaże mi pan stary rzymski fort? Bardzo bym pana prosił...

W jego oczach czaiła się wesołość urwisa, ale duże dłonie zaciskały się lekko w pięści, które budziły już respekt.

Edward milczał. Nie przypadł mu do gustu ten goguś o fałszywym zapewne nazwisku, a zwłaszcza jego nieruchome, świdrujące rozmówcę oczy. Ubiór rzekomego spedytora nagle przestał mu się podobać, a kraciaste podkolanówki, w które były wpuszczone spodnie pumpy, działały teraz na niego wręcz odstręczająco.

– Pozdrowienia od majora Żychonia – powiedział mężczyzna. – Czyżby nie dostał pan od niego króciutkiego listu? Jakies dwa miesiące temu. Mam panu zacytować jedno ze zdań, które szczególnie mi się podobało? No co? Ten list przeszedł przez moje ręce, panie kapitanie...

Popielski zdjął kaszkiet i otarł dłonią pot z głowy. Jego rozmówca nie był z pewnością zwykłym człowiekiem interesu, jeśli cenzurował listy od przedwojennego szefa wywiadowczego referatu Zachód Oddziału II Sztabu Głównego.

– To zdanie... Jak ono brzmiało, panie Kowalski? – zapytał.

– Może lepiej „kapitanie Kowalski” – uśmiechnął się znacząco mężczyzna. – Oto te słowa: „Czas zdrajców się kończy”<sup>1</sup>. No co? Zgadza się?

Zgadzało się. Popielski się uśmiechnął z nieudawaną radością.

Wręcz triumfował w duchu. W końcu się doczekał. Oto przyszedł ktoś, kogo od dawna wypatrywał w tej dziurze. Ktoś z Dwójki. Człowiek od Żychonia, dzięki któremu on, Popielski, znów wejdzie w świat

wywiadowczych zmagani. Znów będzie potrzebny. Moze nawet powroci do Polski?

– Chodźmy! – powiedzial Edward. – Pokazę panu tę rzymską fortecę! A jest co oglądać.

Ruszyli ku automobilowi. Usiedli na tylnej kanapie. Szofer poprawił gogle i zapuścił silnik. Nie ruszał jednak.

Kapitan Kowalski mówił teraz jakby do siebie – cicho, lecz bardzo wyraźnie. Nikt postronny, no, może oprócz kierowcy, w warkocie mechanizmu nie usłyszałby tego komunikatu. Był skierowany tylko do uszu Popielskiego.

– Szofer jest Rumunem, po polsku nie rozumie. – Rzekomy spedytor się uśmiechnął. – Ale do rzeczy. Ma pan wybór, kapitanie. Albo jedzie pan ze mną do Konstancy, a stamtąd statkiem do Triestu, gdzie na pana będzie czekał ktoś od Jania, to jest... od majora Żychonia, albo wiozę pana do Bukaresztu, a stamtąd pan ze swoimi fałszywymi dokumentami, jako Helmut Schlossarek...

Popielski nie mógł opanować zdumienia. Na takie właśnie nazwisko miał wystawiony paszport.

– Dziwi się pan? Pański przyjaciel Paulescu pracuje nie tylko dla pana!

Przybysz musiał być kimś znacznym w emigracyjnych służbach wywiadowczych. Z Żychoniem był na ty, Paulescu dla niego szpiegował.

„Zmyliły mnie te kraciaste groteskowe skarpety i ten wąsik *à la* Clark Gable” – pomyślał Popielski.

– A z Bukaresztu kursują różne pociągi, *Herr* Schlossarek. – Kowalski dotknął ramienia kierowcy. – Na przykład jest taki do Budapesztu, a stamtąd do Krakowa, a stamtąd to już do pańskiego ukochanego miasta...

Przybysz zaczerpnął tchu. Wokół nich kłębiły się spaliny.

– Pułkownik Władysław Smereczyński, szef Związku Walki Zbrojnej Okręg Lwów – ciągnął – chciałby zapewne oficera kontrwywiadu takiego jak pan. Peruka, kilka zmian zarostu na twarzy i żaden batiar pana nie pozna. To co, panie kapitanie? Konstanca czy Lwów?

Ruszyli. Z hotelowego podjazdu wjechali wprost w ulicę Trajana – cesarza rzymskiego, który podbił tę prowincję, zwaną w jego czasach Dacją.

– To drugie – odpowiedział Popielski bez wahania. – Wybieram to drugie. Lwów.

– Dobrze. – Kowalski wpatrywał się w dwie dorożki jadące ulicą i w tłum kuracjuszy spacerujących reprezentacyjnym korso. – Najpierw jednak pojedziemy do rzymskiej fortecy. A tam w ciszy i w spokoju poproszę pana o wyjaśnienie pańskiej roli w dawnej sprawie „Pasożyta”.

Edward milczał.

– Mam nadzieję, że pańska propozycja nie jest równie fałszywa jak nazwisko – rzekł w końcu zgryźliwie.

– Wiem, że wzbudziłem teraz pana nieufność – rzucił lekko dwójkarz. – Ale wykonuję rozkaz. Muszę dokładnie poznać każdy detal tamtej sprawy sprzed czterech lat. Kiedy uznam, że wszystko jest w niej jasne, wywiozę pana do Bukaresztu, a tam na pana będzie czekała salonka. Może nie taka, jaką zwykł pan jeździć na erotyczne eskapady do Krakowa...

– Co pan chce wiedzieć? – przerwał mu ostro Popielski. – Co to znaczy moja „rola w sprawie »Pasożyta«”? Przecież pan wie, że to ja prowadziłem tę sprawę! Pan wszystko wie. Nawet o dziewczynkach, z którymi jeździłem nocnym do Krakowa ze Lwowa.

Kowalski dotknął ramienia szofera. Ten zahamował. Stanęli na środku ulicy Trajana.

– W sprawie „Pasożyta” zginął o jeden człowiek za dużo – rzekł powoli mężczyzna, patrząc Popielskiemu w oczy. – Muszę wiedzieć, dlaczego on nie żyje. I pan mi o tym powie w rzymskiej fortecy. Chyba że mi pan teraz odmówi... To zamiast do Lwowa, zawiozę pana z powrotem do tego zapluskwionego hotelu i na własną rękę będzie pan wracał do kraju.

Edward nie odmówił. Pojechali do rzymskiej fortecy.

---

<sup>1</sup> O współpracy Edwarda Popielskiego z majorem Janem Henrykiem Żychoniem – zob. M. Krajewski, *Czas zdrajców* oraz *Miasto szpiegów*.

## ROZDZIAŁ I MNIEJSZE ZŁO

---

POD KONIEC MAJA roku tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego Lwów sparaliżowały strajki. Tramwajarze porzucili swoje wozy, a służby oczyszczania miasta i dozorczy zaniechali obowiązków. Wieczorami tonące w śmieciach ulice kryły się w mroku wobec absencji latarników domagających się podwyżek. W ciągu dnia na torach tramwajowych siadały żony strajkujących robotników. Nie dopuszczały w ten sposób do kursowania komunikacji miejskiej oraz krzyżowały plany znienawidzonym łamistrajkom. Nieszczęsne i zdesperowane kobiety, nierzadko ze swym wynędzniałym potomstwem, były usuwane przez mundurowych, przez co na głównych szlakach komunikacyjnych miasta wybuchały srogie zamieszki, tłumione policyjnymi motopompami.

Radykalni studenci, zapalczywi narodowcy, wznosili okrzyki przeciwko Żydom i komunistom. Przed kościołami składali publiczne śluby na wierność ideom katolicko-narodowym. Wielu z nich przychodziło w sukurs pogrążonemu w zamęcie miastu – po krótkim przeszkoleniu kierowali tramwajami lub zapalali gazowe latarnie. To ostatnie czynili na ogół nieumiejętnie i niezgrabnie, co wywoływało szyderstwo gapiów.

Czasami agresja tych młodych ludzi przeradzała się w bestialstwo, co szczególnie dotkliwie odczuł tenor lwowskiej opery Franciszek Bedlewicz. Czy to omyłkowo został wzięty za Żyda, czy też dlatego, że nie zdjął kapelusza przed pochodem narodowców – dość, że on i towarzysząca mu kobieta poznali na własnej skórze, jak boli wyładowująca się wściekłość młodych akademików uzbrojonych w kastety.



Policja miała w tych dniach ręce pełne roboty. Nie tylko musiała reagować na rozruchy i walki uliczne, które co chwila wybuchały w różnych rejonach miasta, ale – jakby tego było mało – jej funkcjonariusze nie mogli spuszczać oczu z ukraińskich radykałów, których w tych dniach wielu przyjechało do Lwowa.

Powodem była prawosławna msza żałobna, zwana panichidą, która w cerkwi Świętego Jerzego przy ulicy Franciszkańskiej miała zostać odprawiona w dziesiątą rocznicę śmierci Semena Petlury.

Ów ukraiński żołnierz i mąż stanu – wysoko ceniony przez Polaków, dla których był wiernym sojusznikiem – wśród swoich wywoływał spore kontrowersje. Ci, którzy uważali go za zdrajcę i za sprzymierzeńca znienawidzonych Lachów, stanowili tego dnia zagrożenie – mogli przecież nawet zakłócić atakiem bombowym powagę rocznicowych uroczystości.

O takich właśnie zamiarach doniesiono komisarzowi Edmundowi Futymie, szefowi Centrali Narodowościowej do spraw Ukraińskich przy Okręgowym Urzędzie Policji Politycznej. Ów wysoki funkcjonariusz miał za zadanie dopilnować, aby owe plany się nie ziściły. Jako odpowiedzialny za bezpieczny przebieg obchodów musiał również z racji pełnionej przez siebie funkcji uczestniczyć w owym nabożeństwie.

Siedział zatem teraz tuż obok generała Aleksandra Litwinowicza, starego legionisty i obrońcy Lwowa w walkach polsko-ukraińskich, kręcił się niecierpliwie i co chwila zerkał na zegarek, czekając na koniec nabożeństwa.

Futyma na kolanach trzymał teczkę personalną pewnego funkcjonariusza. To właśnie jej zażądał przybysz z Warszawy, pułkownik Emanuel Krapiński, który po panichidzie miał czekać w pobliskim klasztorze franciszkanów.

W końcu nabożeństwo się skończyło i komisarz, oddawszy honory generałowi Litwinowiczowi, wyszedł przed świątynię.

Odetchnął z ulgą ciepłym majowym powietrzem. W gromadzie wznoszącej niemrawe okrzyki na chwałę Petlury ujrzał kilku swoich agentów. Policjanci mundurowi, ustawieni w półkole, trzymali dłonie na pasach i surowymi spojrzeniami wyszukiwali ewentualnych ukraińskich wichrzycieli.

Futyma ruszył wznoszącą się nieco pod górę ulicą do sąsiadującego z cerkiewną posesją kościoła i klasztoru franciszkanów konwentualnych.

Zastukał w drzwi kołatką. Brat furtian bez słowa otworzył mu bramę i poprowadził go na wewnętrzny dziedziniec, pachnący kwieciem czarnego bzu.

Pułkownik Emanuel Krąpiński czekał na niego na małej ławeczce z papierosem w palcach. Był to mężczyzna w sile wieku, o kanciastej twarzy. Nad nią układały się w czub siwe włosy zaczesane do góry. W jego małych oczach pobłyskiwały przebiegłość i inteligencja, a rozszerzające się co chwila nozdrza dużego prostego nosa zdawały się węszyć wokół jakieś intrygi i podstępny.

Niewysoką, krępa sylwetkę opinał szary elegancki dwurzędowy garnitur z drogiej, delikatnej wełny.

Władczym gestem, nie wstając nawet z ławki, Krąpiński podał Futymie rękę i wskazał mu miejsce obok siebie. Gdy ten usiadł, elegant wyciągnął ku niemu papierośnicę. Futyma, palący wyłącznie cygara, odmówił.

– Kto tu zawinił, panie komisarzu? – zaczął pułkownik bez żadnych wstępów. – No, kto zawinił w sprawie Wełenczuka i Naumiaka?

Futyma doskonale wiedział, o co Krąpiński pyta.

Przybysz z Warszawy dowodził nielicznym zespołem najlepszych specjalistów, których zadaniem było „tropienie kretów w gnieździe”, czyli

zwalczanie szpiegów osadzonych w samym sercu polskiego wywiadu i kontrwywiadu wojskowego, czyli w Oddziale II Sztabu Głównego. Sprawa Stepana Welenczuka i Maksyma Naumiaka zahaczała właśnie o kompetencje tej grupy i wywołała głośny skandal, który rzucał cień na lwowską policję.

Zanim komisarz zdążył odpowiedzieć na to pytanie, pułkownik uniósł palec do góry.

– Ja wiem. – Uśmiechnął się drwiąco. – Ja doskonale wiem, co zaraz usłyszę... Nikt nie jest winny. Tak pan powie, panie komisarzu, prawda? Zbieg niekorzystnych okoliczności. Tak pan będzie się usprawiedliwiał?

Strzepnął popiół na żwirową ścieżkę i spojrzał na okna zakonnych cel wychodzące na wewnętrzny klasztorny ogród. Z kościoła dochodziły dalekie chóralne śpiewy.

– Ale ja jestem starym lisem – mruknął. – Nawet w centrali nazywają mnie Stary. A Stary, jak to każdy doświadczony człowiek, wiele przeżył i wiele wie. Stary jednego jest pewien, tak bardzo jak tego, że jutro nastąpi wschód słońca. Jest pewien, że zawsze ktoś jest winny. Imiennie można go wskazać. I ja przyjechałem po to, aby tego winnego wytropić tutaj, w tym waszym lwowskim grajdole, i wskazać go moim szefom. To oczywiście część wstępna mojej misji. O kolejnych etapach nie musi pan wiedzieć.

– Popielski – Futyma rozpiął teczkę i wyjął z niej plik kartek w kartonowej okładce. – Komisarz Edward Popielski. On jest winny tej kompromitacji...

Krapieński sięgnął po akta osobowe podane mu przez rozmówcę.

– Dobrze – powiedział – zaraz to przeczytam. Ale najpierw niech mi pan powie wszystko. Jak się to właściwie wszystko zaczęło.

\* \* \*

I W TEN CIEPŁY MAJOWY WIECZÓR Edmund Futyma opowiedział wszystko *ab ovo*<sup>2</sup>.

Przed miesiącem jego agenci donieśli, że w Ukraińskim Towarzystwie „Dopomoha Inwalidom” przy ulicy Potockiego 48 są składowane materiały wybuchowe. Szukanych substancji wprawdzie nie znaleziono, ale za to w ręce ludzi z jego centrali wpadło sto egzemplarzy ukraińskiego wywrotowego tygodnika „Nasz Hołos”.

– Po czcionce umiemy ustalić drukarnię, panie pułkowniku – powiedział z dumą Futyma i dodał kąśliwie: – A nawet odczytać tekst. W odróżnieniu od mandarynów z Warszawy mamy tu ludzi umiejących po rusińsku.

Komisarz nie mógł sobie darować wbicia szpilki w nadęty egocentryczny balon Krapińskiego. Nie przekłuł go wprawdzie, lecz na pewno sprawił swemu rozmówcy lekki ból. Świadczyło o tym nagłe zaciśnięcie ust przez pułkownika.

Futyma przyjął ten grymas ze sztubacką satysfakcją. Po pierwsze, przybysz z Warszawy od początku mu się nie podobał, po drugie – musiał się jakoś odszczeknąć za krzywdzące określenie „lwowski grajdół”, którego tamten użył wobec ukochanego „Lembryka”, jak nazywali Lwów jego fanatyczni admiratorzy.

Wytknięcie „warszawskim mandarynom” straszliwej wpadki sprzed dwóch lat było bolesnym ciosem.

Krapiński bardzo dobrze pamiętał tę chwilę, gdy jesienią tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego do rąk Dwójki trafiło tak zwane archiwum Senyka, dostarczone Polakom przez wyjątkowo zgodnie wtedy współpracujące z Dwójką czechosłowackie służby wywiadowcze. W owym archiwum stało czarno na białym, iż trwają intensywne przygotowania do zamachu na ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego.

Niestety, nikt z Dwójki nie dowiedział się o tym zawczasu, nikt owego passusu nie odczytał, ponieważ żaden z warszawskich funkcjonariuszy nie potrafił czytać po ukraińsku! Pół roku później Pieracki zginął z rąk ukraińskich zamachowców.

Pułkownik Krapiński przybrał znów poprzedni – nieco drwiący – wyraz twarzy. Najwyraźniej przetrwał już złośliwość Futymy. Zdusił niedopałek czubkiem dziurkowanego trzewika i zaczął czytać akta osobowe komisarza Edwarda Popielskiego.

Pominał najwcześniejsze wiadomości biograficzne, po czym przeszedł do czasów najnowszych. To właśnie tutaj mógł znaleźć ów ślad winy, którą obarczył Popielskiego komisarz Edmund Futyma.

W roku 1919 ożeniłem się we Lwowie z aktorką Stefanią Gorgowicz, którą poznałem kilka lat wcześniej w Wiedniu. (Żona ma zmarła w 1920 przy porodzie zdrowej dziewczynki, której nadałem imię Małgorzata alias Margarita, alias Rita). Wczesną wiosną 1920 r. zgłosiłem się na front polsko-bolszewicki i walczyłem na terenie ob. województwa poleskiego i wołyńskiego, głównie w okolicach Mozyrza. Jesienią 1920 r. wróciłem z wojny i wstąpiłem do Urzędu Śledczego Komendy Wojewódzkiej Policji Państwowej we Lwowie, gdzie uzyskałem tytuł aspiranta, a rok później podkomisarza policji. Jesienią i zimą roku 1922 zostałem skierowany do czasowej dyspozycji płk. Mariana Swolkienia, szefa Defensywy Politycznej. Od tego czasu do br. brałem udział w czterech operacjach wywiadowczych Defensywy Politycznej oraz Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego, takich jak: „Dziewczyna o czterech palcach” (1922, ściśle tajne), „Pomocnik kata” (1927, jw.), „Miasto szpiegów” (1933–34, jw.) oraz „Czas zdrajców” (1935, jw.). W kwietniu roku 1923 uzyskałem z rąk Pana Ministra Spraw Wewnętrznych awans na komisarza policji. We Lwowie mieszkam do dzisiaj przy ul. Kraszewskiego 3.

Adnotacje służbowe

Dot. umiejętności. Biegła znajomość języka niemieckiego w mowie i w piśmie, bardzo dobra rosyjskiego, słaba: tureckiego i perskiego.

Dot. stanu zdrowia. Kom. Popielski zataił w przedstawionem życiorysie fakt swej choroby. Od roku 1895 (data śmierci jego rodziców) cierpi na padaczkę światłoczułą (*epilepsia photosensitiva*), której ataki powodowane są przez drgające źródła światła. Ona to zmusiła go do zmiany kierunku studiów z matematyki na filologię (wykłady i ćwiczenia z tej dziedziny odbywały się akurat popołudniową i wieczorną porą). Aby się uchronić przed napadami choroby, kom. Popielski nosi czarne cwikiery i za zgodą zwierzchników pracuje głównie w porze nocnej, za dnia śpiąc i pozostając w domu. Choroba kom. Popielskiego i jego nietypowe nocne działania zostały zaakceptowane niegdyś przez lwowskiego Komendanta Wojewódzkiego Policji Państwowej inspektora Waleriana Wilczyńskiego (i niezmiennie są aprobowane przez jego następców) z uwagi na wysoką efektywność działań policyjnych i śledczych wyżej pomienionego.

Dot. moralności i spraw prywatnych.

Primo. Wielu informatorów uważa, iż kom. Popielskiego łączy z kuzynką, panną Leokadią Tchórnicką (mieszkają wspólnie i wychowują Ritę Popielską), większa zażyłość niż ta, jaka przystoi kuzynostwu stopnia pierwszego. Kom. Popielski nie kryje się ze swoją słabością do płci nadobnej i informatorzy przypuszczają, iż jego comiesięczne kolejowe wycieczki do Krakowa (salonką!) w towarzystwie jednej lub dwu młodych kobiet wiadomej reputacji mają charakter pijackich i erotycznych orgij. Do tej pory nie potwierdzono jednak tych pogłosek, wspomnianych kobiet nie zatrzymano ani nie przesłuchano, a zwierzchnicy kom. Popielskiego (inspektorzy Juliusz Brylewski, Walerian Wilczyński et al.) zaprzeczają zdecydowanie tym doniesieniom, nazywając je „plotkami”.

Secundo. W czasie wiedeńskich lat studenckich podstawowem źródłem utrzymania kom. Popielskiego były nie tylko korepetycje z łaciny i z greki, lecz w wielkim stopniu także hazardowa gra w szachy i w karty w kawiarniach.

Tertio. W środowisku przestępczym Lwowa kom. Popielski jest obdarzony przydomkiem Łysy i cieszy się tam osobliwym respektem jako ten, co zawsze dotrzymuje słowa (danego również czynnikom przestępczym!). Tajne śledztwo poprowadzone pod moim kierunkiem nie wykazało żadnych niezgodnych z prawem umów pomiędzy kom. Popielskim a temże środowiskiem.

Quarto. Kom. Popielski jest w zażyłych stosunkach z wieloma Rusinami, między innymi ze znanym lwowskim medykiem sądowym, dr. Iwanem Pidhirnym. Syn dra Pidhirnego Wasyl podejrzewany był o to, iż brał udział w przygotowaniach śmiertelnego zamachu na Tadeusza Hołówkę 29 VIII 1931 r. Aresztowany, zwolniony jednakże z braku dowodów. W czasie wojny polsko-bolszewickiej kom. Popielski zawarł liczne przyjaźnie z Białorusinami, zna osobiście m.in. gen. Stanisława Bułak-Bałachowicza. Kom. Popielski wielokrotnie publicznie ogłaszał swoją nienawiść do Sowietów, tudzież swoją wielką atencję wobec Marsz. Józefa Piłsudskiego, a zwłaszcza wobec jego planów federacyjnych.

Dot. policyjnych spraw wewnętrznych. Dnia 18 sierpnia 1926 r. w Więzieniu Karno-Śledczym, zwanem „u Brygidek”, przy ulicy Kazimierza Wielkiego 24 we Lwowie został zabity niejaki Józef Miętki, skazany za czyn lubieżny na nieletniej Celinie H. Zabójstwa dokonał i przyznał się do niego osadzony tamże niejaki Franciszek Socha, lat 62. Ponieważ Socha był dawnym informatorem kom. Popielskiego, a sam kom. Popielski zareagował bardzo żywiołowo na wieść o zbyt niskim jego zdaniem wyroku na Miętkiego i pobił tegoż (zob. artykuły gazetowe z lipca i sierpnia 1926 r.), pojawiły się podejrzenia, jakoby kom. Popielski był zamieszany w to zabójstwo. O ile mi jest wiadomem, śledztwo w tej sprawie prowadził podkom. Celestyn Brodziński, oddelegowany do Inspektoratu Spraw Wewnętrznych Komendy Głównej Policji Państwowej. Pomieniony śledczy nie stwierdził żadnych nieprawidłowości.

[pieczętka]

Kom. Antoni Cewe

inspektor ds. wewnętrznych

Komendy Głównej

Policji Państwowej

[podpis nieczytelny]

– No ładnie, ładnie – Krapiński postukał kartonową teczką o swoje kolano. – Ale wciąż nie rozumiem, czego wy od niego chcecie!

– Przeczytał pan pułkownik o ciągotach federacyjnych Popielskiego? – zapytał Futyma. – O jego wielkich przyjaźniach z Rusinami? No właśnie. Jedna taka przyjaźń zaważyła całą naszą akcję!

I tu szef Centrali Narodowościowej do spraw Ukraińskich ze złością uderzył się dłonią w kolano.

– To prawda, że Popielski wpadł na trop drukarni, ale w pojedynkę by przecież tego nie dokonał, aż takim geniuszem nie jest, choć lubi pozować na podstępnego Odyseusza. – Futyma był tego dnia złośliwy nie tylko wobec Krapińskiego. – Ma on wielu swoich ludzi wśród Ukraińców. Wydatnie pomógł mu w poszukiwaniach drukarni jeden z nich, były student, niejaki Jurko Czmyr, zwany Żorzykiem. Ów alfons, bawidamek, oszust i fałszerz dokumentów znał doskonale pewne niuanse nie tylko liternictwa ukraińskiego, ale i wielu technicznych aspektów sztuki drukarskiej i to właśnie on podpowiedział Popielskiemu, gdzie działają maszyny drukarskie tłoczące taką oto czcionką jak ta widoczna na łamach „Naszego Hołosu”.

– I to właśnie tutaj przyjazna skłonność do Rusinów dała te godne ubolewania efekty? – wszedł mu w słowo pułkownik.

– Tak – potwierdził komisarz. – Okazało się, że pomieszczenie, w którym znajdowała się prowizoryczna drukarnia, zostało wynajęte przez przyjaciela Popielskiego ze stanisławowskiego gimnazjum, niejakiego



Stepana Wełenczuka, adwokata specjalizującego się w procesach politycznych, gdy na ławie oskarżonych zasiadają jego pobratymcy. A nasz łysy gwiazdor komendy wojewódzkiej, ten dandys w ciemnych cwikierach, przemilczał to, że właśnie Wełenczuk jest najemcą! I za naszymi plecami zawarł z tym Ukraińcem tajne porozumienie, o którym nam powiedział dopiero *ex post*!

– To skandal, panie komisarzu! – Krapiński wstał i spojrzał groźnie na swego rozmówcę. – Pan tutaj pozwala sobie na przytyki i uwagi o mandarynach warszawskich, a sam popełnia karygodne, wręcz szkolne błędy! Jak pan mógł dać sprawę Ukraińców ukrainofilowi?! Nie mogliście tu, we Lwowie, znaleźć kogoś, kto by tę nieszczęsną czcionkę zidentyfikował? Musiał to być właśnie Popielski i ten jego Jurko czy Żorzyk? Nikt z was nie sprawdził, że Popielski i ten Wełenczuk siedzieli w jednej ławce?! To gorzej niż błąd! To zbrodnia!

Na Futymie ta parafraza cytatu z Talleyranda nie zrobiła najmniejszego wrażenia. Zerwał się na równe nogi i wykrzyknął:

– Chętnie to wszystko panu wyjaśnię, panie pułkowniku, zasadą mniejszego zła! Ale pod jednym warunkiem. Że zmieni pan swój oskarżycielski ton, a nade wszystko go pan obniży!

– Uspokójmy się – rzekł pojednawczo Krapiński. – Zapalmy...

Wyciągnął w stronę Futymy papierośnicę.

– Dziękuję – odfuknął częstowany. – Wolę cygara!

\* \* \*

TAJNA UKRAIŃSKA DRUKARNIA WE LWOWIE znajdowała się na brzydkim przemysłowym Przedmieściu Żółkiewskim, w starym, pustym magazynie przy ulicy Żółkiewskiej 176, wśród licznych tutaj – używanych lub opuszczonych – fabrycznych zabudowań.

Owo pomieszczenie magazynowe należało do składu towarów naftowych firmy „Karpaty”.

Ponieważ jej wyroby nie cieszyły się z powodu kryzysu tak wielkim wzięciem jak niegdyś, dyrektor pan Izrael Wachsman, szukając oszczędności, nie tylko wynajmował pomieszczenia, ale nawet wydzierżawiał narzędzia i maszyny do rektyfikacji nafty.

Przy wyborze kontrahentów zbytnio nie wybrzydzał i nie interesowało go, czy wynajmowane pomieszczenie nie posłuży przypadkiem za paserski skład. Wystarczyło, że najemcy dobrze z oczu patrzyło, i Wachsman podpisywał z nim szybko skrócony akt wynajęcia sprzętu lub powierzchni magazynowej.

Stepanowi Wełenczukowi patrzyło z oczu bardzo dobrze. Był kulturalnym, elokwentnym, dobrze ubranym panem. Dyrektor Wachsman był zatem szczęśliwy, że znalazł najemcę jednej z wielu pustych hal, i nie zważał nawet na to, że dowód osobisty opiewający na nazwisko „Antoni Mazur” wyglądał na podrobiony.

Jego posiadacz wynajął magazyn na dwa miesiące i zapłacił z góry. Gotówką. To wystarczyło, by wszelkie wątpliwości Wachsmiana wyparowały jak kamfora.

Jakże się zatem pewnego dnia dyrektor zdziwił, gdy na dziedziniec jego składu fabrycznego wjechał policyjny chevrolet i dwa wozy pełne mundurowych. Z samochodu wysiadł elegancki, wysoki, barczysty mężczyzna, części jego robotników dobrze znany z widzenia – zwłaszcza tym, co byli wcześniej nieco na bakier z prawem.

– Łyssy, Łyssy przyjechał, to zajadły pulicaj, oj zajadły, wściekły! – Takie okrzyki uświadomiły staremu Izraeliccie, że może nie powinien był zaufać „panu Mazurowi”.

Jeden z mundurowych – o groźnym spojrzeniu i potężnej tuszy – kazał Wachsmanowi pozostać w kantorze, a robotnikom zabronił wychodzić z hurtowni. Aby podkreślić wagę swego zarządzenia, sam stanął na progu i swoją masywną sylwetką zablokował przejście, wywołując pod swoim adresem epitety, wśród których „spuchlak” czy „burmyło” należały do najprzychylniejszych.

Tymczasem w magazynowym kantorku Edward Popielski, zwany Łyssym, patrzył w oczy swemu dawnemu koledze ze szkolnej ławy Stepanowi Wełenczukowi.

Policjanci tymczasem opieczętowywali maszyny drukarskie, a jeden z nich wziął do ręki gazetę, która świeżo wyszła spod prasy, i przyglądał się jej czcionce.

– Osobliwie wyglądasz, Edwardzie, na tle tego anonsu – uśmiechnął się Wełenczuk.

Nad łysą głową Popielskiego rozpościerał się plakat z napisem

GLIMAR  
NAJLEPSZE OLEUM PETRAE  
ZAPOBIEGA WYPADANIU WŁOSÓW  
CZYNIĄC JE MOCNYMI

Na rysunku mężczyzna w średnim wieku wsuwał sobie palce we włosy, jakby szarpał gęstą szpakowatą fryzurę, i uśmiechał się szeroko.

– Masz mi coś ciekawszego do powiedzenia, Stefek? – Popielski pochylił się ku dawnemu koledze. – Czy tak będziemy tutaj siedzieć i szutki sobie robić?

– Mam ci coś do zaproponowania. Coś, co ci się bardzo spodoba. Znasz nazwisko Maksym Naumiak? A tak poza wszystkim, to Stepan mi dali na

chrzcie, nie Stefan, jeśli byś tego nie wiedział...

\* \* \*

– NAZWISKO NAUMIAK POPIELSKI ZNAŁ bardzo dobrze – mówił komisarz Futyma wśród gęstniejącego mroku w przyklasztornym ogrodzie. – To groźny bandyta i przemytnik. Sowiecki agent na pograniczu. Wyjątkowa bestia. Gwałciciel i sadysta, za którym rozesłano listy gończe po całej Polsce. Członek bandy Zaran-Zaranowskiego<sup>3</sup>. Ten Naumiak wniknął później w struktury OUN. Ukraińcy po jakimś czasie zidentyfikowali go jako sowieckiego agenta. To jest rzeczywiście groźny agent. Wart czterech drukarni i czterech Wełenczuków.

Policjant westchnął ciężko, był zmęczony już tą długą opowieścią.

– Co to znaczy: „wart czterech Wełenczuków”? Mam rozumieć, że Wełenczuk dał Popielskiemu Naumiaka w zamian za swoją wolność? – zapytał ostro Krapieński.

Futyma przymknął oczy. To była odpowiedź twierdząca.

\* \* \*

– POWINNIŚMY GO BYLI ZABIĆ, EDWARDZIE – mówił Wełenczuk. – Nabić na pal tego Naumiaka. Tyle zła wyrządził. Tylu naszych Moskałom wydał na pograniczu... Młodzież aż się rwie, by go na strzępy rozerwać. Ale ja ostudziłem zapalczywe głowy naszych bojców. Ja go daję tobie. A w zamian wolno odejść. Co ty na to, mój drogi kolego?

Popielski milczał. Nie był bynajmniej przyjacielem tego Ukraińca. Owszem, uczyli się w jednej klasie, razem zdali maturę, jednak w latach gimnazjalnych na co dzień raczej stronili od siebie. Wełenczuk był oschły i zdystansowany, uczył się dobrze i był uczynny – ale raczej dla swoich

rodaków. Każdego, kto spolszczał jego imię na Stefan, nie wyłączając nauczycieli, poprawiał grzecznie, lecz stanowczo. Na żarliwe wiersze romantyków polskich reagował ironicznie, co nie przysparzało mu sympatii wśród Polaków, stanowiących większość uczniów. Jego krytyczna ocena *Ogniem i mieczem* Sienkiewicza, którą to powieść wobec swoich polskich kolegów nazwał „antyukraińską szmirą i prostacką propagandą”, omal nie spowodowała kiedyś na nim klasowego linczu.

Edward go właściwie nie lubił, lecz szanował za uczniowską odwagę cywilną, a później za adwokacką determinację, z jaką bronił swych braci w procesach politycznych. Po latach doktor Iwan Pidhirny, znakomity medyk sądowy z uniwersytetu, współpracownik policji, próbował dawnych kolegów zbliżyć do siebie, ale ani jeden, ani drugi nie wykazywał entuzjazmu dla tych starań. Popielski mógł Wełenczuka nie lubić, ale wiedział jedno – słowo tego człowieka jest wiele warte.

– Puścisz mnie, drogi komisarzu – ciągnął dawny gimnazjalny kolega. – A ja ani tobie, ani państwu polskiemu nie wejdę już w drogę. Wyjeżdżam do Pragi czeskiej, a stamtąd do Kanady, gdzie moja rodzina. I już się więcej nie ujrzymy. Chyba że na sądzie Bożym... Wiesz, że nie kłamię w sprawie Naumiaka, że to nie jest żaden podstęp z mojej strony. Wiesz, że u mnie słowo droższe wszystkiego.

\* \* \*

– TAK, PANIE PUŁKOWNIKU – ciągnął Futyma. – Popielski bez żadnych konsultacji ze mną wypuścił Wełenczuka i dostał od Ukraińców Maksyma Naumiaka. No i oddał go wam. – Westchnął ciężko. – I już dalej to wiadomo, co się stało. Co z nim zrobiliście...

Krąpiński wiedział doskonale. Maksym Naumiak prawie natychmiast po aresztowaniu został wymieniony na dwóch polskich szpiegów na stacji

granicznej w Mikaszewiczach. Ostatnie słowa tego sowieckiego zbrodniarza brzmiały: „Pozdrowić ode mnie Edwarda Popielskiego! Ale serdecznie pozdrowić! A nawet w łysinkę pocałować!”.

To nie był koniec złych wieści. Dwa dni wcześniej na biurko Krapińskiego trafił wyciąg z raportu czechosłowackiego wywiadu, którego nazwa była identyczna jak polska – Druhé oddělení hlavního štábu.

Koledzy z Pragi donosili, że Stepan Wełenczuk stał się dla decydentów z OUN personą nadzwyczaj podejrzaną. Ukraińcy nie dali wiary, iż Popielski przyjął jego propozycję. Długo przesłuchiwali Wełenczuka, sprawdzając, czy nie jest sprzedawczykiem. Oczywiście, żaden wyjazd do Kanady nie doszedł do skutku. Wełenczuk, kiedy już uwierzyli w jego niewinność, został odesłany z powrotem do Polski. Siedzi gdzieś teraz głęboko zakonspirowany, by dalej szkodzić Rzeczypospolitej.

O tym wszystkim Krapiński wiedział, bo wiedzieć musiał. Dzięki owym informacjom mógł zrealizować swoją właściwą misję, której lwowski policjant będzie postacią centralną.

Pułkownik nazwał ją dla swoich potrzeb „wytępieniem pasożyta”.

\* \* \*

SWÓJ PSEUDONIM ŻORŻYK, zdrobnienie od francuskiego Georges, czyli Jerzy, Jurko Czmyr zawdzięczał frankofońskim obyczajom językowym podstarzałych polskich arystokratek i żonom żydowskich nababów.

Dwudziestotrzyletni Czmyr został obdarzony przez naturę olbrzymim seksualnym apetytem i zaspokajał go na ogół w ramionach kobiet niemłodych, bardzo hojnych i nader wyrozumiałych. Branie pieniędzy za to, co i tak lubił, wydawało się najlepszą drogą życiową, jaką mógł pójść ten były student, który za oszustwo – podrobienie podpisu profesora

w indeksie – został relegowany z uniwersytetu. Sądził, że erotyczne usługi, pod warunkiem że nie są homoseksualne, nie plamią honoru mężczyzny.

Bez najmniejszych zatem oporów moralnych świadczył je swobodnie i brał za nie godziwe wynagrodzenie, nie oglądając się na marudzenie moralistów.

Kobiety, które do swych alków zapraszały tego przystojnego bruneta ze starannie przyciętym wąsikiem, nie płaciły mu gotówką za przyjemność. Organizowały natomiast potajemne sesje krawieckie w swych buduarach, gdzie najlepsi lwowscy krawcy brali z Żorzyka miarę i szyli mu garnitury z doskonałej bielskiej wełny. Często wychodził on również – z zaopatrzonymi w sporą gotówkę kamerdynerami owych dam – do luksusowych sklepów z artykułami dla mężczyzn, na przykład do ulubionego magazynu Wacława Czarneckiego przy Hetmańskiej, skąd wracał z nowym portfelem z krokodylej skóry lub z hebanową laską.

Piękny Jurko posiłki – syte i wyszukane – również spożywał w zaciszu damskich buduarów, a nawet w salonach i jadalniach, gdy mężowie jego kochanek byli daleko, najczęściej w zagranicznych podróżach w interesach.

Czmyr nigdy by się nie poniżył do brania pieniędzy od swoich dam, lecz nie gardził prezentami, zwłaszcza że wśród nich były tak kosztowne jak motocykl marki Sokół, ofiarowany mu przez pewną sędziwą i bajecznie bogatą wdowę po fabrykancie.

Żorzyk miał się zatem w co ubrać, miał co jeść, miał czym jeździć, ale musiał też zdobyć fundusze na różne rozrywki oraz na opłacenie czynszu za reprezentacyjne mieszkanie, które wynajmował w jednej z najpiękniejszych kamienic Lwowa przy ulicy Sykstuskiej.

Długo się nie zastanawiał nad tym, w jaki sposób miałyby te pieniądze zarobić.

Jego filmowa aparycja, świetne odzienie i niezrównana elokwencja predestynowały go do roli salonowego lwa. Ponieważ jednak na salonach pieniędzy nie rozdają, Żorzyk postanowił wykorzystać jeszcze jeden niezwykle talent – anielską wręcz cierpliwość połączoną z manualnymi zdolnościami.

I tak Jurko Czmyr, pochodzący z wielodzietnej rodziny grekokatolickiego diaka z wioski Milatycze, został najlepszym lwowskim fałszerzem dokumentów.

Wcześniej czy później musiał napotkać na swej drodze najsłynniejszego lwowskiego „pulicaja”. I tak się rzeczywiście stało. Komisarz Popielski bardzo szybko wziął go pod lupę. To spotkanie mogło skończyć się dla Żorzyka albo wilgotną celą u Brygidek, albo współpracą opartą na obopólnej korzyści. Młodzian nie miał wątpliwości, że to drugie wyjście zapewni mu długoletni spokój. Wybrał symbiozę.

I ta symbioza przynosiłaby dobre owoce obu stronom, gdyby nie zniszczył jej komisarz Edmund Futyma, przeklęty oficer polityczny do spraw ukraińskich.

Ten ponury, często zionący alkoholem typ o kwadratowej mordzie i kaprawych oczach wziął Czmyra na celownik i zaczął go dręczyć pytaniami o Popielskiego. Najwyraźniej podejrzewał Łyssego o kontakty z ukraińskimi radykałami, co zresztą w stanie nietrzeźwym wprost powiedział przesłuchiwanemu żigolakowi.

Żorzyk na początku milczał jak grób i nie zdradzał żadnych wspólnych tajemnic, jakie miał z Edwardem. W obawie o kruchą równowagę zachował swoistą wzajemność i Łyssy również nie dowiedział się od niego o machinacjach Futymy.

Młodzian nie zająknął się ani słowem o tym, że to właśnie on zdobył informację, gdzie mieści się ukraińska drukarnia, i że to właśnie on wydał



Popielskiemu Stepana Wełenczuka.

Indagowany jednak coraz bezczelniej i zajadlej przez Futymę młody człowiek niezbyt mocnego charakteru zaczął się powoli zastanawiać, czyby nie sprzedać jednak swemu dręczycielowi jakichś mało istotnych informacji. Za takie uznał planowaną przez Łyssego akcję w ukraińskiej bursie przy ulicy Zofii Chrzanowskiej.

Żorzyk wiedział o tym planie tylko tyle, że celem Edwarda jest ujęcie jakiegoś groźnego przestępcy. Nie miał zielonego pojęcia, że ów zbrodniarz jest zapłatą za uwolnienie Wełenczuka. Tym bardziej nie przyszło mu do głowy, iż ściga go cała polska policja i każdy, kto go ujmie, będzie wypinał pierś po ordery.

Powiedział zatem natrętnemu i uprzykrzonemu Futymie o tej akcji – tak na odczepnego.

Źle zrobił. Kiedy Popielski zjawił się pewnego dnia o świcie przy ulicy Chrzanowskiej, Futyma już tam był z plutonem mundurowych. Jako szef centrali do spraw ukraińskich przejął dowodzenie akcją. Portier w bursie, niejaki Marko Rudenko, opierał się, nie chciał wpuścić policji. Szybko go spacyfikowano.

Maksym Naumiak, nocujący w piwnicy, został kompletnie zaskoczony i nie stawiał najmniejszego oporu. Futyma w akcie zemsty na niegrzecznym portierze powiedział Naumiakowi, że to Rudenko go wydał.

Policjant wrócił do komendy wojewódzkiej w glorii triumfatora, podczas gdy przeciwko Popielskiemu wszczęto postępowanie dyscyplinarne za wypuszczenie Wełenczuka.

Łyssy miał wielu wrogów i ci już o to zadbali, aby wrzask związany z policjantem zagłuszył prostą konstatację, że to właśnie ten niecny postępek pozwolił ująć Naumiaka. Wtedy w sprawę włączył się sam

komendant wojewódzki inspektor Władysław Goździewski. Jednym pociągnięciem pióra zatuszował całą sprawę.

Uczył to, ponieważ Popielski był jednym z najlepszych jego ludzi. Na tę decyzję nie miały najmniejszego wpływu naciski pułkownika Emanuela Krapińskiego, który wobec Łyssego miał swoje plany.

Najgorzej na całej tej sprawie wyszedł Żorzyk. Za zdradzenie Futymie okoliczności zasadzki na Naumiaka dostał od Popielskiego po mordzie, a ten pięść miał ciężką.

\* \* \*

– NAJBARDZIEJ UBOLEWAM, PANIE PUŁKOWNIKU, że za wypuszczenie na wolność zdemaskowanego działacza OUN Wełenczuka Popielskiego nie spotkała żadna kara – powiedział Futyma, drżąc nieco od wieczornego chłodu, który już ogarnął przyklasztorny ogród. – Owszem, wszczęto przeciwko niemu wewnętrzne śledztwo, ale zaraz je wyciszono. Tak nie może być w praworządnym państwie!

– Powiada pan, panie komisarzu, że nasz łysy bohater nie poniósł kary... – rzekł zamyślony Krapiński. – No cóż, zauważę, że jeszcze... nie poniósł kary. Jeszcze.

To ostatnie słowo zostało wypowiedziane z naciskiem.

– Myślę, że teraz go spotka to, na co zasłużył. Dostanie ode mnie zadanie trudne. Bardzo trudne. Albo się zrehabilituje za wypuszczenie Wełenczuka, albo będzie ścigał koniokradów w pobliskich Lesienicach...

Pułkownik otrzepał z tyłu spodnie, jakby ostatnie pół godziny siedział w sąsięku, nie zaś na wypucowanej przyklasztornej ławce. Potem wyjął z kamizelki kieszonkowy zegarek.

– Co ja tu jeszcze robię? – zapytał z udawanym zdumieniem. – Wszak ów Popielski czeka na mnie w komendzie od co najmniej dwóch kwadransów.

---

<sup>2</sup> Od początku, dosł. od jajka (łac.).

<sup>3</sup> O zbrodniach bandy Marcina Zaran-Zaranowskiego zob. M. Krajewski, *Dziewczyna o czterech palcach*.

## ROZDZIAŁ II MISJA NIEWYKONALNA

---

GRIGORIJ TIMOFIEJEWICZ KARPOW pochodził ze znanej rosyjskiej rodziny, zamieszkującej od trzech pokoleń okolice gruzińskiego Batumi. Rok po tym jak car Aleksander I ogłosił włączenie Gruzji do swego imperium, pradziad Karpowa Wasyl Michajłowicz zjawił się na dobrze nasłonecznionych stokach górskich i w gościnnych gruzińskich chatach zachwycił się smakiem tamtejszego wina. Tenże napój zaczął z sukcesem eksportować na moskiewskie i petersburskie stoły. Jego syn odkrył jeszcze inny walor Gruzji. Będąc w pełni przekonany, że herbata, którą dopiero co zaczęto uprawiać na Kaukazie, jest nie gorsza od chińskiej, postanowił do winnego asortymentu dołączyć suszone liście dające aromatyczny napój z upodobaniem w całym rosyjskim świecie parzony w samowarach.

Uprawiał je na poletkach skupowanych od chłopów, oferując za ziemię – zupełnie uczciwie – stosiki złotych imperiałów, jakich ci spracowani, biedni ludzie nigdy wcześniej nie widzieli.

Jego syn i wnuk rozwinęli rodzinny interes, z wina zrezygnowali, poświęciwszy się wyłącznie produkcji i eksportowi herbaty. W drugiej połowie wieku dziewiętnastego herbaty firmy Karpow stały się znane nie tylko w imperium carów, ale w całej środkowej Europie.

Zamawiano je od Kazania do Wiednia, herbatę Karpowa pito i na studenckich mansardach w Królewcu, i w salonach austriackiej arystokracji, i w pałacach łódzkich fabrykantów.

Ten błogostan trwał do czasów rewolucji, kiedy to herbaciane pola włączono do kołchozów, składy liści zostały znacjonalizowane, a prawie

cała rodzina Karpowów wymordowana przez bolszewików.

Tylko prawnuk legendarnego Wasyla ocalał i uciekł do Turcji. Oszczędności, które miał ze sobą, były niewielkie, ale pozwoliły mu na zahaczenie się w Istambule. Tam odszukał swych dawnych partnerów w interesach, a ci – wykorzystując jego znajomość branży i towaru – zaoferowali mu stanowisko kierownika herbaciarni.

Na tej posiadzie utrzymał się ponad dwa lata – do wiosny roku dwudziestego. Pewnego dnia jego lokal został okradziony, skromne oszczędności zagrabione, sam Karpow brutalnie pobity, a jego żona oraz ich sześćioletnia córeczka omal nie stały się ofiarą chuci bandytów.

A potem zaczęła się wyczerpująca wędrówka tej rodziny przez Morze Czarne, Odessę i Ukrainę ogarniętą pożogą i gwałtami wojny polsko-bolszewickiej. Karpowowie tłukli się koleją, kibitkami, a nawet kaleczyli swe stopy w nieludzkim marszu, aby zimą roku tysiąc dziewięćset dwudziestego wysiąść na tak zwanym dworcu tymczasowym w Warszawie z wagonu klasy trzeciej.

Dawny zamożny człowiek interesu był brudny, cuchnący i biedny jak mysz kościelna, a jego poszarpane ubranie nie przypominało dawnych eleganckich surdutów, w jakich zasiadał w Batumi do negocjacji z kontrahentami.

Jego żona Aleksandra, urodziwa Polka, miała w Warszawie rodzinę, dość zamożną wprawdzie, jednak niezbyt chętną do pomocy „moskiewskiej kochanicy”, jak nazywano – niezgodnie z prawdą – ślubną żonę dawnego importera herbaty. Porozmawiano z nią zdawkowo, po czym pokazano jej drzwi, a służba starannie wywietrzyła przedpokój.

Grigorij Karpow zamieszkał z Olą i z córeczką Nadieżdą przy ulicy Gęsiej w jakiejś żydowskiej norze, której okna znajdowały się tuż nad trotuarem. Wracając codziennie do owego lokum, gdzie czekały na niego

szczury i karaluchy oraz żalosny płacz głodnego dziecka, Rosjanin zaczął roić o samobójstwie. Tylko dlatego go nie popełnił, że nie mógł się zdecydować, czy ma zabić jedynie siebie samego, czy też całą swą rodzinę.

Pani Karpowowa nie wiedziała nic o tych strasznych planach swojego męża. Choć w czasie bolszewickiej nawały uchroniła cześć, to teraz została zmuszona do jej sprzedawania. Jednym z pierwszych jej klientów był młody Rosjanin, który został stałym, a później jedynym kochankiem.

Aleksandra mogła mówić o szczęściu. Nie dość, że była utrzymanką młodego, przystojnego, czystego i hojnego mężczyzny, to ten dodatkowo wspierał ją duchowo i wysłuchiwał jej lamentów z należyty szacunkiem.

Karpow, kiedy się przypadkiem dowiedział o profesji wykonywanej przez żonę, kupił ostry nóż rzeźnicki i postanowił raz na zawsze opuścić ten padół łez. Kiedy ze śmiercionośnym narzędziem wrócił do piwnicznej izdebki, ujrzał w niej owego młodego Rosjanina, który się przedstawił jako Nikołaj Butyrow, zastępca *attaché* kulturalnego w nowo otwartym w Warszawie poselstwie pełnomocnym Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

Jak się okazało po kilku minutach rozmowy, Butyrow znał doskonale koleje losu gospodarza tej ciemnicy i – co nader istotne – miał wobec niego pewne interesujące plany.

I tak z dnia na dzień los Karpowa się odmienił. Za pieniądze poselstwa stał się właścicielem – oczywiście tylko nominalnym – herbaciarni rosyjskiej o nazwie Pod Samowarem. Jego nazwisko, słynne niegdyś w całym imperium, uwiarygadniało go w oczach białej emigracji rosyjskiej, która wkrótce zaczęła tłumnie nawiedzać malutki, choć elegancki i przytulny zakład gastronomiczny przy ulicy Brackiej.

Aleksandra szybko wyrzuciła z pamięci niechlubny rozdział w swoim życiu, Grigorij przestał myśleć o samobójstwie, a Nadieżda,

przemianowana na polską Nadzieję, chowała się zdrowo w nowym, czystym mieszkaniu przy ulicy Świętokrzyskiej.

Pan Butyrow był również bardzo zadowolony. Lokal nie przynosił wprawdzie wielkich zysków finansowych, natomiast spełniał świetnie zadania wywiadowcze, które ów młody bystry Rosjanin wykonywał jako rezydent GPU w poselstwie pełnomocnym, usadowionym w Hotelu Rzymskim.

W lokalu Pod Samowarem organizowano spotkania przy herbacie, które nie budziły niczyich podejrzeń, a których treść podniosłaby w Dwójce alarm bojowy. Lokal dawał bowiem fikcyjne zatrudnienie czynnym sowieckim agentom, legalizował ich pobyt, był wygodnym punktem kontaktowym i skrytką dla fałszywych dokumentów.

Karpow wykonywał zadania typowego agenta technicznego, który – zgodnie z umową zawartą z Butyrowem – w razie zdemaskowania przez polski kontrwywiad miał się wszystkiego wyprzeć, a całą winę zwalić na kelnera Saszę, który był ponoć nie do złamania w śledztwie, a za swoją gotowość poniesienia ofiary brał z poselstwa dodatkowe wynagrodzenie.

I tak herbaciarnia Pod Samowarem wrosła w pejzaż Warszawy, a w Pałacu Saskim, gdzie mieściła się siedziba polskiego wywiadu i kontrwywiadu wojskowego, nikt nie zdawał sobie sprawy, że dwa kilometry dalej szpiegowska centrala przy aromatycznym czaju koordynuje śmiertelnie wrocie wobec Rzeczypospolitej działania.

Ale powoli mijały czasy, gdy dwójkarze tkwili w błogiej niewiedzy. Zabójstwo ambasadora sowieckiego Piotra Wojkowa w roku tysięcznym dziewięćset dwudziestym siódmym i śledztwo, jakie w tej sprawie oprócz policji wszczął polski kontrwywiad<sup>4</sup>, zwróciły uwagę kierownictwa Dwójki na miłą i przytulną herbaciarnię, gdzie Wojkow był raz czy dwa.

Właśnie ta zagadkowa bytność sowieckiego dygnitarza w lokalu, który dotąd uważano za gniazdo nielicznych białych emigrantów i arystokratów, czyli zajadłych wrogów Kraju Rad, zainteresowała polskie służby. Kelner Sasza może i był nie do złamania, ale pieniędzy pragnął jak wygłodniałe dziecko blinów.

To właśnie on w roku trzydziestym przekazał dwójkarzom informację o kłopotach swojego szefa z szesnastoletnią córką Nadzieją, o której krążyły po Warszawie nieprzyzwoite plotki. Funkcjonariusze z Pałacu Saskiego już wiedzieli, jak przycisnąć ojca zachowaniem swawolnej córeczki.

Tymczasem Sowietci również nie próżnowali, rozpoznali działania wroga i podjęli kontrakcję. Najpierw bez śladu zniknął ów kelner, a potem zajęli się Nadzieją.

Odkrywszy zainteresowanie Dwójki niesforną i frywolną pannicą, trzeci już następca Butyrowa postawił Karpowowi ultimatum: albo się upora z krnąbrną córeczką i odbierze Polakom dobry powód do operacyjnych działań, albo zrobią to Sowietci – w sposób, który ojcu na pewno nie przypadnie do gustu.

Karpow załatwił sprawę w ten sposób, że córkę – ku jej gwałtownym protestom – wysłał do wileńskiego Gimnazjum Sióstr Nazaretanek, gdzie mogłaby bez żadnego rozproszenia uwagi doskonalić się w naukach wszelakich i moralności. Jako katoliczka – wyznanie to przejęła po matce, a więc po „linii płci” – została tam przyjęta bez zbędnych pytań.

Dwójkarze, nie mogąc teraz użyć panny jako lewara na ojca, przyznali się do tymczasowej taktycznej porażki, lecz o herbaciarni Pod Samowarem bynajmniej nie zapomnieli.

Na polecenie Kremla miejsce to zostało tymczasowo „zamrożone” jako wywiadowczy punkt techniczny. Sam Karpow uzyskał status śpiocha, czyli



bezczyнного agenta, który będzie wykorzystany w stosownej chwili.

Dwójka, podejrzewając Sowietów o takie właśnie działania, uczyniła natomiast swoim agentem śpiochem jednego z kelnerów.

Agent ów, pomny losu Saszy, swojego poprzednika, nie podejmował żadnych działań. Przez sześć lat milczał, biorąc z Dwójki niewielkie i nieregularne honoraria. I tak nie miałby zresztą o czym meldować, bo w tym czasie Pod Samowarem nic szczególnego się nie działo.

Tymczasem panna Nadzieja Karpowówna wcale się nie usatkwowała. Wróciwszy z Wilna po niezdanej maturze, drwiła sobie jawnie z mieszczańskiej moralności i rzucała się w dziki wir romansów i zabaw. Na skutki tego postępowania nie trzeba było długo czekać.

Pewnego dnia do lokalu jej ojca przyszedł młody przystojny funkcjonariusz z Pałacu Saskiego – dla niepoznaki w czapce studenckiej na głowie – i przy mocnej herbacie z konfiturami poinformował rodziciela, iż panna Nadzieja jest przy nadziei, a nikt – włącznie z nią samą – nie wie, kim jest *spiritus movens* tej radosnej sytuacji.

Kiedy Karpow nie zdążył jeszcze ochłonąć, ów młodzieniec złożył mu propozycję: coś za coś. Albo herbaciarz będzie współpracował z Dwójką, a wtedy wywiadowcy znajdą stosownego kandydata na zięcia, ten ożeni się z panną i wszyscy będą przykładną rodziną, albo Karpow odmówi i Nadzieja będzie niedługo na językach całego miasta jako panna z bękartem.

Po rozmowie z córką, w czasie której ta spazmowała i potwierdziła informację, iż ojcami dziecka w jej łonie mogą być przynajmniej dwaj mężczyźni, Rosjanin zgodził się na współpracę z polskim kontrwywiadem. Postawił jednak jeden warunek. Przewidując rozmaite życiowe perypetie, zażądał, aby jego przyszły zięć przeszedł na kalwinizm, które to wyznanie

w państwie polskim – w odróżnieniu od katolicyzmu – umożliwiło rozwód. Warunek został przyjęty.

Kilka dni później jego zapłakana córka, której zagroził, że jako panna z dzieckiem wyląduje na bruku, została zaręczona z mężczyzną może i niezbyt ładnym, może i z nadwagą oraz z brakami w uzębieniu, ale za to nader ochoczo rwącym się do stanu małżeńskiego. Zgodę – na piśmie! – na rychły rozwód oraz na to, że jego małżeństwo będzie białe, wyraził równie ochoczo.

Traf chciał, że wkrótce swego agenta śpiocha postanowili obudzić ludzie Kremla.

Pewnego dnia Karpowa odwiedził elegancki, niewysoki Rosjanin, zamówił mocny, słodki napój i w kilku słowach oznajmił, że oto herbaciarz znów wchodzi do akcji. Małeńka karteczka została przed chwilą przyklejona przez gościa za rezerwuarem męskiej toalety i Karpow ma ją przekazać wraz z rachunkiem pewnemu człowiekowi, który go wieczorem odwiedzi. Klient ów miał powiedzieć: „Zamawiam herbatę z powidłami z suszonych śliwek, z suszonych śliwek”, a Karpow miał odrzec: „Nie trzeba dwa razy mówić”.

Powiedziawszy to, Rosjanin wypił herbatę i opuścił lokal. Mężczyzna został ukradkiem sfotografowany przez kelnera. Dwójkarze znali go wcześniej. Był to zastępca radcy handlowego sowieckiego poselstwa, niejaki Makar Iwanowicz Griapinski.

W ciągu najbliższej godziny Dwójka miała w swoich rękach zapisany maczkiem szyfrogram. Karpow przekazał go wieczorem nieznanemu sobie miłośnikowi suszonych śliwek, który został poddany natychmiastowej dyskretnej inwigilacji.

\* \* \*

– TAK WŁAŚNIE ZROBILIŚMY, PANIE KOMISARZU – powiedział do Popielskiego pułkownik Emanuel Krapiński. – Nasi deszyfranci zajęli się tekstem depeszy. Informacje były bardzo ważne, a nawet alarmistyczne i wymagające natychmiastowego działania. Ale my nie zrobiliśmy nic. Palcem nie kiwnęliśmy... Byłem pewien, że to sondowanie śpiocha. Sprawdzanie, czy przez te całe lata uśpienia nie został przez nas odwrócony. Gdybyśmy zaczęli działać, Sowietci jakoś o tym by się dowiedzieli. I wtedy Karpow zostałby zweryfikowany negatywnie, przestałby być przydatny. I im, i nam. Pewnie któregoś letniego wieczoru wypiłby zbyt dużo wódki i utopiłby się w Wiśle...

Edward nie przerywał swemu rozmówcy, mimo iż ten mówił już prawie kwadrans. Stał w oknie na drugim piętrze gmachu lwowskiej komendy wojewódzkiej, nazywanego przez wszystkich „gmachem na Łąckiego” – choć naprawdę budynek posadowiony był na rogu ulic Kopernika i Sapiehy i miał adres Leona Sapiehy 1.

Komisarz zajął miejsce przy oknie, ponieważ chciał mieć wokół siebie jak najwięcej świeżego powietrza.

Lubił tę porę gwałtownych późnowiosennych i letnich burz. Wciągał zapach deszczu, który bębnił po liściach kasztanowców rosnących wokół przytułku dla starców przy sąsiedniej ulicy Świętego Łazarza. Patrzył na strugi wody płynące po neonie małej szwalni:

A.S. WILF

WYTWÓRNIA BIELIZNY

WSZELKIEGO RODZAJU

Kiedy indziej cieszyłby się, że krople i strumienie oczyszczają jego miasto, sparaliżowane strajkiem śmieciarzy, kiedy indziej sam wystawiłby głowę na działanie ciepłych kropeł. Ale nie dzisiaj, ale nie teraz.

Tego wieczoru czuł się kiepsko z powodów czysto mentalnych, żadne dolegliwości fizyczne bynajmniej mu nie doskwierały.

Miał niedosyt działań, powinien był więcej dokonać tej nocy. Nad ranem prawie trzymał na widelcu groźnego bandytę, ten zaś, niestety, zdołał mu uciec. Kiedy indziej pewnie by go złapał, ale zrobiła się piąta rano i wschodziło słońce. Jego ostry blask mógł podrażnić oczy, a wtedy padłby jak długi powalony epileptycznym atakiem.

Choć lubił burze tej przełomowej pory roku – gdy wiosna ustępowała latu – to za nią samą jednak nie przepadał.

Ciemność zapadała teraz wolno i szybko ustępowała jasności poranka. Jesienią i zimą – w ciemne noce i dni – mógł więcej zdziałać. Wtedy był postrachem bandytów. Latem czuł się jak bezzębny buldog. A teraz dodatkowo zdawało mu się, że jest buldogiem ciągniętym za ogon – bo hamowała jego działania przekłeta sprawa Wełenczuka, który go haniebnie oszukał i zamiast wyjechać do Kanady, ukrył się chwilowo w jakiejś Kołomyi czy innym Czortkowie i przyczaił do zadania ciosu!

Pułkownik Krąpiński zacisnął usta.

– W ogóle to pan mnie słucha?

– Tak, słucham!

Edward usiadł na jednym z wielu krzeseł, jakie stały wokół dużego stołu, przy którym inspektor Goździewski urządzał narady na najwyższym szczeblu.

Narożny pokój sąsiadował z gabinetem szefa i znaleźć się tutaj było zaszczytem. Ale Popielski nie uznałby rozmowy z tym nadętym dwójkarzem za honor, nawet gdyby rozmawiali w Wersalu.

– Dobrze – odparł Krąpiński. – Idźmy dalej. Kolejny szyfrogram, dostarczony nam po tygodniu, był już o wiele ciekawszy. Niech pan posłucha...

\* \* \*

KILKA TYGODNI WCZEŚNIEJ PEWNA KOBIETA przekazała sowieckiemu agentowi list. Mężczyzna pożegnał pośredniczkę, otworzył kopertę, usiadł wygodnie w swym pokoju, zapalił lampę biurkową i zaczął analizować treść wiadomości. Widać było wyraźnie, że pisał ją człowiek znający język polski w stopniu ograniczonym. W tekście, przedstawiającym jakieś banalne zdarzenie rodzinne, znalazło się wiele błędów gramatycznych i słownikowych, w tym mnóstwo ewidentnych rusycyzmów. Nadawca pisał, że „mała Helusia” uczyła się buciki na nóżki wciągać i „na obród” – zamiast na odwrót – lewy na prawą nóżkę wciskała. W innym miejscu jakaś jeszcze mniejsza dziecina nazwana była „rebiatką”.

Dla agenta nie miało to znaczenia. Dla niego najważniejsze było to, od jakich liter zaczynają się pierwsze zdania listu. Starannie je wypisał i otrzymał nazwisko: AWDZIEJEWICZ MIKOŁAJ.

A potem zaczął szukać w liście liczebników. I przeczytał, że babcia Henia cztery kury na święta ubiła, wuj Maciej czternaście małych kurobatek w beczce utopił, a mała Helusia jabłek na targu za trzydzieści siedem groszy kupiła, a wszystkie śmierdziały „kłopami”, czyli pluskwami.

Mężczyzna spisał owe liczebniaki i wyszło mu 41437. To oznaczało, że Mikołaj Awdziejewicz znajduje się w archiwum na Łubiance na pozycji 41437 wśród osób podejrzanych o działalność na szkodę ojczyzny światowego proletariatu, których nazwiska zaczynają się na literę A. Agentowi pozostawało sprawdzić, czy człowiek o tym nazwisku jest w archiwum Dwójki zarejestrowany jako zagraniczny agent wywiadu polskiego, czy też nie.

Jeśli ów Awdziejewicz okaże się agentem, mężczyzna napisze po prostu A41437, jeśli nie – przekreśli ten komunikat, czyli ~~A41437~~. A potem taką

lakoniczną informację przekazać komu trzeba.

Poczuł ciężar odpowiedzialności. Jeśli wyśle komunikat nieprzekreślony, jakiś Mikołaj Awdziejewicz, gdzieś daleko poza granicami Polski, umrze gwałtowną śmiercią.

„Lepsza śmierć gwałtowna niż powolna w męczarniach – pomyślał mężczyzna, patrząc na przepelnioną popielniczkę. – Najpierw sobie zapalimy, a potem zapukamy do wiadomych drzwi i zaczniemy sprawdzać naszego A41437”.

\* \* \*

KOLEJNY SZYFROGRAM DOSTAŁ SIĘ W RĘCE dwójkarzy identyczną drogą co poprzedni. Griapinski zostawił go w toalecie, a dokument przeszedł przez ręce fotografów i deszyfrantów Dwójki, po czym Karpow przekazał go wieczorem miłośnikowi herbaty z powidłami z suszonych śliwek. Ten po wyjściu z lokalu miał natychmiast trzech śledzących „na ogonie”.

Szyfrogram był bardzo krótki: 222-6F-W.

W pierwszej chwili ta wiadomość wprowadziła wszystkich w zakłopotanie. Ciąg 222-6F-W mógł oznaczać bowiem wszystko. Komunikat był zapewne podwójnie szyfrowany i ów ciąg, przedzielony dwiema pauzami, odwoływał się już do konkretnych informacji – może wskazuje on jakąś książkę lub gazetę? Niestety, tytuł książki, gazety czy jakiegokolwiek innego zbioru wiadomości był znany jedynie nadawcy i odbiorcy.

Tym ostatnim prawdopodobnie był amator suszonych śliwek. Już pierwszego dnia inwigilacji został zidentyfikowany.

Był to doktor filozofii Adolf Mantelmacher – żonaty i ojciec czworga dzieci, mieszkający przy ulicy Solnej obok Szpitala Świętego Ducha. Sprawdzono jego przeszłość.

Nauczał logiki i matematyki w kilku gimnazjach warszawskich, z których jednak dość szybko go relegowano z powodu głoszenia wywrotowych marksistowskich poglądów. Był bardzo aktywny w pracy społecznej, zwłaszcza oświatowej. Dał się poznać jako świetny organizator poradnictwa zawodowego. Tak o nim mówili rozpytywani – zwłaszcza dwaj gimnazjalni dyrektorzy, z którymi rozmawiali wywiadowcy. Żaden z nich nie potrafił jednak powiedzieć, dlaczego ów jedyny żywiciel rodziny, który wciąż traci pracę, żyje na dość wysokiej stopie – co drugi dzień chodzi do teatru, a ubrania dla siebie i dla żony obstalowuje u dobrych krawców.

Po tygodniu wiedziano o nim jeszcze więcej. Ustalono, iż jest działaczem żydowskiej partii Poalej Syjon-Lewica oraz redaktorem organu tej partii „Arbeter Welt”.

Wobec silnych związków tego ugrupowania i jego organu prasowego z ruchem komunistycznym nabrano pewności, że Mantelmacher jest na pensji z Łubianki<sup>5</sup>.

I wtedy niejaki Bronisław Szczeciński, jeden z matematyków pracujących w BS3, czyli w Referacie Szyfrów Rosyjskich, odkrył coś, co zyskało mu świetną opinię u pułkownika Tadeusza Pełczyńskiego, szefa Oddziału II Sztabu Głównego. Zatrudniony do tej sprawy młody magister matematyki, przeczytawszy o wizytach Mantelmachera w teatrze, spojrzął na wiszącą nad swoim biurkiem mapę Warszawy. I odkrył, że symbol 6F wyznacza na mapie kwadrat, w którym jest usytuowany Teatr Wielki, Narodowy i Nowy. Litera W w szyfrogramie 222-6F-W mogła zawęzić identyfikację teatru, i oznaczałaby W jak Wielki.

Takie uściślenie byłoby konieczne, bo chociaż wszystkie trzy teatry – Wielki, Narodowy i Nowy – mieściły się w jednym i tym samym

ogromnym gmachu przy placu Teatralnym, to odbiorca szyfrogramu nie mógłby się przecież roztróić i być w nich wszystkich jednocześnie.

Magister Szczeciński dostał pochwałę, bo związek pomiędzy odkrytą przez niego w szyfrogramie instytucją kulturalną a teatromanem Mantelmacherem był oczywisty. Symbol 222 rozszyfrowano jako dwudziesty drugi dzień lutego, a cała hipoteza deszyfracyjna brzmiała: „Teatr Wielki, dnia dwudziestego drugiego lutego”.

Tegoż to dnia Adolf Mantelmacher rzeczywiście udał się wraz ze swoją żoną Dwojrą właśnie do Teatru Wielkiego na polską operę narodową – *Halkę* Stanisława Moniuszki. Ludzie z Dwójki trafili na dobry trop.

Wraz z dostarczaniem trzech nowych szyfrogramów sytuacja stawała się coraz jaśniejsza. Zapisy 133-6G, 243-7G, 154-6F-W oznaczały następujące komunikaty: „położony w 6G Teatr Letni, trzynastego marca”, „położony w 7G Teatr Polski, dwudziestego czwartego marca” oraz „położony w 6F Teatr Wielki, piętnastego kwietnia”.

Doktor Mantelmacher pojawił się w tych dniach wraz z żoną we wszystkich tych teatrach. Funkcjonariusze kontrwywiadu oraz policji politycznej śledzący państwa Mantelmacherów nie zauważyli, iżby się oni spotykali z kimkolwiek w czasie tych spektakli czy odbierali jakieś przesyłki lub wiadomości.

Jeden z oficerów śledczych rozpoznał natomiast bywającego na tych samych przedstawieniach jednego ze swoich „podopiecznych”, niejakiego Mieczysława Barskiego, wraz z młodą żoną Ireną.

Ów znany malarz i twórca plakatów politycznych, pochodzący z zamożnej rodziny z polskich Inflant, wydawał pismo „Wyrwać Bryłę Świata”, w którym ogłaszał radykalne, komunistyczne i marksistowskie manifesty o sztuce.



I tutaj Dwójka odniosła kolejny śledczy sukces. Pewien komunistyczny prowokator i policyjny szpicel zarzekał się „na świętą pamięć Lenina”, że oba małżeństwa dobrze się znają. Tymczasem one w teatrach mijają się bez słowa. Może byli pokłóceni i ignorowali się albo po prostu udawali, że się nie znają?

\* \* \*

– DZIWNA ZBIEŻNOŚĆ, NIE SĄDZI PAN, komisarzu? – zapytał Krapiński. – Dwaj komuniści, z czego jeden bardzo prominentny, artysta i idol czerwonej młodzieży, bywają na tych samych przedstawieniach teatralnych, na które jednego z nich kierują szpiegowskie szyfrogramy... I tamże owi dobrzy znajomi... tak, dobrzy i wcale nie pokłóceni, co sprawdziliśmy, udają, że się nie znają...

Popielski zamyślił się i po chwili tak skomentował całą sytuację:

– To rzeczywiście wygląda na jakąś zмовę. Osobliwa zbieżność... Nic z tych koincydencyj nie wynika, choć wszystko do siebie pasuje.

W stroju komentatora również pasowało do siebie wszystko: granatowy, wełniany, dwurzędowy garnitur w delikatne czerwone prążki, śnieżnobiała koszula, spod której kołnierza wyłaniał się ciemnobordowy krawat, pofałdowany nieco i unieruchomiony szpilką o bursztynowej główce. Spinki również z bursztynu wychodziły spod mankietów.

Edward dobiegał pięćdziesiątki. Był wysoki i masywny. O ile jego proporcjonalnej sylwetce niczego nie dało się zarzucić, o tyle o twarzy nie można było tego powiedzieć. Nos miał zbyt duży, a cera oblicza była blada, a nawet ziemista – jak u człowieka, który zbyt dużo pali, a większość czasu spędza z dala od słońca. Skórę na policzkach pocięły pozostałości po trądziku i blizna po nożu pewnego bandyty. Po bokach gładko wygolonej,

niewielko zbyt długiej głowie odstawały duże uszy, szpiczaste jak u gargulca. W tym obliczu było coś władczego.

Ta mieszanka pewności siebie, zdecydowania i elegancji robiła duże wrażenie na kobietach. W rozmowach z nimi często te cechy podkreślał, udawał szeryfa i nieustraszonego zdobywcę. Maskę zrzucił jedynie przy swojej ukochanej kuzynce, z którą łączyła go platoniczna, rodzinna miłość. Tylko Leokadia wiedziała, że trapią go egzystencjalne niepokoje, że ukradkiem czyta poezję, przy której nawet łzę potrafi uronić.

Krapiński długo się przyglądał rozmówcy, a mięśnie na policzkach mu drgały. Zdawało się, że walczy ze sobą, aby w końcu wyznać jakąś straszliwą i ściśle tajną informację.

– Jest jeszcze dziwniejsza, a rzekłbym, nawet tragiczniejsza zbieżność – przełamał się w końcu. – Niech pan posłucha uważnie. Zawsze kilka dni po spektaklu opisanym w szyfrogramie tracimy ważnego zagranicznego agenta z Referatu Wschód. – Spojrzał do notatnika. – Dwudziestego piątego lutego, trzy dni po operze *Halka* w Teatrze Wielkim, moskiewscy bandyci mordują węglarza i palacza w kamienicy, w której mieszka Otto Steinbrück. Mówi coś panu to nazwisko?

Popielski pokręcił przecząco głową.

– Otto Ottowicz Szejnbriuk, tak czytają to nazwisko Moskale... wraz z Artuzowem jedna z ważniejszych figur w Razwieduprze. A ten skrót Razwiedupr to pan zna?

– Tak. Ściśle mówiąc, Razwiedupr RKKA. Razwieduwatielnoje Uprawlienije Robocze-Kriestianskoj Krasnoj Armii. Kierownictwo Wywiadu Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej.

– Taaak. Nasz Otto Steinbrück to węgierski Niemiec i zajadły komunista. Szef Wydziału I Zachód, któremu podlega Polska. Otóż mieszka on w pewnej moskiewskiej kamienicy, gdzie współpracował z nami palacz

i węglarz. Nasz człowiek, pseudo „Łopata”, miał do spełnienia dwa obowiązki, bo nic więcej nie było możliwe: grzebanie w śmieciach Steinbrücka oraz donoszenie nam, kiedy on intensywnie pracuje, bo na przykład w jego gabinecie całą noc pali się światło. Dwudziestego piątego lutego, krótko po wspomnianej operze *Halka*, „Łopacie” na jednym z moskiewskich bazarów rozbito głowę. Chyba jakimś potężnym młotem lub kilofem, bo wyglądała jak arbuz, co spadł z wysokiego piętra. Sprawcy oczywiście nieznani.

Popielski pokiwał w zamyśleniu głową.

– Siedemnastego marca, cztery dni po przedstawieniu *Raz się tylko żyje* autorstwa Stefana Kiedrzyńskiego wystawionym w warszawskim Teatrze Letnim, nasz inny agent, pseudo „Hadrian”, rzuca się do rzeki Dymbowicy, płynącej przez Bukareszt. „Hadrian” pracował jako stróż w sowieckiej ambasadzie. Był dla nas bardzo cenny. – Krąpiński sapnął gniewnie. – Jego los podzielił również inny nasz człowiek, Mikołaj Awdziejewicz, pseudo „Masza”, kierowca niejakiego Woronowa, honorowego konsula Urugwaju w Charkowie, jednego z agentów NKWD. Szofer ów donosił nam o poczynaniach swego pryncypała bardzo sumiennie. Byliśmy już o krok od odwrócenia Woronowa! Ciało „Maszy” wyłowiono z charkowskiej rzeczki Łopań ósmego kwietnia, dwa tygodnie po spektaklu *Zburzenie Jerozolimy* Tadeusza Konczyńskiego w Teatrze Polskim... Nie muszę oczywiście panu przypominać, że obie daty były w szyfrogramach, które przeszły przez nasze ręce. – Spojrzał w notatki. – I ostatni trup. Pseudo „Żelazny”. Nasz agent uduszony w jednym z hoteli w Rydze. Zadławiono go w nocy szesnastego kwietnia, nazajutrz po wspaniałej operze Bizeta *Poławiacze pereł* w Teatrze Wielkim... – Zazgrzytał zębami ze złości. – Proszę posłuchać! Po czterech przedstawieniach, tych wszystkich ujętych w meldunkach dla Mantelmachera, ginie czterech naszych ważnych ludzi!

Nie muszę dodawać, że na wszystkich tych spektaklach byli małżonkowie Mantelmacherowie i Barscy. Co pan teraz o tym sądzi, panie komisarzu?

Edward wyciągnął papierośnicę ku swojemu rozmówcy. Błysnął jego sygnet z wygrawerowanym motywem labiryntu.

– Wygląda to tak... – wypuścił dym nosem. – Ktoś ujawnia Moskałom personalia naszych agentów, walczących z nimi na tajnym froncie. Ten ktoś jest znaczną osobistością w Dwójce albo zna kogoś na samym jej szczycie... Bo ma dostęp do teczek personalnych. Poza tym gdyby był kimś mniej ważnym, zajęłyby się nim kontrwywiad, nie zaś pańska tajna jednostka. Tajemnicza i sławna.

– Tak – na twarzy Krapieńskiego, słyszącego te określenia, pojawił się wyraz satysfakcji. – On jak pasożyt siedzi w naszym wywiadowczym krwiobiegu. To nie jest zwykły soliter, który w ludzkich fekaliach wyrzuca swe segmenty. Nasz pasożyt nie zostawia żadnych śladów. Niech o jego ostrożności świadczy tylko to, co panu teraz powiem. Otóż sprawdzaliśmy aktywność teatralną najważniejszych funkcjonariuszy Dwójki. Żaden z nich, powtarzam: żaden, nie był na którymkolwiek z tych czterech przedstawień! Nie bywa też na nich Griapinski ani nikt od Sowietów. I co pan na to, panie komisarzu?

– Otóż to! – wykrzyknął Popielski. – „Pasożyt” jest bardzo głęboko zakonspirowany i nadzwyczaj ostrożny. Myślę, że żaden z tych dwóch komunistów nie ma pojęcia, kim on jest. To oczywiste, że jakiś człowiek „Pasożyta”, który bywa na tych samych przedstawieniach co Barski i Mantelmacher, przekazuje jednemu z nich jakąś wiadomość. Jest ona zapewne ukryta w toalecie, może w koszu na śmieci, może za jakimś popiersiem albo za portretem wiszącym w foyer. A Barski lub Mantelmacher przekazują ją następnie jakiemuś Sowietowi! – Edward uniósł nagle palec jak wykładowca, który chce nadać swym słowom

szczególną wagę. – Wciąż nie rozumiem jednego, panie pułkowniku... Dlaczego Sowieci likwidują tych ludzi, zamiast ich po prostu odwrócić, przekabacić?

– To mogą wyjaśnić pewne pogłoski, które płyną do nas z Moskwy – odpowiedział zapytany. – Plotki głoszą, że Sztejn briukowi grunt się pali pod nogami. Że służby specjalne są w coraz większej niełasce u satrapy. I może dlatego Sztejn briuk nie bawi się w subtelności, tylko wybija naszych agentów, aby przypodobać się Stalinowi?

Krapiński wstał i zbliżył się do policjanta. Oparł dłonie na blacie stołu narad i pochylił się ku swojemu rozmówcy.

– Jakkolwiek by było, masz mi „Pasożyta” podać na tacy, Popielski – mruknął. – Rozumiemy się?

Edward podniósł się z za stołu i spojrzał z góry na dużo niższego Krapińskiego. Ten – pojąwszy aż za dobrze różnicę wzrostu – cofnął się. Znowu zadrgały mięśnie na jego szczęce, a zęby zazgrzytały.

– Myśli pan, że przyjechałem do waszej miejsciny, bo naprawdę interesują mnie pańskie kontakty z tym Wełenczukiem? – syknął. – To tylko pretekst, to tylko zasłona dymna. Wszyscy wokół mają wiedzieć, że sam pułkownik Emanuel Krapiński bierze w obroty Popielskiego. Że zabiera go do Warszawy, a może nawet do Berezy, aby tam dać mu wycisk w całodobowych przesłuchaniach. Tak mają mówić wszyscy, a zwłaszcza pana wielki przyjaciel, ten głupi Futyma. Ale chodzi o coś zupełnie innego. Pan jest najlepszym łowcą pasożytów! Wszyscy pamiętamy, jak przed rokiem zlokalizował pan jednego z nich w naszych żyłach!<sup>6</sup>

Umilkł, czekając, jakie wrażenie zrobi na Popielskim pochwała. Ten skrzywił się nieco. Ta cała parazytologiczna stylistyka zaczynała już mu działać na nerwy.

– Sprawa z Wełenczukiem bardzo mi się przydała – ciągnął pułkownik. – Obawiałem się, że pan, rozczarowany obietnicami bez pokrycia, których panu do tej pory hojnie udzielano w Dwójce... No, takie zapewnienia, że będzie pan naszym funkcjonariuszem *et cetera*... Otóż bałem się, że pan w akcie odwetu za te puste obietnice mi po prostu odmówi. Ale dzięki sprawie Wełenczuka tak się nie stanie, ja mam na pana lewar. Wyjawię panu teraz tę alternatywę... – O ile wcześniej syczał, o tyle teraz już szeptał. – Albo bierze pan sprawę „Pasożyta” i zapominamy o wpadce z Wełenczukiem, albo pan mi odmawia i nowy inspektor do spraw wewnętrznych Komendy Głównej Policji Państwowej zaczyna z wielką akrybią badać sprawę Wełenczuka. Pan zostaje zawieszony, wewnętrzne postępowanie przeradza się powoli w służbową infamię... Zaznaczę, że tym inspektorem wewnętrznym nie będzie już dobrotliwy i łaskawy dla pana komisarz Cewe, oj nie! Dlaczegoż nie mielibyśmy oddelegować do pańskiej sprawy na przykład komisarza Futymy?

Usiadł i splótł dłonie.

– Bardzo duży fundusz operacyjny, ale wszystkie wydatki starannie zapisywać – cedził teraz słowa. – Minister wbrew mojej opinii wydał rozkaz, aby zabrał pan ze sobą do Warszawy swoich trzech, czterech najbardziej zaufanych ludzi. Widocznie w Warszawie nie ma im równych! – Prychnął z niechęcią. – Minister uważa, że akcja ma być ściśle tajna, dlatego prawie nikogo z Warszawy. Jakby na każdym rogu czyhali sowieccy szpiedzy, którzy znają wszystkich warszawiaków! Ale czego chce minister, tego chce Bóg.

Umilkł na chwilę. Już i tak wylał zbyt dużo gorczy na swego zwierzchnika.

– No dobrze – mruknął w końcu. – Każdy komuś podlega. Ja ministrowi, a pan mnie! A zatem, kapitanie Popielski, może pan zabrać

czterech mężczyzn ze Lwowa! Kobiet, jeśli będą potrzebne, sam panu dostarczę. Użyłem teraz pańskiej szarży, bo czuję, że się pan zgodzi, a w wywiadzie nie ma żadnych komisarzy ani inspektorów. Tak, kapitanie, wielka chwała i wielka rehabilitacja pana czekają! Niech pan nie odrzuca tej szansy! Nowej już nie będzie...

Edward milczał przez dłuższą chwilę. Potarł palcami skronie.

– Wiemy, że ktoś z Dwójki przekazuje informacje na konkretnych przedstawieniach w jednym z kilku warszawskich teatrów, ale przecież nikt z Dwójki nie chodzi na te spektakle... – Potarł palcami skronie. – Jak mam złapać kogoś, kto jest w teatrze i jednocześnie nie ma go w teatrze? Mam sprawdzać każdego teatromana, czy ma kontakty z Dwójką? Mam wchodzić pod łóżka wszystkich kobiet bywających w operze, aby podsłuchiwać, czy nie kopuluje z nimi jakiś dwójkarz? To misja niewykonalna, panie pułkowniku!

Krapiński uśmiechnął się lekko.

– Tak, panie kapitanie, ma pan rację. To jest misja niewykonalna, czyli... w sam raz dla pana.

---

<sup>4</sup> Zob. M. Krajewski, *Pomocnik kata*.

<sup>5</sup> Plac Łubiański – plac w Moskwie, gdzie mieściła się siedziba sowieckich tajnych służb oraz osławione więzienie.

<sup>6</sup> Zob. M. Krajewski, *Czas zdrajców*.

## ROZDZIAŁ III BRZYTWY CYRULIKA

---

EDWARD POPIELSKI DŁUGO SIĘ NIE WAHAŁ. Podjął się niewykonalnej misji, zleconej mu przez pułkownika Krapińskiego. Kilka dni po rozmowie odbytej we lwowskiej komendzie wojewódzkiej przyjechał do Warszawy.

Rankiem ostatniego dnia maja wysiadł na dworcu i wziął dorożkę, której koń miał przywiązane do grzywy dwie wstążki – bordową i granatową – mające symbolizować barwy chorągwi z napisem *Semper fidelis*<sup>7</sup>, widniejące w herbie Lwowa. Edward oparł dłoń o kozioł dorożki tak, by jego sygnet ze znakiem labiryntu był dobrze widoczny. Fiakier spojrzał nań uważnie, kiwnął głową, a pasażer wszedł.

Nie padło pomiędzy nimi żadne słowo. Woźnica wiedział doskonale, dokąd ma jechać – na róg ulic Tamka i Topiel. Wręczył pasażerowi kartonową teczkę z napisem „Parasitus”<sup>8</sup>. Ruszyli.

Jechali przez Wybrzeże Kościuszkowskie. Popielski nie pytał o nic, bo natychmiast się zorientował, że jest to dość okrężna droga do znanego mu lokum, służbowego mieszkania Dwójki, gdzie nocował w czerwcu roku dwudziestego siódmego, gdy znalazł się tutaj w epicentrum wydarzeń, o których mówiła cała Polska i cała Europa<sup>9</sup>. Trasa wybrana przez dorożkarza była okrężna, a droga pusta – napotkali zaledwie jeden automobil, dwie furmanki i kilku rowerzystów.

Fiakier wciąż oglądał się do tyłu, wypatrując zapewne ewentualnych śledzących. Popielski się domyślił, skąd wybór takiej, a nie innej trasy. Jechali przez teren słabo zabudowany, a inwigilatorom trudno byłoby się gdzieś ukryć w tej pustce.



Minęli pomnik Dowborczyków, stojący tuż przy rzece, i skręcili w lewo w ulicę Tamka. Po chwili Popielski był w znanej sobie okolicy i w myślach witał się z tutejszymi obiektami jak ze starymi przyjaciółmi. Łaskawym spojrzeniem obdarzył Muzeum Techniki i klasztor, należący do zgromadzenia, którego nazwy nie pamiętał, choć dobrze wryły mu się w pamięć pracujące w ogrodzie siostry zakonne w wielkich białych czepcach przypominających małe żaglowce.

Wysiadając, kiwnął głową fiakrowi i – zgodnie z umową – zamiast zapłaty za kurs wręczył mu swoją teczkę, zawierającą akta personalne czterech lwowskich współpracowników, z którymi miał w Warszawie wyciągnąć pasożyta z krwiobiegu Dwójki.

Trzypokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze, w którym się znalazł, przez dziewięć lat mocno się zmieniło. Choć dwa pokoje wciąż były prawie puste, to zostały odmalowane i położono parkiet, błyszczący teraz świeżą pastą. W sypialni zamiast rozklekotanego żelaznego łóżka pojawił się wygodny tapczan. Choć w kuchni wisiała ta sama makatka z wizerunkiem pulchnego dziewczęcia i dość absurdalnym porównaniem „Młoda kuchareczka, zwinna jak laleczka“, to jednak kredens i zlew były nowe.

Z satysfakcją zauważył, że jego kwatery różniła się od tamtej zapamiętanej trzema jeszcze szczegółami. Po pierwsze, w szafie wisiał smoking i melonik, po drugie, w łazience była wanna, po trzecie w końcu – na biurku stał telefon. Wiedział już wcześniej, że jego warszawskie mieszkanie zostanie wyposażone w ten sprzęt, ale widok lśniącego bakelitowego aparatu wprowadził go w dobry nastrój.

Od trzeciej do wpół do czwartej mieli pod ten numer dzwonić jego czterej ludzie, aby dostać rozkazy na dzisiaj.

Ten tryb wydawania poleceń był wyjątkowy. Od jutra miał stać się jeszcze tajniejszy – mieli się spotykać w jakimś lokalu kontaktowym,

o którym więcej było w teczce „Parasitus”.

Popielski – z uwagi na swój tryb życia – bez wahania postanowił, że najlepszą porą codziennych odpraw będzie północ. Porę wybrał, ale miejsce pozostawił Krapińskiemu.

Ogolił się teraz i umył po podróży, po czym usiadł przy biurku. Otworzył otrzymaną teczkę i rozpoczął studiowanie informacji wypisanych starannie na licznych kartkach.

Na pierwszej kartce wypisane było polecenie:

TECZKĘ NINIEJSZĄ PRZEKAZAĆ JANOWI ŻEBROWSKIEMU –  
OBACZ NIŻEJ.

I zaraz Popielski dowiedział się, kim jest człowiek noszący to nazwisko. Zawiadywał on mianowicie punktem kontaktowym, którym okazał się salonik bridżowy położony na tyłach restauracji Riegert i Żebrowski przy ulicy Tamka 19. Ich zebrania będą się odbywały pod czujnym okiem wspomnianego Jana Żebrowskiego, syna współwłaściciela lokalu.

„Kim będą czterej bridżyści i jeden kibic spotykający się w saloniku – o tym poza wyżej pomienionym młodym człowiekiem nie wie nikt, nawet jego ojciec W. Żebrowski – napisał ktoś równym kaligraficznym pismem. – Tenże J.Ż. w czasie trwania misji będzie pilnował, aby nikt niepowołany nie podsłuchiwał ich narad, oraz będzie przynosił wszelkie informacje i rozkazy pomiędzy przybyłą grupą a pułkownikiem E.K. Numer telefonu do lokalu jest wypisany na wewnętrznej stronie teczki operacyjnej”.

Z kolejnej odręcznej notki, podpisanej PŁK, co wskazywałoby, iż sporządził ją sam pułkownik Emanuel Krapiński, wynikało, iż trzy dni temu „Herbaciarz” przekazał Mantelmacherowi kolejną kopertę z krótkim komunikatem 315-6F-W. Oznaczałoby to: „trzydziestego pierwszego maja, Teatr Wielki”.

„Czyli dzisiaj” – pomyślał Edward.

Oprócz tych informacji w teczce było dwadzieścia fotografii, podzielonych na pięć kompletów po cztery zdjęcia, oraz pięć biletów – dla każdego z ludzi Edwarda oraz dla niego samego – na operę *Cyrulik sewilski* Rossiniego, wystawianą dzisiejszego wieczoru w Teatrze Wielkim. Każdy z członków lwowskiego zespołu wywiadowczego oprócz biletów miał otrzymać właśnie ów komplet czterech fotografii.

Uwiecznieni byli na nich Adolf Mantelmacher, Mieczysław Barski oraz ich żony – Dwojra i Irena.

Edward natychmiast zwrócił uwagę, iż ta ostatnia została obdarzona przez naturę wyjątkową urodą i miłymi jego oku krągłościami.

Z dalszej dokumentacji wynikało, iż Barscy i Mantelmacherowie wykupili abonament na kończący się w połowie lipca sezon teatralny i jako stali widzowie mają te same miejsca na widowni – pierwsi w rzędzie ósmym, drudzy w trzynastym.

„Wobec tego – pisał ktoś w osobnej notatce – wywiadowcy lwowscy otrzymują niniejszym bilety przypisane do takich miejsc, by z nich wygodnie obserwować obiekty. Sam p. Kapitan raczy zasiąść w drugiej łoży na pierwszym piętrze, skąd może swobodnie lornetkować i podejrzanych, i swoich ludzi. By samotny mężczyzna w ogromnej łoży nie budził zadziwienia publiczności, zostaje p. Kapitan dokooptowany do zaprzyjaźnionego z p. pułkownikiem pana prezesa Dyrekcji Poczt i Telegrafów, p. inż. Kazimierza Zajdlera wraz z rodziną, który zwykle tę łożę ma w swym wynajęciu. Pan prezes zobowiązał się uprzejmie nie zadawać p. Kapitanowi żadnych pytań i umożliwić swobodne działanie z każdego punktu wnętrza pomienionej wyżej łoży”.

Popielski przeczytał wszystko bardzo dokładnie, po czym przestudiował plany budynku Teatru Wielkiego oraz liczne notatki na temat historii gmachu, w tym wycinki prasowe z dawnych lat.

Popadł w głęboki namysł i w myślach przypisał swym ludziom konkretne zadania. Uznał, że Mantelmacherów na celowniku będą mieć policjanci Herman Kacnelson i Walerian Grabski.

Oczywiście wiedział, że ten pierwszy daleki jest od kultury i wiary swych żydowskich przodków. Jego dziadowie i rodzice czuli się Polakami, a on sam znał tyle słów w jidysz co przeciętny lwowianin, wewnątrz bóżnicy zaś widział tylko na fotografii. Miał jednak semickie rysy i w razie czego – gdyby musiał śledzić Mantelmachera gdzieś w okolicach licznie zamieszkanym przez Izraelitów, na przykład na znanych Popielskiemu dobrze ulicach Leszno, Nalewki czy Tłomackie – to nie wyróżniałby się z tamtejszego tłumu. I właśnie dlatego młody Herman Kacnelson został wybrany do tej misji.

Funkcję jego zmiennika otrzymał Walerian Grabski, dobiegający pięćdziesiątki niewysoki, pękaty, z wąsem *à la* Adolf Hitler. Ten zrównoważony, obowiązkowy i pedantyczny niegdysiejszy buchalter o umyśle sprawnym jak sklepowa kasa był jednym z najbardziej zaufanych ludzi Popielskiego.

W tej hierarchii pierwsze miejsce piastował jednak Wilhelm Zaremba, z którym Edward, podobnie jak z wiarołomnym Stepanem Wełenczukiem, spędził osiem lat w stanisławowskim gimnazjum klasycznym. Wilek był jego przyjacielem „od serca, od wódki i od spraw trudnych”, jak mawiała o nim Leokadia, która zresztą bardzo go lubiła.

Edward ufał mu bardziej niż samemu sobie. Zaremba ze swoim szczerym, szerokim i łagodnym obliczem, z hojnym gestem oraz z niezmiennie dobrym humorem natychmiast zjednywał sobie serca ludzi – przesłuchiwanie przestawali się bać składania zeznań, które by obciążały innych, a przestępców przejmowały nieoczekiwane wyrzuty sumienia.

Wilek został przez przyjaciela wyznaczony do śledzenia Barskich wraz z najmłodszym z nich wszystkich Stefanem Cyganem.

Ten ostatni z lwowskiej grupy był przystojnym szatynem dobiegającym trzydziestki, a jego kapelusz z wielkim rondem i jaskrawy jedwabny szalik – niezależnie od pory roku owinięty wokół szyi – sprawiały, że wielu brało go za artystę. Błada cera i nieodłączny papieros, jakby wyróżniki chorego na płuca *poète maudit*<sup>10</sup>, czyniły tę identyfikację jeszcze bardziej prawdopodobną.

Wyróżnianie się z tłumu kolorowymi dodatkami garderobianymi nie było najbardziej wymarzoną cechą tajniaka, a nieśmiałość wobec kobiet – Cygan jąkał się, czerwieniał, długo milczał – też nie stanowiła zalety. Młody aspirant miał jednak niezwykły talent, dla którego został przez komisarza włączony do tego grona: fotograficzną pamięć połączoną z wybitnymi zdolnościami plastycznymi. Kilkoma pociągnięciami ołówka potrafił w swym szkicowniku wiernie przedstawić scenę, której był naocznym świadkiem. To zdawało się w pracy wywiadowczej wręcz bezcenne w częstych nader sytuacjach, gdy zrobienie zdjęć było niemożliwe.

Popielski podsumował w myślach wady i zalety członków swojej grupy i uznał, że czas odpocząć od spraw służbowych.

Z przetłuszczonego papieru rozpakował śniadanie, na które składał się nie zjedzony podczas podróży prowiant, przygotowany mu przez gospozię Hanię: dwa jajka na twardo i pajda chleba ze smalcem, gęsto ozdobionym skwarkami. Pochłonął to wszystko z wielkim apetytem, popił cieką herbatą, wypalił papierosa, po czym rozebrał się do samej bielizny, wyciągnął na tapczanie i zamknął oczy.

Chciał wykorzystać te prawie pięć godzin snu, jakie mu zostały do momentu, aż współpracownicy zaczną telefonować w oczekiwaniu na

rozkazy. Nie wiadomo, kiedy będzie mógł sobie pozwolić na kolejny taki odpoczynek w ciągu dnia. Misja, którą miał do wykonania w stolicy, na pewno nie pozwoli mu działać zgodnie z trybem narzuconym przez epilepsję światłoczułą – czyli zgodnie z zasadą *die dormire, laborare noctu*<sup>11</sup>. Mógł jej przestrzegać tylko we lwowskich, przewidywalnych okolicznościach. Warszawskie zaś mogły być pełne niespodzianych zdarzeń i zwrotów. Chaos będzie mu tutaj ciągłym towarzyszem.

Na Edwardzie ciążyła bardzo duża presja – chodziło o ludzkie życie. Przecież każdy meldunek „Pasożyta” równał się czyjejś śmierci. Jak najszybsze ujęcie zdrajcy, wskazującego ofiary sowieckim siepaczom, miało być ocaleniem i wybawieniem dla kolejnych zagranicznych agentów Dwójki, którzy mieli to nieszczęście, że „Pasożyt” potrafił potwierdzać ich współpracę z polskim wywiadem.

Edward założył ręce na kark. Czuł, że ogarnia go senność. Zamknął oczy. Zrobiło mu się błogo.

„Nadchodzi sen – pomyślał. – Miła to chwila...”

Niestety, trwała ona bardzo krótko. Obudził się po dwóch kwadransach z uczuciem, że coś go dławi. Zaczerpnął tchu, a jego płuca wydały głuchy odgłos, po czym zaczął nim szarpać silniejszy niż zwykle nikotynowy kaszel.

A potem już nie mógł zasnąć. Nie z powodu kaszlu, lecz najświeższych wspomnień. Do głowy napływały niechciane obrazy, zwłaszcza scena ostatniego spotkania z najbliższymi.

Oto znajduje się wraz z Ritą i Leokadią w swym lwowskim salonie. Siedzi pod zegarem, a jego szesnastoletnia córka, nadąsana i rozzalona, woła, że „tatuś znów gdzieś wyjeżdża i ją zostawia na pastwę”. Rita nie dokończyła, a Leokadia domagała się, by jej „kuzynica”, jak ją nazywała w chwilach irytacji, uzupełniła, na „pastwę kogo albo czego mianowicie!”.

– Mnie miałaś na myśli, Rito? Mnie? Na pastwę „tej starej małpy”, tak chciałaś powiedzieć?

– A dlaczegoż to właśnie o cioci miałabym myśleć? – zawołała dziewczyna. – Ciocia nie jest pępkiem świata! Nie wszyscy o cioci myślą!

Zapadła cisza. Rita milcząco przyznała, że – owszem – określenie „stara małpa” rzeczywiście odnosi się do ciotki. Leokadia zachowała pozorny spokój, lecz patrzyła na Edwarda bardzo wymownie.

Powinien był jakoś zareagować, zrobić porządek z rozkapryszoną pannicą, nałożyć na nią jakąś karę. Ale jemu, gdy patrzył na swoją córkę, topniało serce.

Zgrzeszył naiwnością. Sądził, że teraz wystarczy jakiś czuły gest z jego strony i żadne słowa nie będą już potrzebne. Wstał i usiłował przytulić do siebie obie kobiety. Chciał zostać łagodnym mediatorem, chciał, by przy jego piersi się pogodziły.

Obie go odepchnęły.

I wybiegły.

Został tak sam w salonie – jak teraz w tym łóżku w bezdusznym pustym mieszkaniu.

I wtedy, i teraz usiłował zagłuszyć wyrzuty sumienia, które go gryzły – że znów wyjeżdża, że znów zostawia będącą już w eksplodującej buncem adolescencji córkę pod opieką Leokadii, poirytowanej już rolą wychowawczyni dorastającej dziewczyny.

– Nie mam wyjścia – szeptał, choć wiedział, że zawsze jest jakieś wyjście, choćby podanie się do dymisji. – Robię to dla nich, naprawiam świat dla nich – usprawiedliwiał się, choć w uszach pobrzmiwał mu fałsz kryjący się w tym wyjaśnieniu.

Sięgnął po papierośnicę. Tego przedpołudnia już nie zasnął.

\* \* \*

PRZEŁOM MAJA I CZERWCA bywał czasami w Polsce zimny, jednak w roku trzydziestym szóstym panowała w Warszawie pogoda późnego października. Ciężkie, nieruchome sine chmury wisiały nad sercem miasta na niewielkiej wysokości. Zdawało się, że zahaczają o dachy budynków, zwłaszcza tych bardziej wyniosłych.

Do takich należała z całą pewnością świątynia Melpomeny przy placu Teatralnym. Harmonijny klasycystyczny gmach o nie zakłóconej niczym symetrii, mieszczący w sobie trzy teatry – Wielki, Nowy i Narodowy – rozpierał się pomiędzy Krakowskim Przedmieściem, pięknymi pałacami przy Miodowej oraz Ogrodem Saskim. Rzęsiste oświetlenie przed wejściem głównym ujawniało kilka stojących tutaj autobusów, wskazywało drogę parom i grupkom miłośników opery zmierzających do budynku oraz ścigało żebraków zaczepiających tu przechodniów mniej lub bardziej natarczywie.

Edward Popielski ich nagabywania pełne udawanej żalości miał już za sobą. Stał teraz w westybulu, nieco z prawej strony, niedaleko wejścia do Sal Redutowych, gdzie mieściła się scena kameralna Teatru Narodowego, czyli Teatr Nowy.

Udawał, że studiuje wielki afisz, oznajmiający, że jutro cały zespół *Cyrulika sewilskiego* da specjalny dodatkowy koncert pieśni włoskich i arii.

Niewiele go to interesowało. Stał tutaj, bo był to dobry punkt obserwacyjny.

Nawet gdyby wcześniej nie widział na zdjęciu pani Ireny Barskiej, to ta powabna kobieta, wchodząca teraz do westybulu, na pewno nie umknęłaby jego męskiemu oku.



Szła, trzymając pod rękę wysokiego mężczyznę o rozwichrzonej fryzurze, która była tak gęsta i niesforna, że zapewne musiał się na niej wyszczerbić niejeden grzebień, o czym Edward miał w ostatnich dekadach swego życia niewielkie pojęcie. Potężny niedźwiedziowaty artysta malarz nosił powykręcane, krzywe buty, od dawna domagające się pasty, oraz źle skrojony jasny garnitur i wymięty krawat z plamą – nie wiadomo, czy po farbie, czy po zupie.

Jego strój przypomniał Popielskiemu o relacjonowanej również przez lwowską prasę dyskusji, jaką wywołała była dyrektor teatru pani Janina Korolewicz-Waydowa, wydawszy decyzję, że widzowie nie muszą przychodzić na wieczorne spektakle we frakach i w smokingach, co do tej pory było normą.

Pani Barska nie pasowała do swego niechlujnego męża. Była drobną brunetką o wydatnym biuście, ubraną *comme il faut*<sup>12</sup> w krótki płaszczyk z futrzaną etolą okrywający czarną suknię ozdobioną sznurem niedużych pereł. Minęła Edwarda w tak bliskiej odległości, że poczuł woń jej perfum.

Miała bystre, wielkie, ciemne oczy, które – jak pomyślał lubieżnie – musiały być szczególnie piękne w chwilach rozkoszy. Pocztał dreszcz, gdyż mu się zdało, iż owe oczy na nim spoczęły.

Pani Barska poszła do szatni, gdzie oddała w garderobie płaszczyk, zostawiwszy sobie etolę na białych kształtnych ramionach. Jej mąż oddał tamże laskę i wygnieciony mocno kapelusz.

Mieczysław Barski, choć postawny, stąpał wokół żony kroczkami nieoczekiwanie drobnymi, jakby był chory na podagrę. Prostackim, władczym gestem objął swą połowicę w talii i poprowadził na marmurowe schody. Po chwili, już na widowni, znaleźli się w polu widzenia Zaremby i Cygana, którzy od dawna wypatrywali ich ze swych miejsc.

Zabrział pierwszy gong, po chwili drugi. Ostatni widzowie wchodzili już na widownię, z której rozbrzmiewały dźwięki strojenia instrumentów.

Popielski nie mógł dłużej stać pod afiszem reklamującym jutrzejsze teatralne atrakcje, ponieważ samotny mężczyzna w pustym westybulu na pewno zwróciłby czyjąś uwagę.

Ruszył po schodach, nad którymi widniały reliefy wyobrażające greckie liry w otoczeniu liści laurowych.

Wszedł na pierwsze piętro i – poprowadzony przez garsona we fraku i w białych rękawiczkach – udał się do przypisanej sobie łoży, usytuowanej jako druga, licząc od sceny.

Tam już zasiadł inżynier Zajdler w towarzystwie swej małżonki. Prezes Dyrekcji Poczty i Telegrafów nie okazał najmniejszego zainteresowania gościem. Odkłonił mu się i wrócił do lektury libretta. Natomiast jego małżonka, tęga jejmość z piórami we włosach, spojrzała krytycznie na smoking Popielskiego, po czym syknęła lekko, jakby przybysz uczynił jej jakiś afront.

„A może tej dobrej niewieście chodzi o to – pomyślał Edward – że smoking jest strojem nieodpowiednim do łoży?”

O tym, że mogło to być słuszne rozpoznanie, świadczyły fraki mężczyzn siedzących w innych łożach. Uwagę Edwarda zwrócili zwłaszcza jacyś oficjele zajmujący łożę prezydencką, położoną na wprost sceny, nad którą widniało godło Rzeczypospolitej. Wszyscy byli we frakach, do których przypięte mieli wielkie białe chryzantemy.

Zapadła cisza. Edward rozejrzał się po widowni. Nad ogromną salą wznosiła się scena z udrapowaną misternie ciężką kurtyną. Po bokach, nad fotelami, wtapiały się w ściany kolumny z liśćmi akantu, pomiędzy którymi umieszczono łoża. Sala była prawie całkowicie zapełniona. W trzynastym

rzędzie świeciły pustkami dwa miejsca. Mantelmacherowie albo nie przyjdą, albo się spóźnią.

Spóźnili się. Popielski dostrzegł ich, jak wchodzą na widownię w ostatniej chwili, gdy orkiestra pod batutą kapelmistrza Angela Ferrariego zagrała pierwsze dźwięki uwertury. Mantelmacherowie byli zadyszani i zdenerwowani, co Edward dobrze widział przez wojskową lornetkę. Z satysfakcją też zauważył, że Kacnelson i Grabski, siedzący z tyłu, nie spuszczaają z nich oczu, ignorując wydarzenia na scenie.

I nagle zrozumiał, że popełnił błąd. Powinien był jednak poczekać na spóźnialskich – nawet pod groźbą wzbudzenia zainteresowania własną osobą. Być może Mantelmacherowie odbierają skądś jakieś szyfrogramy właśnie wtedy, kiedy większość widzów już jest na sali, i być może teraz taki już tkwi w kieszeni komunisty albo w torebce jego żony. A on, Popielski, po prostu to przeoczył! Jak ostatni żółtodziób!

Zrobiło mu się gorąco, lecz szybko opanował złość.

Przez cały pierwszy akt siedział w głębi łoży i obserwował uważnie każdy gest jednej z czterech inwigilowanych osób. Wiedział, że niewiele ujdzie uwadze lwowskich policjantów, ale oni nie widzieli obu małżeństw z przodu i nie byli w stanie zauważyć, czy na wysokości kolan któraś z czterech osób nie odbiera przesyłki od swojego sąsiada.

„Chociaż tyle dobrze – pomyślał – że sprawdziliśmy dyskretnie, czy niczego nie ma pod klapami siedzeń”.

Było to jednak słabe pocieszenie, które nijak nie mogło ulżyć brzemieniu odczuwanej odpowiedzialności. Edward zdawał sobie sprawę, że miał bardzo wątpliwą możliwość zapobieżenia kolejnemu politycznemu morderstwu gdzieś za granicą. Jedynym sposobem było przechwycenie meldunku na drodze „Pasożyt” – Łubianka, gdzie mieściła się siedziba sowieckiego wywiadu.

„Jak to wszystko wygląda? Jak to wszystko przebiega?” – po raz tysięczny stawiał sobie w myślach to pytanie, starając się nie skupiać na słynnej arii o plotce, jaką teraz basem wyśpiewywał ponury nauczyciel muzyki Don Basilio.

Edward po raz nie wiadomo który dzisiaj budował w myślach hipotezę o działaniu całej siatki, której centralnym ogniwem był „Pasożyt”. Wykluczał rozmaite możliwości i wyciągał z nich najbardziej prawdopodobną. „Griapinski zostawia Pod Samowarem informację o spektaklu – myślał intensywnie – my ją przechwytujemy na chwilę, kopiujemy, po czym zwracamy. W herbaciarni otrzymuje ją następnie miłośnik śliwkowych konfitur Adolf Mantelmacher. Dowiaduje się z niej, kiedy i gdzie. Prawdopodobnie informuje Barskiego. Obaj idą z żonami na spektakl, o którym donosi notka Griapinskiego. A co tutaj się dzieje? Podczas spektaklu do akcji wkracza »Pasożyt« – poprzez swojego łącznika, bo już przecież ustalono, że nikt z Dwójki na tych spektaklach nie bywał. Człowiek ten, nazwijmy go »Łącznikiem Pasożyta«, przekazuje Barskiemu lub Mantelmacherowi informację, oczywiście zaszyfrowaną, o kolejnej przyszłej ofierze. Barski lub Mantelmacher podają ją dalej komuś – nazwijmy go »Łącznikiem Griapinskiego«, bo ten na spektaklach, jak ustalono, nie bywa. I ów »Łącznik Griapinskiego« przekazuje wiadomość o zagranicznym agencie właśnie Griapinskiemu, a ten wysyła ją na Łubiankę.

Jeszcze raz – budował sobie w głowie taki oto ciąg zdarzeń. – Są dwie wiadomości: A – wiadomość o spektaklu; B – wiadomość właściwa o zagranicznym agencie Dwójki. Jest siedem zdarzeń, jakby siedem aktów w sztuce: jeden w sowieckim poselstwie, jeden w herbaciarni, dwa akty w teatrze lub w okolicy teatru, jeden znów w sowieckim poselstwie, jeden w Moskwie i ostatni w miejscu zabicia agenta.

W pierwszym akcie do Griapinskiego dochodzi wiadomość A od »Pasożyta«. »Pasożyt« w zaszyfrowany sposób przekazuje: niedługo będę wiedział. Przekażę tego a tego dnia, w tym a tym teatrze. W drugim akcie Griapinski przekazuje Pod Samowarem owo A Mantelmacherowi (a ten zapewne Barskiemu). A oznacza tutaj: masz być tego a tego dnia, w tym a tym teatrze. Zaczyna się akt trzeci. Mantelmacher lub Barski otrzymują w teatrze od niezidentyfikowanego »Łącznika Pasożyta« najważniejszą, decydującą o ludzkim życiu wiadomość B. W czwartym akcie – także w teatrze, może w okolicach, wiadomość B od Mantelmachera / Barskiego trafia do »Łącznika Griapinskiego«. W piątym akcie tenże przekazuje B Griapinskiemu; w szóstym B od Griapinskiego trafia na Łubiankę, w siódmym gdzieś na świecie ginie polski agent”.

Najbardziej newralgicznym momentem w tym łańcuszku było ogniwo teatralne. Niestety, przekazanie B „Łącznikowi Griapinskiego” było banalnie proste i bardzo trudno byłoby chwycić go za rękę. Albo Żyd, albo malarz mogli mu przekazać B wręcz na oczach śledzących go ludzi. Na przykład zostawić w jakiejś ubikacji, dorożce, zgubić na spacerze w parku, wrzucić niepostrzeżenie do ustalonego kosza na śmieci... Możliwości było multum.

Nie były to pokrzepiające myśli i nie wróżyły tej misji szybkiego zakończenia. Innymi słowy, Popielskiego czekało jeszcze wiele trupów, zanim zidentyfikuje i przygwoździ „Pasożyta”.

Te zgryzoty towarzyszyły mu w czasie antraktu, gdy siedział w łoży, nie chcąc pokazywać inwigilowanym najbardziej rozpoznawalnego elementu swej aparycji, czyli charakterystycznej gładko ogolonej głowy.

Nie opuszczały go przez cały drugi akt, gdy lornetkował Barskich i Mantelmacherów.

Wzmogły się zwłaszcza na początku aktu drugiego, gdy ujrzał wielką brzytwę, jaką na scenę wniósł tytułowy golibroda imieniem Figaro. Popielski wiedział, iż ten sprzęt bywa używany często w skrytobójstwach.

Zły nastrój dręczył Edwarda przez cały drugi akt, aż ten dobiegł końca i pojawił się wróg wszelkich przygnębień – konieczność działania.

Popielski, pożegnawszy się skinieniem głowy z prezesostwem, wyszedł szybko, aby zdążyć złapać jednego ze swoich ludzi i wysłuchać szybkiego raportu.

Od razu wypatrzył Zarembę i wziął go na stronę. Wilhelm wyszeptał, że Irena Barska podczas antraktu była w toalecie na parterze, jej mąż zaś pojawił się tylko w foyer, Mantelmacherowie natomiast przebywali wyłącznie w tym ostatnim pomieszczeniu. Nie zauważono, by ktokolwiek im coś przekazał.

Edward przyjął to wszystko do wiadomości i puścił wolno Zarembę, by ten – zmieniając się z Cyganem – szedł za Barskimi.

Sam postanowił zakasać rękawy i poszukać, choćby bardzo pobieżnie, jakichś ewentualnych tajnych skrytek w budynku.

Wiedział, że nie ma nic lepszego do roboty, a w tym czasie jego ludzie będą kontynuować śledzenie obu małżeństw. Co więcej, teraz, gdy wszyscy widzowie opuścili gmach teatru, okazja do eksploracji była bardzo dobra.

Kierownikowi budynku oraz inspicjentowi okazał policyjną odznakę i poinformował ich, że prawie do północy będzie się kręcił tutaj po korytarzach i innych pomieszczeniach. Ten zresztą już o tym wiedział od dyrektora teatru pana Jerzego Mazarakię, który tego wieczoru nakazał sprzątaczkom, aby powstrzymały się od swych obowiązków i przyszły do pracy dopiero następnego dnia. Dyrektor spełniał oczywiście prośbę pułkownika Krapińskiego, którą ten przedstawił mu poprzedniego dnia.

O godzinie dziewiątej, a więc na trzy godziny przed odprawą, Popielski zostawił marynarkę i melonik w pokoju inspicjenta i w samej tylko koszuli zabrał się ostro do roboty, zaglądając w kąty i szpary.

Nie sądził, aby udało mu się odnaleźć szyfrogram. Już go z pewnością przekazano nieznanemu pośrednikowi. Czwarty i piąty akt działań tropionego agenta już się z pewnością zakończył.

Poza tym „Łącznik Pasożyta” nie mógł przecież ryzykować przypadkowego odnalezienia informacji przez sprzątaczkę. Założywszy, że nie przekazał jej wprost nikomu z Mantelmacherów i Barskich, musiał dobrze ukryć niewielki dokument – w miejscu dla nich oczywistym.

„Cóż to może być za miejsce?” – nieustannie zapytywał sam siebie w czasie swych eksploracji.

Wydawało się, że wobec meldunku Wilhelma nie miał zbyt wielu miejsc do przeszukania. Właściwie były takie tylko dwa, nie licząc garderoby i schodów: damskie toalety na parterze, bo tam zaszła Irena Barska, oraz foyer – bo tam w czasie antraktu kręcili się wszyscy pozostali. W tych miejscach mogła znajdować się skrzynka kontaktowa.

Zaczął od dwóch znajdujących się na parterze budynku damskich ubikacji. Kiedy wszedł do pierwszej z nich, opadły mu ręce. Nawet gdyby się wcielić w średniego wzrostu kobietę, jaką była Irena Barska, oraz założyć, że szyfrogram ukryto w zamykanej kabinie, a nie w części wspólnej, gdzie zamontowano umywalki i wielkie lustro, to i tak mógł on zostać schowany w całej masie różnych prowizorycznych skrytek. Na przykład mógłby tkwić przyklejony pod drzwiami, które były wyprodukowane z bardzo grubej deski dębowej, albo pod podnoszoną klapą rezerwuaru czy też za rurą, przez którą przelatująca spłukująca muszlę woda, nie mówiąc już o tym, że najprościej byłoby plastrem przymocować kartkę pod deską klozetową.

Łączniczka – bo wobec płciowego przeznaczenia toalet założył, że to była kobieta – mogłaby umieścić szyfrogram pod jakimś ruchomym elementem, na przykład pod ruszającą się płytką podłogową albo ścienną. Sprawdził i ostukał wszystkie – nigdzie nie znalazł żadnej skrytki.

Po przeszukaniu w ten sposób jednej kabiny sprawdził siedem pozostałych. Bez wielkiej nadziei obejrzał i ostukał naścienne i podłogowe płytki w części wspólnej. Znow nic.

Z damskiej toalety wyszedł po dwóch kwadransach. Tyleż zajęło mu poszukiwanie ewentualnych skrytek w drugiej ubikacji. O godzinie dziesiątej przystąpił do dokładnego lustrowania schodów.

Posuwał się po nich bardzo powoli, z góry na dół, co chwila przysiadając na kolejnym niższym stopniu. Interesowały go zwłaszcza załamania pod poręczami.

Mimo że na ścianach płonęły kandelabry, oświetlając wielkie lustra i ornamenty na iluzorycznych greckich kolumnach, musiał przyświecać sobie zapalniczką, dopóki chłopak od inspicjenta nie przyniósł mu żądanej elektrycznej latarki.

Niestety, nigdzie nie było żadnych dziur ni schowków, w których można by umieścić jakąś kartkę, a przyklejanie jej pod poręczą na klatce schodowej, czyli w miejscu, gdzie wszyscy nieustannie chodzili, groziłoby natychmiastową dekonspiracją.

Popielski wstał i szczotką do ubrań, którą polecił sobie przynieść z garderoby, starannie oczyścił spodnie i koszulę. Teraz zapewne już się nie pobrudzi, teraz nadszedł czas na foyer.

Jeden rzut oka wystarczył, by dojść do kolejnego pesymistycznego wniosku: tutaj będzie miał o wiele więcej roboty niż w damskiej toalecie.

W ogromnym, rozłożonym na planie prostokąta foyer, o którym, jak wyczytał z wycinków prasowych dostarczonych mu przez pułkownika,



pisano z bałwochwalczym zachwytem i sporą przesadą, że mogłoby być ozdobą Opery Wiedeńskiej, znajdowało się wiele miejsc idealnych do pełnienia funkcji skrzynek kontaktowych.

Liczne stojące tu stoliki i miękkie, długie tapicerowane siedziska z oparciami i podłokietnikami oferowały boczne lub tylne powierzchnie, do których można było coś przykleić. Cztery wielkie kominki, o gzymsy których opierały się i zwieszały pod dość ostrym kątem potężne zwierciadła w złożonych ramach, mogły w swym wnętrzu skrywać przesyłki, które łatwo mógł stamtąd każdy wyciągnąć.

Wystarczyłoby, aby odbiorca oparł się łokciem o kominkowy gzyms i stamtąd lub zza lustra w jednej chwili, całkiem niepostrzeżenie, nawet wobec otaczającej go publiki, wydobył świstek papieru.

Na koniec swej lustracji foyer zwrócił uwagę na jeszcze jedno idealne wręcz miejsce do ukrycia szpiegowskiego meldunku. Na końcu pomieszczenia na metrowym postumencie stał posąg, jak głosiła mosiężna tabliczka, aktora i śpiewaka operowego Alojzego Żółkowskiego. Pod kamiennym obuwiem figury, co Edward natychmiast zauważył, pomiędzy noskiem bucików a wysokimi obcasami była szpara, w której bez żadnych kłopotów dałoby się umieścić małą buteleczkę, a co dopiero zwitek papieru. Oczywiście teraz niczego tam nie znalazł oprócz starego niedopałka, którego zapewne nie zauważyły sprzątaczk.

Edward usiadł na miękkim fotelu i ciężko oddychał. Wykonał kawał roboty. Spojrzał na zegarek. Szedł trzeci kwadrans na północ.

Wyszedł z teatru szybkim krokiem i wsiadł do jednej ze stojących pod budynkiem dorożek. Kazał jechać na Tamkę, a na pytanie fiakra: „Tamka ile, panie szanowny?”, odparł, że sam każe się zatrzymać we właściwym momencie.

Palił papierosa i patrzył na puste miasto. Miał nadzieję, że jego ludzie będą mieli na odprawie do powiedzenia coś konstruktywnego. Bo on niczego takiego nie mógł im przekazać.

Zegar na kościele Świętego Krzyża wybijał północ. Zaczynał się pierwszy dzień czerwca.

\* \* \*

MIESIĄC WCZEŚNIEJ, PIERWSZEGO DNIA MAJA, Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich przystanął na jeden dzień w swym zwycięskim marszu ku komunizmowi. Pierwszy Maja był świętem państwowym i lud pracujący miast i wsi miał obowiązek cieszyć się, śpiewać pieśni rewolucyjne i w triumfalnych pochodach ciągnących się głównymi ulicami wysławiać najsprawiedliwsze państwo świata i tych, którzy je stworzyli – Włodzimierza Iljicza Lenina oraz jego następcę i wielkiego kontynuatora, czyli Józefa Wissarionowicza Stalina, obecnego przywódcę imperium.

W mieście Czelabińsk, położonym na Uralu ponad sto kilometrów na północ od granic Kazachskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, dzień ludzi pracy świętowano również nader ochoczo. Około południa przez prospekt Lenina, nędzny, zakurzony i zabłocony trakt biegnący wśród dwupiętrowych, przeważnie drewnianych domów, przeszło pięć tysięcy pracowników Czelabińskiej Fabryki Traktorów imienia Stalina.

Młodzi robotnicy płci obojga szli pod łopoczącymi czerwonymi sztandarami, a przodownicy pracy socjalistycznej jechali na nowiutkich traktorach Staliniec-60. Na trybunie honorowej wszyscy na ich widok wiwatowali i pękali z dumy.

Wyjątek stanowili zagraniczni współpracownicy czelabińskiej fabryki, których bardziej niż postępy socjalistycznego kraju interesowało, czy dyrekcja terminowo uści swe zobowiązania na przykład za prefabrykaty.

Wśród owych współpracowników był inżynier Hermann Krüger, kierownik produkcji w wielkiej, istniejącej już ponad pół wieku, niemieckiej walcowni Ilseder Hütte.

Opuścił on przed rokiem rodziną Dolną Saksonię i udał się w delegację do Czelabińska, gdzie miał nadzorować wykorzystywanie niemieckiej technologii przez radzieckich inżynierów.

Krüger miał brata Ernsta, mieszkającego w Wolnym Mieście Gdańsku przedsiębiorcę okrętowego, który – w odróżnieniu od większości niemieckich obywateli miasta nad Motławą – miał ciepły stosunek do Polski i do Polaków.

Ernstem dużo wcześniej zainteresował się kapitan Jan Henryk Żychoń, szef Ekspozytury numer 3 Oddziału II Sztabu Głównego. Niemiec – właściwie z powodów ideowych – bardzo szybko zgodził się na współpracę z polskim wywiadem.

Żychoń natychmiast pojął, jak wielkie znaczenie na odcinku sowieckim może mieć dla ojczyzny brat Ernsta Hermann, bywający na co dzień w sowieckich fabrykach zbrojeniowych. O swym pomysle zwerbowania Hermanna Krügera Żychoń powiadomił Referat Wschód Dwójki.

Jego szef, kapitan Jerzy Niezbrzycki zabrał się energicznie do działań werbunkowych. Szpieg umiejscowiony w sercu sowieckiego przemysłu maszynowego, inżynier świetnie się znający na technologii wytwarzania ciężkich maszyn, mógł być prawdziwym skarbem.

I Hermann Krüger rzeczywiście się nim okazał. Namówiony przez brata, zgodził się na współpracę z Dwójką, przyjął pseudonim „Pastor” i w czasie kilku podróży służbowych, gdy wracał do Niemiec, spotykał się w Warszawie z kapitanem Niezbrzyckim i informował go szczegółowo o planach wytwarzania w Czelabińsku nowoczesnych czołgów.

Takie spotkanie miało nastąpić za miesiąc, na początku czerwca.

Tymczasem pierwszego maja inżynier Krüger po demonstracji udał się wraz z radzieckimi kolegami na huczne przyjęcie. Trwało ono całą noc, a następnego ranka w pomieszczeniach biurowych czelabińskiej fabryki traktorów już czekały na towarzyszy radzieckich oraz ich skacowanych zagranicznych kontrahentów stoły pełne astrachańskiego kawioru i kryształowych karafek wódki.

Krüger oszczędzał się, jak mógł, i drugiego maja wrócił w miarę trzeźwy do swojej kwatery.

W czasie tego pijaństwa wydawało mu się, że ktoś go bacznie obserwuje. Człowiek, którego widział po raz pierwszy.

Obudził się rano trzeciego maja i miał podejrzenia, że ktoś był w jego sypialni. Może to ten sam człowiek?

Szybko o nim zapomniał, ale do czasu. Cała ta sytuacja się powtórzyła ponad miesiąc później. Rankiem drugiego czerwca otworzył oczy i nabrał pewności, że jego podejrzenia sprzed miesiąca nie były jednak pijackimi omamami.

Przy stole siedział tamten nie znany mu mężczyzna w przekrzywionym na głowie kaszkiecie i bawił się brzytwą.

– Od wczoraj już mamy pewność, kim jesteś – powiedział ów człowiek płynną niemczyzną.

Nie przypominał wesołego Figara z *Cyrulika sewilskiego*, jego brzytwa nie była atrapą, a to, co się stało za chwilę, nie było operą buffo, wystawioną niedawno w warszawskim Teatrze Wielkim.

Ciało agenta „Pastora” z dziurą ziejącą pod brodą i z torsem zalany skrzepłą krwią znaleziono wieczorem. Natychmiast zawiadomiono jedyne go krewnego Krügera, jego brata Ernsta mieszkającego w Gdańsku. Ten od razu zatelefonował do kapitana Jana Henryka Żychonia.

Posterunek milicji w Czelabińsku podjął śledztwo. Nie prowadzono go jednak zbyt energicznie i wkrótce sprawę odłożono *ad acta*.

---

7 Zawsze wierny (łac.).

8 Pasożyt (łac.).

9 Zob. M. Krajewski, *Pomocnik kata*.

10 Poety przeklętego (fr.).

11 W dzień spać, pracować w nocy (łac.).

12 Jak należy (fr.).

## ROZDZIAŁ IV JAK BŁYSKAWICA

---

RESTAURACJA ZOFII RIEGERT I JANA ŻEBROWSKIEGO przy ulicy Tamka 19, położona nieco na uboczu, nie należała do najbardziej znanych i uczęszczanych warszawskich lokali. Bywali tutaj głównie urzędnicy, drobni sklepikarze oraz aktorzy i pracownicy z pobliskiego Teatru Polskiego, ale tylko ci zaawansowani w latach, młodszy woleli lokale z dansingiem.

Klientela ta nie była specjalnie wymagająca gastronomicznie – zadowalała się *spécialité de la maison*, czyli flaczkami po warszawsku – lecz za to wyczulona na pewne subtelności towarzyskie i przestrzegająca konwenansów.

Jej nastawienie często skutkowało hipokryzją. Wszyscy tutaj zdawali sobie sprawę ze swoich i cudzych drobnych grzeszków, lecz każdy je ukrywał.

Tak było w wypadku kobiet wiadomej konduity. Bywały tutaj regularnie, ale każdy z panów udawał, że nie rozpoznaje profesji owych pań, bywał wobec nich elegancki i grzeczny, aż w pewnej chwili oznajmiał innym głośno – tak by nie było żadnych wszetecznych podejrzeń – że oto idzie odprowadzić pannę Ziutę czy Wandę, bo ciemno już i niebezpiecznie.

Odprowadzał taką pannę, owszem, ale całkiem niedaleko – do jej kwatery, gdzie zażywał nieprzyzwoitej pozamałżeńskiej rozkoszy.

Jednym z bardziej wstydliwych grzeszków był tutaj hazard. Kiedy bywalcy lokalu zjedli już swoje flaczki i wypili po kilka kufli, budziły się w nich karciane lwy. Nie odsuwali jednak talerzy i sztućców, aby na oczach

wszystkich, na stole zaśmieconym okruchami czy na obrusie brudnym od sosu rozgrywać partie preferansa albo pokera – o nie, to byłoby w ich mniemaniu godne furmanów lub murarzy! Żądali osobnego miejsca, gdzie byliby wolni od mniejszych lub większych grup kibiców, gdzie mogliby udawać, że grają w bridża – średnio hazardową grę wyższych sfer, zwłaszcza prawników i oficerów.

Dla tych klientów pretendujących do grona bridżystów wyszykowano trzy przepierzenia, osłaniające ich przed oczami innych gości oraz uniemożliwiające kibicowanie. Tam rżnięto ostro w pokera, a kelnerzy wciąż donosili nowe kufle lub stopki wódki.

Byli też hazardziści bardziej wymagający, gotowi dodatkowo zapłacić za jeszcze szczelniejsze odizolowanie od reszty sali. Dla nich to w specjalnej przybudówce, która wcześniej była zwykłym magazynkiem, wyszykowano pokoik, zwany „salonikiem bridżowym”.

Nazwa to raczej nieadekwatna, bo grano tu głównie w pokera, i zbyt szumna jak na to niewielkie pomieszczenie z jednym oknem z okiennicami wewnętrznymi, ogrzewane piecykiem i wyłożone odłóżkami tu i ówdzie tapetami imitującymi ciemną klubową boazerię. Na ścianach nie było żadnych obrazów ani luster, czyli niczego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia, że ktoś obserwuje karty pokerzystów i sobie tylko znanym sposobem powiadamia gracza, którego jest współnikiem.

Zresztą gdyby ktokolwiek taki się pojawił, to zostałby szybko zauważony z podwórza kamienicy, przez które wchodziło się do saloniku. Trzy bowiem boki sześciennej murowanej przybudówki umiejscowione były na zabłoconym podwórku, czwarty zaś stykał się z samą kamienicą.

Salonik bridżowy stał rzadko kiedy wolny i nieużywany, a jego popularność wzrastała zwłaszcza w miesiącach zimnych; latem było w nim zbyt duszno, a okna raczej nie otwierano z powodu skarg okolicznych

lokatorów, którym przeszkadzały głośne okrzyki i przekleństwa zdenerwowanych lub triumfujących pokerzystów.

Noc z trzydziestego pierwszego maja na pierwszego czerwca była zimna i nikt z siedzących tu pięciu mężczyzn nie odczuwał gorąca z powodu zamkniętej okiennicy, która była też skuteczną barierą dla wścibskich oczu. Niestety, zatrzymywała ona też dym, który się kłębił wewnątrz i drapał po gardłach zebranych.

Dwaj z nich – Edward Popielski i Walerian Grabski – zdjęli marynarki i powiesili je na oparciach krzeseł, a Wilhelm Zaremba poluzował krawat i rozpiął koszulę. Herman Kacnelson i Stefan Cygan siedzieli zapięci na ostatni guzik, a temu ostatniemu dodatkowo owijał szyję ekstrawagancki jaskrawy szalik.

Najpierw Popielski przedstawił swoją hipotezę przekazywania informacji o polskich agentach do likwidacji. Nie unikał przy tym analitycznych sformułowań typu „przesyłka A” czy „przesyłka B”.

Nikt nie miał tu nic do dodania, nikt nie przedstawił żadnych modyfikacji.

Następnie Zaremba zreferował zdarzenia minionego wieczoru.

– Po pierwszym akcie pani Barska idzie do ubikacji – mówił scenicznym szeptem. – A pan Barski do foyer. Stoi w kolejce do bufetu, ja za nim, przed nim jakiś student. Uważnie obserwuję. Barski niczego nie dał studentowi ani też niczego od niego nie dostał. – Zaremba zaciągnął się mocno po raz ostatni i zgniótł papierosa w popielniczce. – Barski kupuje limonadę, dwa ciastka z rodzynekami i dwie szklanki herbaty z rumem. Pani Barska wraca do foyer z ubikacji, obydwójce siadają przy stoliku pod ścianą i spożywają dary Boże. Jakiś gość patrzy na panią Barską dłużej, niż wypada. Jej mąż spogląda na niego groźnie. Gość odchodzi. Tyle w czasie antraktu.



– A co tam zdarzyło się u panów? – Popielski spojrział na Kacnelsona i na Grabskiego. – Jakież ciekawe spostrzeżenia?

Gruby policjant zaczął podwijać rękawy koszuli i myślał nad odpowiedzią. Jego młodszy towarzysz uprzedził go.

– Mantelmacher nie kupił niczego w bufecie, jego żona także. – Kacnelson poprawił węzeł krawata i zademonstrował wszystkim sygnet z wygrawerowanym herbem Rzeczypospolitej. – Obydwoje po pierwszym akcie poszli do foyer i stanęli z boku, w gronie młodych ludzi w mundurach gimnazjalnych. Było ich trzech, z szarzą piątej klasy na otoku. Oprócz nich dwóch w studenckich czapkach, jasnobrązowych, z politechniki, o ile w Warszawie kolory takie jak we Lwowie. Tu się zmieniliśmy z panem Grabskim...

Popielski spojrział na tegoż, który właśnie podwinął już był rękawy aż za łokcie.

– Trzej gimnazjaliści i dwaj studenci – rzekł wywiadowca wywołany do odpowiedzi. – Wszyscy w typie semickim. Rozmawiali o jakimś zebraniu, na którym owi młodzi ludzie mieli przedstawić uczniom szkół powszechnych, jak zdobyć wskazówki na temat przyszłego zawodu. Wynikało z tego, że Adolf Mantelmacher może z tymi uczniami porozmawiać w jakiejś instytucji poradnictwa zawodowego...

– Co to za instytucja? – zapytał Popielski.

– Nazywali ją po prostu „instytutem”, nic więcej – odparł Grabski. – Ale wszyscy doskonale wiedzieli, o co chodzi. Rozmawiali o tym przez cały anakt. I tyle...

– Dodałbym coś jeszcze – wszedł mu w słowo Kacnelson. – Pani Dwojra Mantelmacherowa strzelała oczami do jednego z tych studentów.

– Co masz na myśli, Hermanie? – włączył się do rozmowy dymiący jak lokomotywa Cygan. – Patrzyła na niego zalotnie? Podrywała go?

– Potwierdzam – odezwał się Grabski zamiast zapytanego. – Można powiedzieć, że patrzyła na niego znacząco. Po spektaklu Mantelmacherowie pojechali do domu na Solną. I tyle.

– Nikt nikomu niczego nie przekazał? Żadnego świstka, żadnej kartki z notesu? – dopytywał się Edward.

Grabski i Kacnelson pokręcili w milczeniu głowami. Za oknem rozległ się miarowy krok. To dwudziestoletni Jan Żebrowski, syn właściciela lokalu i agent Krapińskiego, ich łącznik z pułkownikiem, pilnował, by nikt z zewnątrz nie podsłuchiwał.

Na Popielskim młodzieniec ów zrobił bardzo dobre wrażenie, gdy przed kwadransiem przedstawił się im wszystkim i zaprezentował swoje zadania – chronienie ich w saloniku przed wścibskimi i przekazywanie meldunków do „pałacu”, jak się wyraził.

I właśnie taki meldunek kapitan teraz zapisał.

– Potrzebujemy czterech niewiast jako agentek – odczytał swoją notatkę. – Po dwie dla pani Mantelmacherowej i dla pani Barskiej. Nikt z nas nie wejdzie przecież za nimi do damskiej ubikacji.

– Słusznie, Edwardzie – pokiwał głową Zaremba. – Nikt z nas nie potrafi przeświecić danej kobiety tak dobrze jak inna. Rozpoznać min, ruchów i innych niuansów, które by świadczyły na przykład o małżeńskiej zdradzie lub choćby o takim zamiarze. A tu chyba jest co przeświecić... O jedną, nader nadobną, mąż jest zazdrosny. Druga być może daje powody do zazdrości, bo jak nasz Hermanek powiedział, „strzela oczami do studentów”...

Na twarzy Kacnelsona pojawił się wyraz niechęci. Najwyraźniej nie przypadło mu do gustu zdrobnienie jego imienia, które dostał na cześć przyjaciela ojca z okopów Wielkiej Wojny. Dawno by je zresztą zmienił na „Henryk”, gdyby nie pamięć rodzinna. Ów Austriak uratował życie

rodzicielowi i nie wypadało manipulować przy pamiętce, jaką było to nieszczęsne imię.

– Tak – rzekł Popielski. – Przez żony możemy się dobrać do mężów. Bliscy są zawsze najsłabszymi punktami, bo na nich skupia się najwięcej emocyj. Wystarczy nacisnąć, gdzie trzeba, a prawda wypłynie.

\* \* \*

– WYSTARCZY NACISNĄĆ, GDZIE TRZEBA – powiedział przesłuchujący. – A wszystkie flaki z ciebie wypłyną. Wszyściuteńkie...

Maksym Naumiak nie mógł pohamować lekkiego uśmiechu. Siedział przed biurkiem młodszego porucznika bezpieczeństwa państwowego nazwiskiem Siergiej Jabłoczkin i w myślach udzielał mu rad.

On sam, gdyby miał przed sobą agenta, którego powinno się sprawdzić, czy nie jest przypadkiem odwrócony, postępowałby zupełnie inaczej. Przede wszystkim należałoby spokojnie go przesłuchiwać i szukać sprzeczności w zeznaniach. Wciąż pytać o to samo i próbować złapać na kłamstwie. Straszenie torturami i one same to ostateczność. I to w dodatku nieskuteczna, wszak człowiek na mękach przyzna się do wszystkiego.

„Och, ci młodzi... Zupełnie nie znają się na przesłuchiowaniu – pomyślał. – No cóż, są gorliwi, chcą być skuteczni, chcą szybko pokazać się swoim zwierzchnikom...”

Dwudziestokilkuletni na oko śledczy w mundurze zapiętym pod szyją i w niebieskiej czapce z czerwonym otokiem zastąpił ryczącego jak wół Łotysza nazwiskiem Nordrups, który go straszył od dwóch tygodni i nawet pięściami przed oczami mu machał. Lecz mimo wyraźnej furii nie uderzył, do tego się nie posunął, aby bić tak zasłużonego szpiega.

Naumiak był pewien, że to wszystko niedługo się skończy, że te przesłuchania są rodzajem kwarantanny, jaką musi przejść każdy, kto wrócił

z kraju wroga.

O tym mogłyby świadczyć stosunkowo dobre warunki, w jakich spędził dwa tygodnie w areszcie tymczasowym, po tym jak po wymianie szpiegów przybył pociągiem z polskich Mikaszewicz do Moskwy na Dworzec Białoruski, a stamtąd więzienną furgonetką, zwaną „czarnym krukiem”, przetransportowano go na plac Łubiański.

Tutaj znalazł się w suterenie, w celi zwanej przez więźniów „psią budą”. Poza ogromnym zagęszczeniem – na dwudziestu metrach kwadratowych przebywało jednocześnie dwudziestu więźniów – oraz tysiącami pluskiew, które dokuczały nocami, nie mógł narzekać na inne niedogodności.

Jedzenie okazało się znośne: czarny chleb, słaba herbata, dwa kawałki cukru, zupa z kapusty zwana „szczy” z kilkoma kawałkami nieznośnie rozgotowanego, ale jednak mięsa, a do tego kasza, której jedyną wadą było to, że czasami można było w niej znaleźć martwego karalucha.

Naumiak nie był wybredny. Jadł wszystko, byleby dużo. Musiał dobrze odżywiać swój pokryty tłuszczem organizm. Głód doznany w dzieciństwie w charkowskich zaułkach był jak pobyt w piekle. Więzień jadł na zapas.

Rygor w celach też nie panował nieznośny – apeli nie organizowano, a spać mógł każdy, ile chciał, nawet w dzień, jeśli tylko nie przeszkadzało mu nieustanne gadanie więźniów. Naumiakowi nie wadziło, spał dobrze – choć sny bywały nieprzyjemne. Wciąż śniły mu się leśne ostępy Wołynia i oblicze Edwarda Popielskiego – dowódcy polskiego zagonu, który srogo tam prześladował bolszewicki zastęp Marcina Zaran-Zaranowskiego. Te sny dręczyły go często i pojawiały się niezależnie od miejsca, w którym Naumiak nocował.

„Tak, to prawdziwa kwarantanna – podsumował swoją sytuację Naumiak. – Odpocznij, a my cię sprawdzimy. A potem dalej! Walczyć

z chachłakami”<sup>13</sup>.

Jabłoczkin poprawił pas przecinający na ukos jego mundur. Spojrzał na przykryte obrusem biurko – na bakelitowy telefon oraz na lekko obracające się skrzydła wentylatora. Wzniósł oczy na portret Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego, jakby prosił wielkiego Polaka o wsparcie w przesłuchaniu.

„Ten chłopak sam nie wie, co ma robić – pomyślał o enkawudziście więzień z pewnym nawet współczuciem. – Strzyże oczami na boki, głupkowato się uśmiecha... Oj, po protekcji on tu się dostał, po protekcji...”

Jabłoczkin wstał i zacisnął dłoń. Robił już tak wcześniej, jakby sprawdzał własną siłę. I ani razu nie uderzył.

Aż do tej chwili. Cios trafił Naumiaka pod uchem. Przesłuchiwany krzyknął przeraźliwie – może nie tyle z bólu, choć ten przeszył go gwałtownie, ile z zaskoczenia. Jego tłuste policzki i drugi podbródek zatrzęśły się w zwolnionym jakby tempie.

Kiedy po raz drugi dostał z pięści w twarz, upadł z hukiem na podłogę. Potrząsnął głową z niedowierzaniem, a odsłonięty brzuch drgnął w paroksyzmie bólu.

Ujrzał, jak do pokoju przesłuchań wchodzi znany już mu Nordrups. W dłoniach trzymał wielką pałkę. I wtedy ciemność więźnia eksplodowała. Straszny ból zaciemnił mu oczy i rozluźnił wszystkie mięśnie. Zapadając w mrok, czuł, jak jego ciało ogarnia ciężki bezwład.

Zimna woda śmierdząca szmatami przywróciła mu przytomność po kwadransie.

Jabłoczkin ukucnął przed nim.

– Jaki pseudonim dostałeś od polskiej Dwójki? No, wieprzu, gadaj! Jaki pseudonim dały ci pszeki?<sup>14</sup>

W wytrzeszczonych oczach Naumiaka pojawiło się bezbrzeżne zdumienie.

– Dawaj, Juris – krzyknął kat. – Na bok go!

Jabłoczkin wstał.

– Wystarczy nacisnąć, gdzie trzeba – powiedział – a wszystkie flaki z ciebie wypłyną...

I kopnął, gdzie trzeba. Raz i dwa. Ale potem się pohamował. Towarzysz Sztejn briuk nie pozwolił im iść na całość.

\* \* \*

JABŁOCZKIN, KIEDY JUŻ SKOŃCZYŁ PRZESŁUCHANIE, wystukał raport i późną nocą zaniósł go osobiście do domu swojego szefa.

Na trzecim piętrze w kamienicy, gdzie mieszkał kapitan Otto Ottowicz Sztejn briuk, szef Wydziału I Razwiedupru odpowiedzialnego za działania wywiadowcze przeciwko Polsce, paliło się światło. Szef pracował i nikt już nie donosił o tym polskiemu wywiadowi.

Nowy dozorca, przebudzony z głębokiego snu, o nic nie pytał, ujrawszy mundur Jabłoczki na. Wiedział, do kogo się wybiera młodszy porucznik bezpieczeństwa państwowego.

Sztejn briuk siedział w swoim gabinecie. Kazał podwładnemu spocząć i przeczytał uważnie jego raport. Odłożył go i spojrzął na inny dokument leżący na biurku w zielonej teczce.

– Mówi wam coś nazwisko Edward Popielski? – zapytał Jabłoczki na.

Ten pokiwał głową. Słyszał od doświadczonego kolegi, ile krwi napsuł im ten paskudnik przy sprawie zamachu na posła Wojkova<sup>15</sup> oraz wcześniej – przy okazji wołyńskich awantur Marcina Zaran-Zaranowskiego<sup>16</sup>.

– To wypytajcie Naumiaka, towarzyszu Jabłoczkin, o Popielskiego. Chcę wiedzieć, jak bardzo nienawidzi tego Polaka. Tylko tyle. Patrzcie, czy ta nienawiść jest udawana czy autentyczna. Potraficie to rozpoznać?

Jabłoczkin znów pokiwał głową. Był zbyt zmęczony, aby coś sensownego odpowiedzieć, oczy mu się kleiły.

Sztejn briuk uznał, że nie będzie męczył podwładnego doniesieniami z zielonej teczki. Miał je już od kilku dni. Mówiły one wyraźnie, iż Edward Popielski został zatrudniony przez najtajniejszą komórkę polskiej Dwójki, zwaną „kontrwywiadem w wywiadzie”.

A to mogło oznaczać duże kłopoty.

\* \* \*

W SALONIKU BRIDŻOWYM ZALEGAŁA CISZA.

– A co z Barskimi? – przerwał ją Popielski i spojrzał na Cygana.

Policjant poprawił swój jedwabny szalik.

– Poszli do eleganckiej winiarni Simon i Stecki, Krakowskie Przedmieście 38 – odparł. – Tam siedzieli przez dwie godziny. Zamówili ciastka tortowe. Mało co do siebie mówili. Wypili butelkę wina tokajskiego słodkiego za... uwaga, sześćdziesiąt złotych za butelkę! Oprócz tego Barski wychylił cztery kieliszki starki, złotówka za kieliszek. Wiem o tym dobrze, bom siedział przy barze i widziałem, jak kelnerzy nabijają kasę.

Zaremba aż gwizdnął, co wyrażało niechęć połączoną z podziwem.

– Dobrze zarabia nasz malarz wywrotowiec...

– Z nikim nie rozmawiali – ciągnął Cygan. – Jedynie z kelnerem, który dobrze się zna na winach, bo perorował tak głośno i z takim oddaniem polecał tokajskie, że sam pomyślałem sobie, iżbym wypił może lampkę...

Popielski nie spuszczał wzroku ze swojego młodego podwładnego. Ten się zarumienił pod jego spojrzeniem. Edward chyba znał powód tego zmieszania.

– Irena Barska pana zauważyła? Zwróciła na pana uwagę? Może się lekko uśmiechnęła?

Cygan był purpurowy.

– Chyba tak – bąknął.

– Co „tak”?

– Uśmiech...

Zaremba i Grabski parsknęli.

– Ty to masz, Stefciu, z tymi babami! – zawołał Kacnelson. – Łyżkami by cię jadły!

Cygan zapalił nowego papierosa.

– I dlatego mój młodszy kolega musiał się wycofać, a ja przejąłem obiekt – odezwał się Wilhelm. – Zauważyłem, że ten kelner podchodził do nich kilkakrotnie. Było już dobrze po jedenastej, kiedy mu zapłacili. I ten giął się w pokłonach. Dostał chyba niezły napiwek. Pani nie spuszczała go z oczu...

– Jak ten kelner wyglądał?

– Gdyby nasz Stefek miał go narysować, to musiałby narysować autoportret. – Zaremba się uśmiechnął jak psotnik. – Taki sam gładysz i delikacik...

Cygan zaciągnął się głęboko. Był przyzwyczajony do tych niewinnych koleżeńskich kpín ze swojej chłopięcej aparycji.

„Pani Barska najwyraźniej lubi młodych mężczyzn o subtelnej urodzie” – zapisał w notesie Popielski.



– Kiedy ober poszedł na zaplecze – ciągnął Zaremba – zaczepiłem go tam i pokazałem znaczek. Wypytałem o młodego, który obsługiwał państwa Barskich...

Zaczął kartkować notes. W końcu znalazł to, czego szukał.

– Wiktor Dymek, lat dwadzieścia cztery. Mało prawdopodobne, aby to on był łącznikiem pomiędzy Barskimi a „Pasożytem”...

– Dlaczego mało prawdopodobne? – Kacnelson nie wytrzymał.

– Miał kłopoty, tak mi mówił ober, bo nie chciał obsługiwać Żydów. – Zaremba nie patrzył na pytającego. – Omal nie wyleciał za to z pracy. Jest radykałem, członkiem ONR-u.

– I trzymają go nadal w takim pierwszorzędnym lokalu? – krzyknął oburzony Kacnelson.

Zaremba pokiwał głową.

– Jest najlepszym sommelierem – mruknął. – Po jakimś kursie w Bordeaux. Wina potrafi zachwalać jak nikt.

Zapadła ciężka cisza. Nikt nie patrzył na Żyda Kacnelsona.

– To prawda – rzekł w końcu Popielski. – Trudno sobie wyobrazić, żeby antysemita był łącznikiem komunistycznego szpiega. – Sapnął. – Choć nie tak dziwne rzeczy już widziałem...

Wstał i spojrzał na swoich ludzi. Zmrużył oczy, chroniąc je przed dymem, jaki unosił się z jego papierosa.

– Czas na osobiste spostrzeżenia, moi panowie! Choćby najbardziej błahe, choćby się wam zdały głupie!

Każda odprawa kończyła się osobistymi refleksjami i wrażeniami, które nie raz i nie dwa prowadziły ich we Lwowie do celu.

Tym razem tylko Stefan Cygan miał coś do powiedzenia.

– Dziwnym mi się zdało – rzekł cicho – że taki uznany malarz ubiera się tak mało... – Zabrakło mu słowa. – Tak mało harmonijnie... Ten jasny garnitur do ciemnego kapelusza... I ten nieszczęsny żółty goździk w butonierce... Brrr!

Popielski spojrział na niego uważnie. Nie przypominał sobie tego elementu garderoby Barskiego.

– Miał żółty goździk w butonierce?

– Mantelmacher również – wszedł mu w słowo Kacnelson. – Gdy wysiadał z dorożki na Solnej. Widziałem...

– W teatrze w foyer na pewno nie miał niczego w butonierce... – dodał Grabski.

– To samo mogę powiedzieć o Barskim – rzekł Popielski. – Przed jego wyjściem z teatru nie widziałem żadnego kwiatka. A pan Kacnelson widział w winiarni. Musiał go wpiąć przed wyjściem z teatru. – Przesunął wzrokiem po obecnych. – Panowie, to jest zadanie domowe. Przemyślcie, dlaczego obaj wcześniej nie mieli kwiatków w butonierkach, a później już tak. Co to może znaczyć? Podzielimy się hipotezami na jutrzejszej odprawie. – Patrzył na nich przez chwilę jak belfer na uczniów. – A teraz nasze dalsze działania. Nadal inwigilują panowie tych samych. Z pewną jednak różnicą. Pan Cygan nie śledzi Barskich, bo wpadł w oko żonie malarza. Zamienia się pan z panem Grabskim. Czyli młodzi panowie, Kacnelson i Cygan, biorą pod lupę Mantelmacherów, a Barskiego pan Zaremba...

– A ja co mam robić? – zapytał Grabski.

– Zaraz się pan dowie – rzekł tajemniczo Popielski.

Podszedł do okiennicy i otworzył ją. Do środka weszło chłodne powietrze nocy. W nieodległym kościele Świętego Krzyża wybiła pierwsza.

– Panie Żebrowski – syknął Edward w ciemność. – Jesteś pan tam? No, chodź pan tu!

Zamknął okiennicę.

Nie czekali długo. Po chwili w saloniku zjawił się młody, szczupły i niewysoki mężczyzna z gęstą czarną czupryną pociągniętą obficie brylantyną. W ręku trzymał dwie koperty. Położył je na zielonym płótnie stolika.

Popielski otworzył pierwszą i wyjął z niej małą kartkę. Był na niej wypisany ciąg cyfr i liter. 36-6F-Na.

– Trzeciego czerwca? Teatr Narodowy? – zapytał Cygan.

– Tak – odpowiedział Popielski i poczuł skurcz w przeponie. – Zaraz zobaczymy, jaki to spektakl.

„Kolejny teatralny wieczór, kolejny wyrok, kolejny trup” – pomyślał z goryczą.

Otworzył drugą kopertę i na bridżowe sukno wysypało się pięć teatralnych biletów.

– Tadeusz Rittner, *Głupi Jakub* – przeczytał Edward.

Spojrzał na łącznika.

– Dziękujemy panu – pokiwał głową. – Niech pan nie odchodzi. Mam do pułkownika trzy sprawy.

– Proszę mówić – rzekł młody Żebrowski. – Zapamiętam wszystko.

– Potrzebne nam są minimum dwie, a maksimum cztery kobiety – postukał palcem w bilety – na wieczór trzeciego czerwca. Urody przeciętnej, ubrane wieczorowo. Mają mieć bilety na spektakl *Głupi Jakub* i zdjęcia Dwojry Mantelmacher oraz Ireny Barskiej. Odprawa tych pań ze mną tutaj godzinę przed spektaklem.

Jan skinął głową.

– Dowiedzieć się wszystkiego o człowieku nazwiskiem Wiktor Dymek, kelner od Simona i Steckiego. To druga sprawa.

Znów kiwnięcie.

– Trzecia to akta osobowe pracowników teatrów: Wielkiego, Narodowego, Nowego, Polskiego i Letniego. Jutro idę na plac Teatralny i przejrzę teczki personalne z Wielkiego, Narodowego i Nowego. Do teatrów Letniego i Polskiego pójdzie pan, panie Walerianie. – Spojrzał na Grabskiego. – To właśnie pańskie zadanie. Szukamy jakichkolwiek powiązań personelu z ruchem komunistycznym. Zapisujemy, cokolwiek wyda nam się podejrzanym w tych papierach. Dyrekcja tych wszystkich teatrów ma być uprzedzona. – Tu skierował wzrok na młodzieńca. – I nikt ma się nie dziwić naszej bytności w sekretariatach. Rozumiemy się, panie Żebrowski?

– Tak jest – odparł zapytany.

Edward podrapał się po głowie.

– A teraz sprawa do pana. Jakby to powiedzieć? Czy ten salonik bridżowy... Czy tu można...

– Oczywiście, że można – wszedł mu w słowo młody człowiek. – Wódka i gorące zakąski już wjeżdżają. Parówki w ostrym sosie pomidorowym, paszteciki, klopsiki w różnych odmianach... Dzbanek kompotu domowego? Tylko jedno pytanie: ile ma być tego płynu życia? Litr czy pół?

– No proszę! – Uśmiechnął się Popielski. – Zgaduje pan wszystko w lot. A co do ilości *aqua vitae*<sup>17</sup>... No cóż... – Rozejrzał się po kolegach. – Żartować tu nie przyszliśmy, młody człowieku. – Roześmiał się. – Daj pan litr monopolowej luksusowej, ale ani kropelki więcej, bo jutro...

– Bo jutro nie chcemy mieć kacnelsona – uzupełnił posiadacz tego nazwiska.

Miało to zabrzmieć wesoło, ale wyszło dość posępnie.  
Byli zmęczeni podróżą i wytężoną pracą umysłową.  
W jedzeniu trochę pogrzebali, zamówionej wódki do końca nie wypili.

\* \* \*

POCZĄTEK CZERWCA MINĄŁ BEZ ŻADNYCH szczególnych wydarzeń. Edward Popielski, odespawszy przed południem pierwszą nocną odprawę, od godziny trzeciej do piątej pierwszego dnia miesiąca siedział w sekretariacie Teatru Wielkiego i przeglądał teczki osobowe obecnych pracowników tej instytucji oraz dwóch innych posadowionych w tymże samym gmachu. Identyczną czynność wykonywał Walerian Grabski w sekretariatach teatrów Letniego i Polskiego.

Łącznik z restauracji dobrze się spisał. Rzeczywiście, nikt się nie dziwił obecności policjantów w biurach teatralnych. Dyrekcja każdego z nich została uprzedzona przez kierowników komisariatów policji właściwych dla rewirów, w których mieściły się owe świątynie Melpomeny.

Popielski mógł zatem spokojnie pracować w małym pokoiku przy sekretariacie z oknem na podwórze.

Nie napracował się zresztą zbytnio. Akta okazały się skąpe, a informacje o pracownikach – nader szczupłe. Najwięcej było oczywiście o występujących na tutejszej scenie aktorach, wraz z wykazem ich poprzednich miejsc zatrudnienia.

Mimo dokładnej analizy wspartej śledczą intuicją ani razu nie zapaliła się w jego głowie lampka alarmowa. W aktach nie było nic, co by wskazywało na jakiegokolwiek związki pracowników teatru z ruchem komunistycznym. Wynotowawszy sobie wszystkie ich nazwiska, Popielski na ręce młodego Żebrowskiego złożył kolejną prośbę do pułkownika – na następny dzień.

Po południu Edward udał się do pobliskiej restauracji automatycznej przy ulicy Wierzbowej i zjadł tam potężny posiłek, składający się z sałatki po żydowsku, nóżek cielęcych w galarecie oraz z kotleta wieprzowego.

Dzień ten zakończył się w saloniku – odprawą, z której nic nowego i istotnego nie wynikało. Na temat żółtych goździków nikt, włącznie z Edwardem, nie miał żadnej hipotezy. Dlaczego łącznikami były dwa małżeństwa, czyli aż cztery osoby – tutaj też nikt nie przedstawił najłżejszych nawet przypuszczeń.

Ludzie Popielskiego śledzili każde z małżonków z osobna i skutek był łatwy do przewidzenia: wszyscy oni w ciągu dnia spotykali się z różnymi ludźmi i mogli przekazać im informacje na tysiąc niezauważonych sposobów.

Grabski też nie miał żadnych elektryzujących wieści poza jedną plotką, że brat pewnego inspicjenta z Teatru Letniego awanturował się kiedyś po pijanemu w restauracji Pod Wiechą, śpiewając *Międzynarodówkę*. Wręczył szefowi spis tych wszystkich osób, których papiery przejrzał.

Edward miał przed sobą pięć list nazwisk – każdą z innego teatru. Po cichu liczył, że któreś będzie się na nich powtarzało. Przecież tajni zagraniczni agenci Dwójki ginęli po wizytach Mantelmacherów – a może i Barskich? – w różnych teatrach. Gdyby Mantelmacher czy jego żona mieli odbierać od kogoś przesyłki szpiegowskie, by przekazać je dalej, to ten ktoś musiał mieć jakiś związek ze wszystkimi pięcioma teatrami. A tymczasem żadna z wypisanych przez Popielskiego i przez Grabskiego osób nie występowała na więcej niż jednej liście.

Kolejne pudło. Łącznikiem „Pasożyta” musiał być jakiś bywalec, nie pracownik teatru.

Edward tonem mało entuzjastycznym polecił Grabskiemu sprawdzić brata owego inspicjenta.

Członkowie lwowskiej ekipy byli markotni. Również oni zdawali sobie sprawę, że niedługo gdzieś zginie ktoś, kto walczy za Polskę na tajnym szpiegowskim froncie.

Niewypitej wódki z poprzedniego dnia nawet nie tknęli.

\* \* \*

DRUGIEGO CZERWCA Żebrowski obudził Popielskiego w samo południe.

Jan potwierdził, iż prośba kapitana została spełniona przez pułkownika i ma się on udać do Komisariatu Rządu Miasta Stołecznego Warszawy na ulicę Senatorską 16, a tam ma poprosić o widzenie z panem Stefanem Pacem z Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego.

Popielski uczynił to niezwłocznie i po godzinie stał przed obliczem życzliwego i pomocnego pierwszego zastępcy kierownika wydziału.

Pan Stefan Pac, któremu podlegały właśnie sprawy polityczne, poprosił Edwarda o zajęcie miejsca w małym sekretariacie oraz o cierpliwość, gdyż podlegli mu pracownicy wyszukują właśnie na półkach nazwiska dwustu dwudziestu czterech osób, bo tyle liczył aktorski i pozaaktorski personel wszystkich pięciu teatrów. Tę obszerną listę, jak wyjaśnił Pac, otrzymał dziś rano od wysłannika „wiadomej osoby”.

Edward cierpliwie czekał. Minęła godzina, potem druga. A potem – ku jego rozczarowaniu – znalazła się przed nim jedna jedynateczka z nazwiskiem Antoniego Górczyńskiego, inspicjenta z Teatru Letniego. Był to ten sam, którego brat – co stwierdził już wcześniej Grabski – awanturował się w lokalu Pod Wiechą. Co więcej, jego człowiek ustalił, że ów brat nazywa się Felicjan Górczyński, jest członkiem nielegalnej Komunistycznej Partii Polski i od dwóch lat przebywa w osławionej Berezie Kartuskiej.

„Dobre i to – pomyślał Popielski. – Trzeba wziąć na celownik tego inspicjenta”.

Pożegnał miłego pana Paca i udał się do swojego lokum, zahaczając po drodze o Resursę Kupiecką przy Senatorskiej, gdzie spożył obiad równie syty jak wczorajszy.

W mieszkaniu znalazł wsuniętą za drzwi kartkę z napisem „Janek”. Zadzwoił do restauracji i dowiedział się, że na dzisiejszym bridżu będzie znacznie więcej osób.

Na trzy godziny przed odprawą Edward wszedł do małej rozmównicy telefonicznej położonej przy przystanku autobusów miejskich na rogu Brackiej i Chmielnej.

Na połączenie ze Lwowem czekał pół godziny.

Rozmawiał z Leokadią po niemiecku. Język Goethego służył kuzynostwu za język tajny. Najczęściej używali go, gdy w pobliżu była Rita.

Dziewczyna wiedziała, że mówią o czymś, co nie było przeznaczone dla jej uszu, i te sekrety drażniły ją niepomierne. Przeszkadzała im teraz w rozmowie, hałasowała i wciąż przerywała Leokadii jakimiś głupimi pytaniami.

Edward poprosił córkę do aparatu i ciepłym ojcowskim tonem lekko ją napomniął, by im pozwoliła porozmawiać i żeby poszła do swojego pokoju. Chciał ją jeszcze wypytać o codzienne sprawy, ale dziewczyna trzasnęła słuchawką o widełki, nieroztropnie przerywając połączenie.

Na kolejną rozmowę czekał trzy kwadranse. Kiedy już udało mu się ją nawiązać, dowiedział się od Leokadii, że Rita dostała dwóję z łaciny i że jest wciąż nadąsana i zła na ojca.

Westchnął głęboko. Spodziewał się, że teraz Leokadia wyleje na niego cały żal, jaki się kłębi w jej sercu; że będzie narzekać na utrapienie



z kuzynicą, choć – jak wiedział – był to powód tylko pozorny.

Właściwym była oczywiście jej kobieca samotność, smutna pewność, że nic więcej już jej w życiu nie czeka poza uciążliwą codziennością, jaką stało się dla niej roztaczanie opieki nad Edwardem i Ritą.

Pomylił się jednak w swych przypuszczeniach.

– Ona tęskni za tobą, Edwardzie – szepnęła Leokadia. – A ja...

Urwała. Szczere wyznanie to byłoby zbyt dużo jak na tę powściągliwą damę.

– Kocham was obie, Lodziu – mruknął Edward. – Muszę kończyć. Do widzenia.

Czuł, jak głos więźnie mu w gardle.

Odwiesił słuchawkę. Wiedział, a właściwie się łudził, że to, co najważniejsze pomiędzy nimi, winno kryć się w milczeniu.

We Lwowie Leokadia westchnęła i odłożyła słuchawkę. Rita stała w progu salonu i patrzyła na ciotkę. Miała łzy w oczach.

\* \* \*

ODPRAWA W SALONIKU odbyła się równo o północy i zaczęła się od prezentacji trzech pań, które zostały skierowane przez pułkownika do pomocy.

Popielski był pełen uznania dla Krapińskiego. Działał on bardzo szybko, a wynalezione przezeń agentki całkowicie odpowiadały zapotrzebowaniom tej misji. Były to trzy kobiety po trzydziestce. Ubrane skromnie, nie rzucały się w oczy. Miały bystre, inteligentne wejrzenia.

Nie były też zalotne i nie zdradzały żadnych ciągót ani do flirtu, ani do żartów i przekomarzań. Wyglądały na urzędniczki lub nauczycielki – czyli niewiasty, których bytność w teatrze jest czymś naturalnym. Gdyby

podkreślić ich urodę mocniejszym makijażem i wyzywającym strojem, mogłyby uchodzić za bywalczyne kawiarń, fordanserki, a nawet za kurtyzany. Mogły odgrywać każdą rolę.

Krapiński zapewniał, że potrafią się bronić, a każda ma w torebce miniaturowy pistolet. Jedną z nich uważał za obdarzoną niezwykle bystrością i umiejętnością skutecznych działań improwizowanych.

Nosiły pseudonimy nadane wyłącznie do tej sprawy: Debora, Jael i Filistynka. Właśnie ta ostatnia cieszyła się szczególnym zaufaniem pułkownika.

Krapiński wynalazł ich pseudonimy w bardzo prosty sposób. Otworzył na chybił trafił Biblię i wybrał trzy pierwsze imiona i określenia kobiet z Księgi Sędziów, bo akurat na czwartym rozdziale tego utworu otworzył mu się Stary Testament.

Każda z nich miała zdjęcia inwigilowanych kobiet oraz bilety na spektakl *Głupi Jakub*.

Popielski zaczął wyznaczać im role.

– Dwie spośród pań, Deborę i Filistynkę, deleguję do śledzenia Barskiej. To kobieta ciekawa świata, rozgląda się dokoła, wygląda na zainteresowaną innymi mężczyznami. Dlatego wyznaczam dwie panie, bo zmiany będą konieczne. Ona jest bardzo... by tak rzec... ruchliwa. Trzecia z pań... – I tu spojrział na czarnowłosą, smagłą Jael, którą można było wziąć za Żydówkę. – A pani bierze pod lupę Mantelmacherową. Czy są jakieś pytania?

Żadne nie padły. Edwardowi bardzo się podobała ich małomówność.

\* \* \*

NASTĘPNY DZIEŃ, TRZECI CZERWCA, miał być kolejnym dniem obławy na „Pasożyta”.

Ale był też prawdziwym *dies irae*<sup>18</sup>.

Pułkownik Emanuel Krapiński wezwał ich przez Janka na nadzwyczajne poranne zebranie w saloniku bridżowym.

Kiedy już się wszyscy tam zeszli, pułkownik długo patrzył im w oczy. Każdemu po kolei. A z każdym spojrzeniem siniał na twarzy coraz bardziej.

A potem w straszliwej furii zaczął walić pięścią o blat stolika bridżowego pokryty zielonym suknem.

Na nim leżał lakoniczny meldunek o śmierci agenta „Pastora” w dalekim Czelabińsku.

Solidny wytwór mistrzów stolarskich z ulicy Widok wytrzymał wściekłość pułkownika.

– Następnego dnia, moi panowie... – syczał Krapiński. – Poderżnięto mu gardło następnego dnia po *Cyruliku sewilskim*. „Pasożyt” wali szybko i z wielkim hukiem. Jak błyskawica! Jeśli go dzisiaj nie złapiecie, jutro będziemy mieli kolejnego nieboszczyka.

Popielski *et consortes*<sup>19</sup> zwiesili ponuro głowy. Błyskawicy nie można powstrzymać.

Można tylko bezradnie patrzeć, jak uderza w człowieka.

A potem, jak ten się topi i skręca wśród dymu i płomieni.

---

<sup>13</sup> Ukraińcami (ros. określenie pogardliwe).

<sup>14</sup> Polacy (ros. określenie pogardliwe).

<sup>15</sup> Zob. M. Krajewski, *Pomocnik kata*.

16 Zob. M. Krajewski, *Dziewczyna o czterech palcach*.

17 Wody życia (łac.).

18 Dniem gniewu (łac.).

19 I koledzy (łac.).

## ROZDZIAŁ V W CIEMNEJ DOLINIE

---

MIMO ŻE SPEKTAKL W TEATRZE NARODOWYM rozpoczynał się o siódmej wieczorem, widzowie schodzili się dużo wcześniej.

Ten dzień w stolicy był dość pogodny – przynajmniej w porównaniu z poprzednimi. Po południu słońce wyszło zza chmur i ludzie traktowali wizytę w teatrze jako okazję do spotkań, rozmów i przechadzek. Udawali się zatem – zakupiwszy w kasie bilety – do Ogrodu Saskiego lub do pobliskich kawiarni na lody, ciastka, kawę i limonadę.

Komedia Tadeusza Rittnera *Głupi Jakub* cieszyła się w stolicy ogromną popularnością. Ta ostra satyra na ziemiaństwo przypadła do gustu nawet samym przedstawicielom tej klasy społecznej, którzy opuszczali teraz – z pomocą swych stangretów lub szoferów – eleganckie automobile lub ozdobione herbami powozy. Nie mniej szykowne środki lokomocji, choć bez herbów, podjeżdżały na ulicę Wierzbową pod Teatr Narodowy, wysadzając fabrykantów i przedsiębiorców nierzadko o wyraźnie semickiej urodzie.

Inteligencja korzystała z dorożek, a młodzież studencka, gimnazjalna i pracująca przybywała tu *per pedes*<sup>20</sup>. Mimo środka tygodnia pod teatrem kłębił się spory tłum, którego część stanowiły społeczne wyrzutki i pasożyty.

Edwardowi Popielskiemu takie właśnie określenie przyszło do głowy, gdy obserwował licznych żebraków oraz młodych obdartusów kręcących się wokół eleganckich ludzi. Nie miał złudzeń, jaki to fach wykonuje owa młodź – wszak pierwsze miesiące swojej policyjnej kariery spędził na mało

efektywnym uganianiu się za kieszonkowcami w okolicach lwowskiego Dworca Głównego. I właśnie tamte doświadczenia nauczyły go natychmiast rozpoznawać „doliniarzy”<sup>21</sup>.

Co więcej, natchnęły go teraz pewną myślą. Na gwałt potrzebował kieszonkowca.

Stał w wysokiej, zacienionej bramie pobliskiego Hotelu Angielskiego i starał się wyłowić wzrokiem z tłumu kogoś, kto mu się przyda.

Ufał swojej przeponie. Była ona swoistym barometrem, który reaguje lekkim skurczem, gdy w zasięgu wzroku pojawia się coś, co w jego wspomnieniach natychmiast się kojarzy z policyjną służbą.

Na ów subtelny paroksyzm nie musiał długo czekać. Trzech wyrostków w krótkich spodenkach i w podartych kaszkietach zaczęło nagle się szarpać i uprawiać zapasy na środku trotuaru, i to akurat wtedy, gdy kroczył nim starszy pan w cylindrze z tęgą damą przy boku. Za wierzchnie okrycie służył mu smoking.

Mężczyzna ów rozzłościł się, że blokują mu drogę, i uniósł laskę, aby rozpędzić „to tałatajstwo”, jak się wyraził.

Popielski spokojnie obserwował całą scenę. Wiedział, że bijatyka pomiędzy chłopcami była tylko początkiem dalszych, starannie zaplanowanych zdarzeń.

Jeden z wyrostków na atak starego zareagował agresywnie. Pchnął interweniującego mężczyznę, a ten wpadł prosto w ramiona szczupłego okularnika w meloniku.

Popielski dostrzegł błysk. A potem mężczyzna w meloniku szybko poszedł w stronę ulicy Miodowej. Mocujący się ze sobą ulicznicy nagle przestali się okładać kułakami i rozpierzchli się na wszystkie strony.

Starszy elegant z niedowierzaniem patrzył na rozcięcie na piersi swego smokingu. A potem zaczął krzyczeć na zmianę ze swoją towarzyszką:

– Policja! Okradli! Złodzieje! O, tam pobiegły! Szczeniaki! Darmozjady! O, tam! Gonić ich!

Edward nie miał najmniejszego zamiaru gonić za chłopcami. Jego cel był całkiem inny.

Ruszył szybkim krokiem za okularnikiem w meloniku.

Doskonale wiedział, co się stało. Mężczyzna działał „na brzytwkę” – tym właśnie narzędziem rozcinał materiał surduta lub marynarki i wyjmował portfele.

Ów fach wymagał ścisłego współdziałania i nie lada umiejętności. Operowanie brzytwą w tłoku mogło doprowadzić do niezamierzonego samookaleczenia, toteż ostatnio coraz większym wzięciem wśród kieszonkowców cieszyły się dużo mniejsze żyletki, przymocowane do kościanych lub drewnianych rękojeści grzebieni w miejsce ząbków. Te narzędzia zwano „mojkami”. Okularnik, używający wciąż brzytwy, musiał być złodziejem tradycjonalistą.

Popielski wiedział, co się teraz wydarzy. Tacy jak obserwowany złodziej uciekali nieśpiesznie, by nie budzić podejrzeń, a ukradziony portfel podrzucali niepostrzeżenie jakiemuś współnikowi. Potem zwalniali i spacerowali sobie rozluźnieni, jakby nigdy nic, wypatrując kolejnych ofiar. Takie działanie nazywali w swoim żargonie „badaniem kłosa”.

Tak też działo się i teraz. Nagle okularnik zwolnił, zapalił papierosa i swobodnym krokiem minął ulicę Podwale. Skręcił w lewo w jakąś wąską uliczkę pełną bzyczących ciężkich much, żywiących się odpadkami z rynsztoku. Wisiały tu suszące się prześcieradła wchłaniające kuchenne wonie, wśród których wybijał się zapaszek gotowanej kapusty i kalafiorów.

W tej scenerii człowiek w meloniku włókł się noga za nogą. Szczyrzył zęby do młodych kobiet z papierosem w ustach mocno pociągniętych szminką.

Jedna z nich zwróciła uwagę na idącego za nim Popielskiego i to do niego zaczęła się przymilać, wzięwszy się pod boki i poruszywszy biodrami.

Edward minął ją i rzucił się od tyłu na mężczyznę. Obiema rękami chwycił go za kark z taką siłą, że kieszonkowiec się zachwiał, a jego pękate nakrycie głowy wylądowało w mętnej brunatnej wodzie rynsztoka.

Na tej ulicy bijatyka nie robiła na nikim wrażenia. Edward wiedział, że w takich miejscach – starych śródmieściach, które pozostawały zapyziałymi dziurami, podczas gdy wokół wyrastały wielopiętrowe domy – nawet krwawa przemoc pozostawia mieszkańców całkiem obojętnymi.

W lepiącej się od psich ekskrementów uliczce, szumnie i absurdalnie nazwanej Rycerską, ludzie pilnowali własnego nosa i jeśli już wychylali się z okien, to wyłącznie po to, aby zobaczyć, czy nie dostaje „w mazak” jakiś członek ich rodziny.

Złodziej nie miał tu zapewne żadnych krewnych, bo nikt nawet nie krzyknął słowa w jego obronie. Tu i ówdzie ktoś się zaśmiał złośliwie, gdzieś na pierwszym piętrze trzasnęło zamykane okno.

Popielski chwycił zaskoczonego mężczyznę za gardło i przycisnął do drewnianego kłosa, który podpierał gzyms liszajowatej kamieniczki.

– Nie śmigaj mi tutaj tylko brzytwką! – syknął. – Bo jak ją wyjmiesz, to ci odbiorę i mordę potną!

– Co jest? – świsnął młody człowiek przez szparę po górnej jedyńce. – Coś pan, kurwa, za jeden?

– O tym to ci powiem w jakimś spokojnym miejscu. Nie bój się! Nie będę szukał portfela, który ukradłeś! Mam sprawę... Pogadać chcę. Z policji jestem. Chcesz znaczek zobaczyć, a potem pójść ze mną do knajpy, żeby cała ferajna za szpicla cię miała? Czy po dobroci dasz sobie postawić kielicha?



Okularnik patrzył na napastnika z niedowierzaniem. Teraz bez melonika jego głowa zdawała się tak mała jak główka dziecka. W kilka sekund dokonał bilansu zysków i strat.

– Tam chodźmy! – wskazał palcem drewnianą chatę, wciśniętą pomiędzy dwie trzypiętrowe wąskie kamieniczki.

– Jak ci mówią?

– Parawan.

Popielski wiedział, co to znaczy. „Parawanem” zwano przedmiot – na przykład gazetę albo płaszcz na przedramieniu – który zasłaniałby rękę kieszonkowca w akcji.

– No, idziemy! – popchnął go lekko.

Poszli do tego domostwa, które wyglądało jak wiejska lub małomiasteczkowa karczma. Stosowniejszą dla niej scenerią byłby jakiś Sulejów czy inna dziura, nie zaś centrum stolicy europejskiego kraju, pretendującego, przynajmniej propagandowo, do roli lokalnego mocarstwa.

Knajpa nie miała nazwy ani szyldu. Śmierdziała jak inne tego typu nędzne przybytki – alkoholowymi wyziewami, wilgocią, octem i kiszoną kapustą. Na ścianach wisiały jakieś wyblakłe wycinki z gazet, przedstawiające bliżej niezidentyfikowane kwiaty lub krajobrazy.

Obojętne spojrzenia nielicznej klienteli omiotły dwóch wchodzących. Jeśli widok nowych gości – eleganckiego mężczyzny w smokingu, a obok znanego im zapewne doliniarza – ich zdziwił, to nie dali tego po sobie poznać. Jedyne gruby karczmarz przyglądał się im nieco dłużej.

– Tam. – Edward wskazał brodą pusty stół w kącie. – Zamów po kielichu, coś na ząb i przynieś!

„Parawan” zrobił, co mu kazano, a potem usiadł. Nie patrzył na Edwarda i rękawem marynarki czyścił ubrudzony w rynsztoku melonik, do którego przykleiło się jakieś paskudztwo.

Na stole przed nimi stał talerzyk z dwiema czerstwymi bułkami i dwoma płatami pociemniałego marynowanego śledzia.

Edward był pewien, że były one równie świeże jak fartuch karczmarza. Pod widelcem zamienia się pewnie w bryję. Nie miał zamiaru sprawdzać swojego przypuszczenia.

– Posłuchaj, „Parawan” – wyciągnął papierośnicę ku swemu rozmówcy. – Zaraz cię wezmę za ryj i pójdziemy do komisariatu na Daniłowiczowską. Tam cię zamkniemy, a za kilka godzin przyprowadzimy do ciebie okradzionego pana. On cię rozpozna, ja zaświadczę, bo widziałem twoją akcję z tymi gówniarzami. I czeka cię proces, a potem wylądujesz na Pawiaku. Na pewno nie masz czystej kartoteki, co „Parawan”?

Zapalił i udał, że nie widzi, jak złodziej pogardliwie macha dłonią na znak, że od gliniarza to papierosa nie weźmie.

– Nie jestem szpiclem – burknął. – Wolę na Pawiak.

Edward uśmiechnął się i uniósł kieliszek. Kieszonkowiec nie przyjął zaproszenia do wypitki. Skulił się, skurczył i wydawać się mogło, że chowa w luźny i niezbyt czysty kołnierz koszuli swoją drobną dziobatą twarz. Okulary mu zaparowały w tej budzie z zamkniętymi oknami i z dymiącym za ladą samowarem.

Policjantowi też się zrobiło gorąco. Zdjął melonik i otarł głowę. Odstawił nietknięty kieliszek.

– Charakterny jesteś! Ale ja wcale nie chcę, żebyś został moim szpiclem.

Pochylił się ku mężczyźnie, z niechęcią wciągając woń przetłuszczonych włosów.

– Masz robić to, co do tej pory, rozumiesz, „Parawan”? Tyle że będziesz okradał tych, których ci wskażę. Gdy będą wychodzili po wieczornym przedstawieniu... nic więcej. Rozpoznasz ich po żółtych goździkach

w butonierkach. Sięgniesz im do kieszeni, wyciągniesz zwitek papieru, jakąś karteczkę, a potem mi ją grzecznie oddasz. A ja przymknę oko na twoje dalsze działania. Nie ruszę żadnego z tych twoich małych kumpli. I obiecuję ci, że jak trafisz na Daniłowiczowską, to ja cię stamtąd wyciągnę. Znam komendanta Goćławskiego. Ale zrobię to tylko raz. Drugiego już nie będzie. Pamiętaj. No i co?

Znów uniósł kieliszek i stuknął stopką w krawędź tego, który stał przed „Parawanem”.

– Umowa stoi?

Kieszonkowiec rzucił się w tył na krześle. Nie patrzył na policjanta. Jego oczy za zaparowanymi szklami kręciły się na wszystkie strony. Pot wystąpił mu na czoło.

– Nie stoi – szepnął. – Normalnie bym to zrobił, to dla mnie bułka z masłem. Teraz nie. Nie chcę, żeby mnie zabili! Ja chcę żyć. Na Pawiaku też można żyć...

Popielski chciał znów go chwycić za gardło, ale zatrzymał się w pół drogi. Usłyszał poruszenie za ladą.

Tęgi oberżysta już wcześniej podejrzliwie im się przyglądał. Teraz pewnie sięgnął po pałkę, czując, iż zaraz tu będzie rozróżba.

– Mów jaśniej, skurwysynu! – Edward mruknął. – Kto miałby cię zabić? I za co?

„Parawan” rozchełstał sobie koszulę. Wskazał palcem na siną świeżą ranę na piersi. Typowe cięcie po brzytwie.

– Miesiąc temu czterech mnie dorwało pod teatrem – szepnął złodziej, oglądając się na grubego. – Powiedzieli, że nie wolno mi szyrmać<sup>22</sup> wychodzących po przedstawieniu. Mogę tylko tych, co wchodzą. Wychodzących to już nie! Po teatrze nie wolno mi tam w ogóle być. Powiedziałem, żeby się odpierdolili, bo to mój rewir. No to mnie

brzytwką, moją własną, kurwa, taki jeden po klacie połaskotał! A następnym razem, tak mówił skurwysyn jeden, to mnie po gardle połaskoce. Ja tam wolę na Pawiak, panie komisarzu.

Popielski w milczeniu wypił swoją wódkę. Zgniłym śledziem nie zagryzł, rosyjskim zwyczajem podsunął sobie pod nos kawałek odłamanej bułki.

– Mów dalej, „Parawan”! – chuchnął. – Mów wszystko, co wiesz.

– Pod teatrem był rewir nasz i szyrmaczy<sup>23</sup> z Nalewek. Trzymamy sztamę. Następnego dnia do mojej mesy<sup>24</sup> wpada taki jeden z Nalewek, Lejzor ma na imię, „Patrzałko” mu kcywa... O kuli przyszed. No to pytam, skąd ta kula. Mówi, że tak samo jego ferajnie powiedzieli, żeby nie szyrmać wychodzących. „Patrzałko” okoniem stawał, to mu kulosa złamali... I postraszyli, że mu zioobra następną razą przetrąca. I ani ja, ani „Patrzałko” nie przychodzimy po teatrze. Wolimy mniej zarobić, przed teatrem pobadać kłosa i wtedy szyrmać, ale pożyć jeszcze trochę. Chociaż co to za życie!

Teraz to i on wypił swoją wódkę jednym haustem.

– Nikt ich tu nie zna, panie komisarzu – szepnął na wdechu, bo gorzała była mocna i gryząca. – Nikt. Nie wiemy, skąd oni... To fetniaki<sup>25</sup>, jak pragnę zdrowia. Lepiej takim, kurwa, nie włązić w drogę!

– Jak wyglądał ten, który cię chlasnął?

– No, jak mógł wyglądać, panie władzo? – zaperzył się złodziej. – Jak bandyta! Jak kawał bandyty, kurwa! Ze szramą na mazaku. – Przesunął palcem po twarzy na ukos. – O, tak, od czoła, przez nos i na polik...

Popielski milczał przez chwilę.

– Znam takiego – skłamał. – Nie bój się! Nic ci nie zrobi „Szrama” z ferajną. To będą dwie, może trzy twoje akcje. Wokół będę ja z moimi ludźmi. Ty i twoje chłopaki wyciągniecie kartki z płaszczy wskazanych

ludzi. Z żółtymi goździkami... Dwie, trzy akcje, rozumiesz? A „Szrama” zniknie, jak tylko zobaczy, że ja cię chronię. On wie, kim jestem, i wie, że mnie się nie wchodzi w drogę.

Pochylił się ku swemu rozmówcy. Ten cały się trząśł. Popielski wiedział, że za nic nie da się namówić.

– No i? – mruknął.

– Dwie, trzy, nie więcej! – rzekł „Parawan”, patrząc policjantowi prosto w oczy. – Szum wort!<sup>26</sup>

Złodziej udawał, bardzo dobrze zresztą.

– No widzisz? – Popielski uśmiechnął się lekko. – Jak ty się w ogóle nazywasz i gdzie cię szukać? Tutaj?

– Sztajer – odparł zapytany. – A Edek mi dali na chrzcie! A ten panu powie, gdzie mnie szukać.

Wskazał na karczmarza, który postrzępioną szmatą wycierał kufel.

– Ładne imię ci dali, Edek.

Popielski wstał. Podeszedł do oberżysty i położył na ladzie monetę. Zakręciła się, ale tylko na kilka sekund, bo zaraz przytrzasnęła ją łapa pulchna jak poducha.

– Daj pan Edkowi dwie duże wódki i coś na zagrychę. Ale nie tego śledzia, na miłość boską, bo jeszcze wykorkuje chłopaczyna od tego octu i kwasu.

– Komu? Jakiemu Edkowi?

Popielski odwrócił się gwałtownie w stronę stolika, jednak zrugać mógł już tylko ścianę. Rozmówca bezgłośnie się ulotnił.

Edward splunął na klepisko i obdarzył barmana szerokim szczerym uśmiechem. W małych szparkach oczu tamtego nie dojrzał nawet śladu wesołości.

– Posłuchaj, zaskoczyłeś mnie, ale drugi raz już nie zaskoczysz – powiedział oberżysta. – Nie masz tu więcej wstępu. Chyba że przyjdiesz z plutonem wojska. I nie pytaj nikogo o „Parawana”. On jest ze Starówki, a Starówka nigdy ci go nie wyda. Rozumiesz, łysielcu?

Klienci knajpy wstali i patrzyli na Edwarda.

Zasalutował do melonika i wyszedł.

\* \* \*

POLICJANT WBIEGŁ DO TEATRU NARODOWEGO wejściem głównym od ulicy Wierzbowej. Szedł już dobry kwadrans przedstawienia, gdy dotarł na swoje miejsce.

W Narodowym miał również wykupiony fotel w łoży, ale – w odróżnieniu od Wielkiego – warunki do obserwacji były tam nieco gorsze. Nie dzielił łoży z inżynierem Zajdlerem i jego małżonką, lecz z zupełnie przypadkowymi ludźmi, którzy nie mieli pojęcia, że łysemu panu nie należy przeszkadzać.

Akurat teraz łożę zajmowała rodzina, której najmłodsze pokolenie – dwaj dwunastoletni na oko bliźniacy w mundurkach gimnazjalnych – dokazywało i wybuchało przeraźliwym śmiechem w miejscach mało śmiesznych. Chłopcy nie przejmowali się strofowaniem rodziców, którzy co chwila przepaszali za nich Popielskiego.

Ten wcale nie zwracał uwagi na psoty urwisów. Nijak mu one bowiem nie przeszkadzały w wypełnianiu zadania, a polegało ono na obserwowaniu przez lornetkę dwóch małżeństw oraz swoich ludzi.

Zdawało mu się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Agentki Debora i Filistynka, które miały wyglądać na dwie koleżanki, siedziały tuż za Barskimi, a Wilhelm Zaremba – przed tym małżeństwem. Kolega

i najbliższy współpracownik Popielskiego miał dziwnie napuchniętą, pociemniałą twarz. Wyglądał na zdenerwowanego.

„Czyżby tak się przejmował tą durną sztuką?” – takie pytanie zrodziło się w głowie lornetkowicza.

Walerian Grabski, udając towarzysza agentki Jael, siedział wraz z nią przed Mantelmacherami, a za żydowską parą trzymał posterunek samotny obserwator Herman Kacnelson. Żaden z inwigilowanych mężczyzn nie miał kwiatka w butonierce.

„Być może mają teraz w kieszeniach te żółte goździki – pomyślał Edward. – Albo ich żony w torebkach. I wepną je sobie w kłapy w stosownym momencie, po wyjściu oczywiście, bo przecież ani Grabski, ani ja nie widzieliśmy tych kwiatków w foyer Teatru Wielkiego, w przerwie opery. To oznacza, że na ich marynarki trafiają one później”.

Myślał nad sprawą tak głęboko, że nie liczył czasu, i zdumiał się, gdy usłyszał oklaski, a rześiste światło padło na widownię.

Przyłożył lornetkę do oczu i – nie reagując na poszturchiwanie gimnazjalistów, którzy śpieszyli się na korytarz – obserwował, jak inwigilowani wstają ze swych miejsc i ruszają do wyjścia.

Ludzie Popielskiego znikali i pojawiali się w lesie głów i rąk. Nie byli w stanie upilnować momentu, w którym ktoś sprytnie przekazałby szpiegowski szyfrogram jednej z czterech inwigilowanych osób.

Po raz kolejny poczuł jedno jedyne uczucie, które jak dotąd nie opuszczało go w czasie tej niewykonalnej misji – silną, dojmującą gorycz.

Pogłębiła się ona, gdy ujrzał Wilhelma Zarembę zmierzającego do jego łoża.

„Nie wolno nam się kontaktować w teatrze! – pomyślał. – Chyba że Wiluś wpadł na jakiś trop”.

Mrugnął do idącego i schował się w wąskiej, zaopatrzonej w popielniczkę niszy okiennej – takiej w sam raz dla dwóch osób. Jeśli już mieli łamać zasady i rozmawiać w czasie spektakli, to owo miejsce było najmniej narażone na podsłuchiwanie.

Zaremba podszedł do Edwarda i poprosił o ogień. Gdy z benzynowej zapalniczki wystrzelił płomień, obaj rozejrzeli się wokół dokładnie. Trzy metry od nich stała grupka rozbawionej młodzieży. Nie wyglądała na zainteresowaną czymkolwiek innym niż własną wesołą konwersacją.

– Coś się stało? – szepnął Edward.

– Nic się nie stało. – Wilhelm buchnął dymem. – Nie mam tropu, ale mam dylemat. I tylko ty możesz go rozstrzygnąć.

Popielski dobrze znał swojego przyjaciela. Jeśli łamał on zasady, miał ku temu ważne powody, nawet jeśli tymi powodami byłyby jakieś duchowe rozterki.

– No, mów!

– Edziu, nie daje mi to spokoju... spać nie mogłem. Cały jestem jak wulkan... – Przysunął się jeszcze bliżej. – Przecież dzisiaj pójdzie do sowieckiego kata kolejny wyrok śmierci. Jeśli nie przechwycimy kartki z nazwiskiem, to ten nieszczęśnik, nasz daleki sojusznik, odda gdzieś głowę. Musimy coś zrobić, Edziu!

Wilhelm był wzburzony. Twarz nabiegła mu krwią, a pod purpurową skórą drżały mięśnie.

Popielski wiedział, że Zaremba nie jest histerykiem, który w chwili próby wycofuje się z akcji pod wpływem imponderabiliów. Jeśli mówi teraz to, co mówi, to nie żeby się wyplakać na ramieniu przyjaciela. On przyszedł tutaj z konkretną propozycją.

I Edward się nie mylił.



– Wystarczy, że teraz, już za chwilę, gdy będą wychodzić – w kąciakach ust Wilhelma zbierała się ślina – weźmiemy się za nich. Rzucimy ich mordą do ziemi i zawlecjemy do jakiejś aktorskiej garderoby. A tam rozbierzemy do naga. I przetrząśniemy każdy cal ich zawszonych ubrań! I znajdziemy wtedy ten przekłety meldunek! Znajdziemy! – Wypuścił kłęb dymu. – I ocalimy życie jakiemuś nieznanemu, ale naszemu sojusznikowi... Co walczy o Polskę, nieważne, czy za pieniądze, czy z idei... Nieważne... – Nagle chwycił Edwarda za kłapy smokingu. – Czyż nie po to są policjanci, aby chronić życie bliźnich? Czyż nie po to my tu jesteśmy?

Puścił go, a Edward objął go za ramiona.

– Chodź tutaj! Będziemy patrzeć na ulicę. Podziwiać mur Teatru Wielkiego!

I tak zrobili. Opierali się łokciami o kamienny parapet, wypinając się w stronę widzów, którzy spacerowali korytarzem. W ten sposób zbudowali jeszcze większy dystans do ewentualnych podsłuchujących. Usta mieli tuż przy szybie.

– Posłuchaj, bracie – oddech z ust Popielskiego zamglił szkło. – Przed spektaklem dużo myślałem o żółtych goździkach w butonierkach obu naszych panów. Jeśli oni wchodzą bez kwiatów, nie mają ich nawet w foyer, co sam widziałem i potwierdził to Walerciu... Jeśli nie mają ich przez cały spektakl, a wpinają je sobie, wychodząc... To oznacza, że owe kwiatki są znakiem rozpoznawczym.

Urwał, bo za nimi przebiegli z dzikim okrzykiem dwaj bliźniacy gimnazjaliści.

– Znakiem rozpoznawczym dla łącznika „Pasożyta” – ciągnął Edward. – Łącznik spotyka już poza teatrem, już na ulicy dwóch gości z żółtymi kwiatkami i wkłada im do kieszeni wyrok śmierci. Ci

niepostrzeżenie przekazują to komuś w następnych dniach. Gdzieś go zostawiają, gdzieś wyrzucają skrycie... Nie sposób ich upilnować i wtedy przejąc ten wyrok. Ale po co, do cholery, potrzebny im ten cały teatr?! Przecież i tak łącznik to wkłada im do kieszeni na ulicy.

– A skąd ty wiesz, Edziu, że to wszystko dzieje się poza teatrem?

Edward w krótkich słowach zrelacjonował koledze swoje spotkanie i rozmowę z Edkiem Sztajerem, podkreślając zakaz okradania wychodzących, jaki kieszonkowcowi wydał człowiek ze szramą.

Mimo że mówił w krótkich żołnierskich zdaniach, Zaremba nie wytrzymał i przerwał mu.

– Ty mi nie mów, Edziu, o kwiatkach, o doliniarzach i o szramach, ty mi mów, jak ocalić człowieka!

Wilhelm był jednym z nielicznych, którym Popielski pozwalał na używanie zdrobnienia „Edzio”. I jedną z trzech osób – oprócz Leokadii i Rity – na które się nie gniewał, gdy mu przerywały.

– Powtórzę to, Wilek – powiedział jak łagodny nauczyciel do niezbyt pojętnego ucznia. – Łącznik widzi dwóch z żółtymi kwiatkami i wkłada im do kieszeni wyrok śmierci. Ten łącznik jest jak kieszonkowiec. No to wpadłem na pomysł, aby zatrudnić do sprawy kontrkieszonkowców, rozumiesz? Łącznik włoży, najpewniej tak sprytnie, że nawet tego nie zauważymy, a jakiś kontrkieszonkowiec wyciągnie i nam odda. I nikt już nie zginie, Wiluś...

– No tak, racja – zamyślił się Zaremba. – Ale gdzie jest ten twój doliniarz Sztajer? Ocalimy dziś człowieka!

Rozległ się gong.

– Nie o nim mówiłem, nie o Edku Sztajerze... I nie ocalimy dzisiaj naszego dalekiego brata, chyba że cudem, Wiluś. Cudem, jeśli ktoś z nas coś zauważy... Nie możemy wziąć za mordę Barskich i Mantelmacherów,

bo nigdy nie dotrzemy do „Pasożyta”, a oni są jedynym punktem zaczepienia.

Rozległ się drugi gong.

– No dobrze – nie ustępował Zaremba. – To o kim mówiłeś? O jakich kontrkieszonkowcach? O tym swoim Edku? Gdzie on w ogóle jest, do jasnej cholery?!

– Uciekł – rzekł ze smutkiem Edward. – Zwiął mi... Spierdolił. Najpierw mi wszystko ładnie wyśpiewał, gdy mu pogroziłem, ale potem wykorzystał chwilę mojej nieuwagi. I tak go nie mogłem wyciągnąć z knajpy za fraki, bo tamtejsi by mi na to nie pozwolili. On jest dla naszej sprawy stracony. Zaszyje się pewnie w jakiejś mysiej norze i wszystko przeczeka.

– A nasi za granicą będą nadal ginąć, tak? Składać gdzieś daleko głowę pod topór?

– Nie – teraz to Popielski chwycił Zarembę za klapy. – To już ostatni raz! Jutro, najwyżej pojutrze, pojedziemy, Wiluś, do naszego Lembryka. I przywieziemy stamtąd Burmyłę i jego szac chłopaków. Znasz lepszych?

– I z naszymi doliniarzami wyjdziemy z tej ciemnej doliny – mruknął Zaremba nieco poetycko.

Trzeci gong zabrzmiał im obu jak cmentarny dzwon.

I dźwięczał im w uszach przez cały wieczór. Rozlegał się on wyraźnie, gdy Edward biegał jak oszalały wśród teatromanów i zaglądał im w twarze, szukając tam szram i blizn.

Bił on mocno zwłaszcza wtedy, kiedy po zakończeniu spektaklu na ulicy Wierzbowej skłębił się tłum. Gdy zajeżdżały liczne powozy i dorożki, a żebracy chwyтали się sukien pań i spodni panów. Wtedy coraz to ktoś wpychał się pomiędzy dwa małżeństwa a śledzących ich wywiadowców.

Dostrzeżenie ręki wkładającej obserwowanym do kieszeni kopertę lub kartkę graniczyłoby z cudem w tym tłoku i w mdłym świetle latarni.

I cud się nie wydarzył.

Barski znów poszedł z żoną do Simona i Steckiego. I znów wypili tam butelkę tokajskiego. Mantelmacher ze swą połowicą odjechał dorożką na ulicę Solną do swego mieszkania. Obaj mieli w butonierkach żółte goździki, które wpięli sobie – co doskonale widziała agentka Debora – tuż przed opuszczeniem teatru.

To jej ustalenie oraz informacja Popielskiego o człowieku ze szramą, który działał najpewniej na zlecenie „Pasożyta”, były dwoma odkryciami, jakich dzisiaj dokonano.

Było i trzecie – agentki Filistynki.

– Pani Barska lubi chodzić do pewnej bezimiennej restauracji przy Czerniakowskiej, zwanej przez okolicznych mieszkańców U Bandyty, co nie najlepiej świadczy o jej jakości. Bywa tam często, jak się dowiedziałam od gadatliwej kelnerki, w towarzystwie kilku innych dam ze swojej sfery. Dla bezpieczeństwa mają jednego lub dwóch silnorękich. Pani Barska lubi się tam bawić, tańczyć przy muzyce podwórkowej orkiestry. Ceni sobie szczególnie towarzystwo młodych chuliganów. Jeden z nich, bardzo ładny, kcywka „Brunecik”, znany w okolicy złodziejasek, najczęściej z nią tańczy tango. Nie mogłam tam długo wypytywać. Występowałam w roli kobiety sprzedajnej i szybko mi dano do zrozumienia, że muszę mieć tutejszego opiekuna.

Była to błaha wiadomość. Ale nie dla wszystkich. Ona utwierdziła Popielskiego w pewnych planach.

– No dobrze – podsumował odprawę Kacnelson. – I tak jesteśmy w czarnej dziurze...

– Raczej w ciemnej dolinie – poprawił go Zaremba.

Najwyraźniej podobała mu się ta metafora.

\* \* \*

W STOLICY TURCJI STAMBULE w roku trzydziestym szóstym działały aż trzy polskie placówki wywiadowcze o kryptonimach: „Trzaska”, „Anitra” i „Ghazi”. Ta ostatnia przynosiła największe korzyści informacyjne. Zarządzana była sprawnie i energicznie przez rotmistrza Jerzego Litewskiego, który na co dzień występował jako pracownik Konsulatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Stambule. Litewski wyspecjalizował się w werbowaniu marynarzy rosyjskich, którzy schodzili na ląd w tureckiej stolicy.

Ludzie ci, wysuszywszy cały zapas spirytusu na swych statkach, zapełniali bary dzielnicy Beşiktaş, aby tam wymieniać rozmaite dobra – naftę, eter, tytoń i tanią armeńską i gruzińską herbatę – na raki, czyli słynną wysokoprocentową turecką anyżówkę.

Podczas transakcji rozwiązywały się im języki i zdradzali wiele sekretów handlowych.

Wykorzystywał to jeden z najlepszych agentów rotmistrza Litewskiego, niejaki Azur-bej. Ten pulchny czterdziestolatek w nieodłącznym fezie, właściciel baru Martı, którego nazwa nie miała nic wspólnego z bogiem wojny Marssem, lecz po turecku oznaczała mewę, nader serdecznie przyjmował u siebie „matrosów”<sup>27</sup>.

Zatrudnił w swoim lokalu niejakiego Aloszę, rosyjskiego łazika, który wcześniej usiłował wyżebrać parę lir, śpiewając przy wtórze bałajki tęskne pieśni na nadbrzeżu Eminönü.

Alosza rozwinął w Martı skrzydła, poszerzył znacznie swój repertuar, przez co marynarze z jego ojczyzny zaczęli tam walić drzwiami i oknami.

Punktem kulminacyjnym każdego wieczoru było chóralne odśpiewanie pieśni *Wołga, Wołga, mat' rodnaja*, przy czym łąły się łyzy i litry anyżówki.

W tej atmosferze niejeden Rosjanin zdradził, że na ładunek jego statku składa się nie tylko to, co w listach przewozowych, lecz w skrzyniach z herbatą są przechowywane na przykład prefabrykaty do zakładów zbrojeniowych. Azur-bej uważnie tego słuchał i wszystko skrzętnie notował. Wiedział, że rotmistrz Litewski hojnie go za te wiadomości wynagrodzi.

Polak rzeczywiście nie skąpił grosza swemu informatorowi i wciąż dawał mu poznać, jak bardzo ceni sobie jego wywiadowcze działania. Ostrzegał go przy tym, aby uważał na pijanych marynarzy, którzy po dużej wódce z sentymentalnych gołębi często się zamieniają w krwiożercze bestie. Radził, aby nie dawać im na kredyt i – aby uchronić lokal przed zdemolowaniem – rozpędzać gorące głowy już w pierwszych fazach ewentualnych konfliktów.

Azur-bej postępował zgodnie ze wskazówkami rotmistrza i wyrzucał z Marti awanturujących się Rosjan – korzystając z pomocy swych licznych braci i bratanków.

Wielu awanturników bezpardonowo wywalonych z lokalu odgrażało się Turkowi, że jeszcze tu kiedyś wrócą i pomszczą zniewagę.

Swą zemstę na nim wywarli czwartego czerwca trzydziestego szóstego roku.

\* \* \*

– AZUR-BEJ OSIEROCIŁ CZWORO MAŁYCH DZIECI. Policja turecka sądzi, że zginął on w wyniku bandyckich i przemytniczych porachunków – w saloniku bridżowym rozległ się ponury głos pułkownika Krapieńskiego. – W odróżnieniu od Turków my wiemy, że dosięgło go długie ramię Moskwy.

Powiedział to wszystko, stojąc przy stole i opierając pięści na jego zielonym suknie.

Czekał na reakcję. Edward milczał. Po godzinie snu niewiele mu przychodziło do głowy. Myśli miał jakby sklezione.

Po serii zimnych dni w Warszawie nastąpiło lato, temperatura podskoczyła o piętnaście stopni. Tego poranka, piątego czerwca, dochodziła do dwudziestu czterech stopni. Zamknięte okiennice saloniku i nagrzana blacha, jaką był pokryty dach przybudówki, podnosiły ją przynajmniej o trzy stopnie.

Popielski tych wszystkich informacji wysłuchał w pozycji stojącej. Ale dłużej już nie wytrzymał.

Nie czekając na zaproszenie starszego przecież rangą wojskowego, usiadł ciężko. Na gorsie jego wczorajszej koszuli pojawiły się dwie nieduże plamy.

– W nocy rotmistrz Litewski nadał pilną depezę do samego pana ministra spraw wewnętrznych – powiedział Krąpiński, po czym usiadł. – Nad ranem generał Kasprzycki wezwał mnie do swego gabinetu... – Jego głos spotężniał. Biły z niego złość i rozczarowanie. – Już nikt nie może zginać po żadnym ze spektakli, rozumie pan, Popielski? Minister wydał mi polecenie. Zamknąć archiwum Dwójki do odwołania. Aresztować Barskich i Mantelmacherów. Wysłać ich do Berezy. Zamknąć sprawę. I koniec.

Zapalił. Ręka mu się trzęsła. Zaczesane do góry włosy były przetłuszczone i zbiły się w jakiś groteskowy czubek. Edward pomyślał, że musi być naprawdę wściekły, skoro używa wyrazów gwarowych z Mazowsza. Takich jak ów „kuniec”.

– Ubłagałem go – szepnął Krąpiński. – Mamy ostatnią szansę, Popielski. Jeszcze jeden trup i wraca pan do Lwowa. A ja? No cóż. Mniejsza z tem, co ze mną... – Zaciągnął się i nagle wróciła mu energia. –

Minister kazał mi skupić się na poszukiwaniach ludzi, którzy postraszyli tego kieszonkowca, co to pan go ostatnio przycisnął. A co do pana... Minister uważa, że pańska akcja inwigilacyjna jest nieudana. Pańscy ludzie wracają do Lwowa.

Wytrzeszczył oczy, widząc, że Popielski chce zaprotestować.

– To nie jest moja decyzja! – podniósł głos. – Nie ja tu decyduję, rozumiesz?

Strzepnął popiół do popielniczki.

– Ja też wracam do Lwowa? – zapytał Edward. – Prosto w ramiona Futymy?

Pułkownik spojrzał na niego bystro.

– Nie! To oni wracają – znów użył mazowieckiego dialektyzmu. – Nie pan! Pan zostaje! Pan ma być tutaj. Kiedy aresztujemy Barskich i Mantelmacherów, weźmie ich pan w obroty. Nie wykazał się pan przy aresztowaniu „Pasożyta”. Niechże się pan chociaż wykaże przy przesłuchiowaniu jego ludzi!

Edward przełknął tę krzyczącą do nieba niesprawiedliwość – trzeba było być Duchem Świętym, by w ciągu kilku dni zidentyfikować tak głęboko zakonspirowanego agenta Moskwy.

Przełknął tę zniewagę i starał się nadać swojemu głosowi jak najspokojniejsze brzmienie, choć w piersi kłębiła mu się niepewność.

Zdawał sobie sprawę, jak kontrowersyjna może się wydać Krapińskiemu propozycja, którą zaraz przedstawi.

– Nie aresztujemy ich, panie pułkowniku. Oni muszą zostać na wolności! „Pasożyt” musi być pewien, że wszystko jest w porządku. A ja go na razie powstrzymam, ja wiem, jak go przyblokować. Choćby na krótko, choćby dla zaczerpnięcia oddechu, choćby dla przegrupowania wojsk.



Słusznie przewidział, że starego wojaka zainteresuje ta wojenna metaforyka. Słuchał dalej bez przerywania.

– Wiem, że to, co panu zaraz powiem, to tylko półśrodki, ale one zastopują na razie akcje „Pasożyta”. A ja... A my... w tym czasie rozwiniemy skrzydła. I zrealizujemy plan. Bardzo dobry plan. Odwrócimy Barskich. Oni będą dla nas pracować. I nikt już nie zginie.

Popielski zawiesił głos, czym nieco zirytował starego.

– No mów pan, do cholery, jaki to plan! – krzyknął Krąpiński. – Bo wyzioniemy ducha w tej szopie!

– Jadę do Lwowa, a stamtąd przywiozę najlepszych doliniarzy na świecie. I najlepszego uwodziciela. Prawdziwego donżuana!

I wtedy Edward przedstawił mu swój plan. Trwało to pięć minut. Zakończył słowami:

– Nawet jeśli nie złapiemy „Pasożyta”, to go na długo sparalizujemy, obezwładnimy. A takiego bezwładnego dużo łatwiej wyciągnąć z krwiobiegu.

Pułkownik milczał.

– Jeśli nam się nie uda, to pana spotka coś gorszego niż lepkie łapy pańskiego wroga Futymy – rzekł w końcu. – A mnie? No cóż... Mniejsza z tem, co mnie spotka...

---

<sup>20</sup> Na piechotę (łac.).

<sup>21</sup> Kieszonkowców (żarg.).

<sup>22</sup> Dokonywać kradzieży kieszonkowej (żarg.).

<sup>23</sup> Kieszonkowców (żarg.).

<sup>24</sup> Meliny, kryjówki (żarg.).

25 Przestępcy pewni siebie, budzący strach (żarg.).

26 Umowa stoi (jid.).

27 Marynarzy (ros.).

## ROZDZIAŁ VI LWOWSKI ZACIĄG

---

EDWARD POPIELSKI WRAZ Z WILHELMEM ZAREMBĄ przyjechali do Lwowa samochodem marki Fiat 508. Było to służbowe auto pułkownika, a prowadzący je szofer pan Zdzisław Wojtanowicz należał do jego najbardziej zaufanych podwładnych niższego szczebla. Trasę liczącą trzysta siedemdziesiąt pięć kilometrów pokonali w ciągu dziewięciu godzin, zatrzymawszy się dwukrotnie – raz dla nabrania paliwa na stacji benzynowej firmy Karpaty, a raz dla pokrzepienia się kolacją i kieliszkiem mocniejszego trunku.

Do Lwowa wiodła dobra droga, a szofer prowadził auto szybko i pewną ręką. Dopiero w Żółkwi, pięćdziesiąt kilometrów od celu, nawierzchnia stała się nierówna, a nawet chwilami wyboista, przez co pan Wojtanowicz musiał zwolnić, a Popielski i Zaremba, śpiący smacznie na tylnej kanapie, obudzili się prawie jednocześnie. Edward zdjął z głowy marynarkę. Była ona swoistym kapturem. Chroniła jego oczy lepiej niż kapelusz przed epileptycznym impulsem, czyli światłem cedzonym poprzez liście drzew, których szpalery stały wzdłuż dróg.

Łyssy wykorzystał jazdę w ciągu dnia właśnie na swój zwykły odpoczynek, a Wilek, nie chcąc gadatliwością burzyć snu przyjaciela, też zadrzemał – dla towarzystwa bardziej niż z autentycznej potrzeby.

Do miasta dotarli o ósmej wieczór. Zaremba zanotował sobie w głowie dwa polecenia, jakie mu wydał Popielski, po czym pożegnał się ze swym szefem i druhem. Wyrzucił przy tym – w imieniu swoim oraz trzech kolegów wracających właśnie do Lwowa pociągiem – żal, że nie mogą pomóc

Edziowi w dalszych działaniach, bo minister spraw wojskowych generał Tadeusz Kasprzycki zamknął tak szybko i bezpardonowo ich śledztwo. Dodał przy tym z rozbijającą szczerością – nigdy bowiem nie taił niczego przed Edwardem, no, może jedynie swe platoniczne uczucie do Leokadii – że mimo wszystko się cieszy, iż „pacykarz i mechidrys”<sup>28</sup>, jak nazwał Barskiego i Mantelmachera, trafią za kratki i w najbliższym czasie nie zginie żaden z zagranicznych agentów Dwójki.

Edward uściskał go serdecznie pod jego kamienicą przy Brajerowskiej i podziękował za pomoc.

W mieszkaniu przy Kraszewskiego 3 powitał go prawdziwy szal radości. Rita obejmowała go w pół, wspinała się na palce i przytulała do ojcowskiej koszuli, pachnącej korzenną wodą kolońską. Po chwili już napawała się zapachem własnych perfum – prezentem, który pochodził z tego samego źródła co woda kolońska tatusia, a mianowicie ze słynnego salonu Feliksa Święcickiego w Hotelu Europejskim.

Leokadia z właściwym sobie powściągliwym sceptycyzmem spoglądała na podarunek, jaki otrzymała Rita. Nie sądziła, aby perfumy były czymś, czego powinna używać dorastająca panienka, zwłaszcza taka, której wyniki w nauce pozostawiają wiele do życzenia. Na razie jednak wstrzymała się od komentarzy i oglądała z przyjemnością prezent dla siebie, czyli dwie eleganckie talie kart z nowoczesną zgeometryzowaną grafiką na odwrocie, przedstawiającą statek Batory prujący fale oceanu.

Namiętna bridżystka, jaką była Leokadia, doceniała walor praktyczny prezentu, a miłośniczka sztuki – walor estetyczny, jakim niewątpliwie było pięknie intarsjowane pudełko na karty.

Ich wierna gosposia Hania Półtoranos była z jednej strony szczęśliwa – otrzymała bowiem smaczny, choć nieco roztopiony torcik czekoladowy;

z drugiej zaś, niezadowolona, że „pan nie dał znać wcześniej, to by jakiś makagigi kupiła albo na ten przykład leguminy zrobiła”.

Zamiast leguminy przygotowała pyszne naleśniki z musem jabłkowym, ale to – wraz z kompotem – jako deser. Wcześniej cała rodzina zjadała się bułkami ze słynnej Piekarni Mechanicznej Józefa Mroczkowskiego, ozorkami w sosie chrzanowym i pachnącymi płatkami szynki, ozdobionej marginesem tłuszczu, który Rita z zapamiętaniem odcinała nożem.

\* \* \*

PO KOLACJI ATMOSFERA SIĘ ZEPSUŁA. Kiedy Hanna już posprzątała ze stołu, a Edward usiadł z papierosem w fotelu pod ulubionym stojącym zegarem, Leokadia wyłączyła radio i poruszyła temat zbliżającego się końca roku szkolnego.

Rita – wcześniej opowiadająca facecje, między innymi o sąsiedzie, niezgrabnym panu Studeńce, którego pies wytarzał się w błocie i jeszcze w innej substancji – umilkła nagle.

Edward wiedział, iż nad głową córki zbierają się ciemne chmury. Groziła jej dwójka z łaciny na koniec roku. Rozmawiał przed miesiącem z nauczycielką tegoż przedmiotu, panią profesor Kopystiańską. Ta starsza i bardzo zasadnicza niewiasta pokazała mu – wiedząc, że on sam jest doktorem filologii – ostatnią klasówkę Rity.

Ojciec aż otarł pot z czoła, gdy ujrzał, jak proste błędy deklinacyjne i koniugacyjne robi jego córka w czwartej gimnazjalnej, a więc po czterech latach nauki szlachetnego języka Rzymian.

Na jego prośbę pani profesor zgodziła się dać jeszcze jedną szansę Ricie i nakazała jej napisać indywidualną klasówkę.

– Rita napisała tę klasówkę wczoraj, Edwardzie – powiedziała Leokadia, zamykając i otwierając piękne pudełko z kartami. – Wcześniej

odpytałam ją z deklinacyj i koniugacyj. Nie robiła większych błędów...

Kuzynka miała na sobie bardzo gustowną jasnozieloną jedwabną bluzkę w grochy tegoż koloru, choć o ciemniejszym nieco odcieniu. Jej oczy były tejże barwy i zawsze pięknie kontrastowały z kasztanowymi włosami, które od niedawna w wielkim sekrecie farbowała. W połączeniu z lekkim uśmiechem Mony Lisy iskrzyły się łagodną ironią, którą w swej kuzynce Edward tak bardzo cenił.

Tym razem były ciemne i pełne złości.

– Tymczasem! – podniosła głos. – Tymczasem, wyobraź sobie, Rita ściągała! Rozumiesz? Twoja córka oszukiwała. Trzymała pod spódnicą jakiś bryk Zukerkandla i przepisywała z niego tłumaczenie! I była na tyle nierozsądna... Nie, powiem to dosadnie: była na tyle głupia, że przepisała to tłumaczenie żywcem! Niczego nie zmieniając. A pani profesor Kopystiańska te wytwory Zukerkandla ze Złoczowa zna na pamięć, bo walczy z nimi od dekad!

Edward nie spuszczał wzroku z córki, a ta z wzorków na kilimie wiszącym nad sofą.

Milczał. Potrafił mierzyć się z bandytami uzbrojonymi w kastety i w noże sprężynowe, a nie potrafił stawić czoła ukochanym kobietom.

Wobec Leokadii czuł wyrzuty sumienia, że zostawił wychowanie Rity na jej głowie, sam będąc odświętnym tatusiem, który rozpieszcza ukochaną córunię wycieczkami, wizytami w cyrku oraz prezentami bez okazji.

Wobec Rity był bezradny z całkiem innego powodu. Wiedział, że czuła kwarantanna, jaką otacza swoje dziecko, jest przesadna i może niepotrzebna, ale nie potrafił się jej wyrzec. Jak tylko mógł, chciał załagodzić cios, jaki los wymierzył temu dziewczęciu, wychowywanemu bez rodzicielki; tej nerwowej dziewczynce czującej na pewno brzemię

jakiejś częściowej winy, że była pośrednio przyczyną śmierci matki, która wydała ją na świat w strasliwym i śmiertelnym krwotoku.

„Nie będę jej krzywdził – myślał o Ricie, nie przyjmując do wiadomości, że konsekwencja jest podstawą właściwego wychowania dziecka. – Już i tak ją życie skrzywdziło”.

Leokadia wstała.

– Jak zwykle – szepnęła. – Jest tak jak zwykle. Tatuś nie ma odwagi zabrać głosu, nie ma odwagi postawić krnąbrnej pannicy do kąta! – Sięgnęła po drewniane pudełko z kartami. – Dobrze. Ty nie masz siły, Edwardzie, wiem... by stawić czoła sytuacji, gdy twoja córka nie uzyska promocji do następnej klasy. Ale ja...

– Muszę zastanowić się nad rozwiązaniem tego problemu, Lodziu – przerwał jej i zdusił papierosa w popielniczce. – Zaraz porozmawiamy z Ritą. Zbierzmy myśli.

– Nie „porozmawiamy” – rzekła dobitnie Leokadia. – To ty porozmawiasz! I to beze mnie. Sam. Ja tymczasem idę na umówionego bridża do asesorstwa Stańczaków! Ale nie z twoimi kartami!

Ze złością pchnęła pudełko, które spadło ze stołu na dywan. Karty wypadły i się rozsypały.

To już nie były ciemne chmury. Zachowanie tej zdystansowanej i małomównej zwykle kobiety należało nazwać inaczej: burzą z piorunami.

Na parkiecie zastukały mocno jej obcasy. Trzasnęły drzwi do jadalni.

Rita spojrzała na ojca, a potem podbiegła i przypadła do jego rąk jak mała dziewczynka. Przycisnęła policzki do żyłastych ojcowskich dłoni.

– Tatusiu – szepnęła. – Nie wszystko stracone. Pani Kopystiańska da się jeszcze obłaskawić. Nie wiem, co mnie napadło, że wzięłam tego głupiego Zukerkandla...

Podniósł ją i przytulił. Na swoich, domagających się już brzytwy policzkach, poczuł łyzy córki. I sam zamrugał oczami.

„Nie krzywdź jej – pomyślał po raz tysięczny. – Jeszcze życie będzie ją krzywdziło”.

– Musisz się słuchać cioci Lodzi. – Zalecenie, które wyszło z jego ust, było jeśli nie absurdalne wobec tej całej sytuacji, to na pewno banalne i nieadekwatne. – Ona ciebie kocha jak własną córkę...

Rita odsunęła się od ojca. Wokół jej rumieńców na policzkach kręciły się czarne spirale gęstych włosów. Oczy rzucały błyski. I te włosy, i te błyski miała po matce.

– Ja kocham ciocię – powiedziała. – I boję się, że ona od nas odejdzie...  
Edward poczuł ukłucie w przeponie.

– A dlaczego miałyby odejść? – zapytał z niepokojem, który wzbierał mu w piersi jak fala.

– Tatusiu – szepnęła. – Niech się tatuś nie pogniewa za to, co powiem...  
Błagam, niech się nie gniewa!

Pogłaskał ją po głowie.

– Nie pogniewam się – powiedział swym niskim, ciepłym barytonem. –  
Nigdy na ciebie, kochanie...

Rita nie patrzyła mu teraz w oczy.

– Niedawno spotkałam córkę pani profesor Kopystiańskiej. Jest studentką medycyny. W towarzystwie jakiegoś akademika była na spacerze z psem w Ogrodzie Jezuickim. Kiedy mnie ujrzała, zaczęła się ze mnie śmiać, dogryzać mi boleśnie... Mówiła straszne rzeczy o tobie. No to ja ją oplułam, tatusiu... Przepraszam. A ona na pewno poskarżyła się matce.

Zaczęła płakać. Edward rzucił się swym całym dziewięćdziesięciokilogramowym ciężarem na oparcie fotela, aż ten



niepokojąco zatrzeszczał. Mógł patrzeć bez zmrużenia powiek w lufę rewolweru, ale nie mógł znieść widoku płaczącej córki.

– Co ona ci powiedziała o mnie, Rito? Ta panna Kopystiańska?

– O kobietach i o tatusiu w pociągu. Że tatuś jeździ z takimi do Krakowa salonką. Z takim wywłokami, tak powiedziała... Przepraszam za słowo... chorymi wenerycznie... Że tatuś z jedną taką odjedzie w siną dal... I zostawi mnie i ciocię. I będziemy same.

Rita usiadła z daleka od ojca. Jej oczy rzucały teraz gromy.

– Ale to przecież nieprawda! Ona obmawiała tatusia! A za obmowę to się jej należało przecież! I dostała to, na co zasłużyła! Zawsze tatuś mi powtarzał, od dziecka: *suum cuique*<sup>29</sup>.

– To prawda – szepnął. – Tylko szkoda, że nigdy nie potrafiłem tej maksymy zastosować... zwłaszcza wobec ciebie, Rito.

Gdy Edward przyjmował kolejne gorące zapewnienia córki, że to jeszcze nie tragedia, że ma ona jeszcze szansę, że koniec roku dopiero dwudziestego czerwca, że łacinniczka na pewno da jej nowy termin poprawkowy; kiedy Rita to wszystko wyrzucała z siebie, zadzwonił telefon w przedpokoju.

Edward pocałował córkę w czoło, wyszedł do aparatu, odebrał i usłyszał głos Wilhelma:

– Żorzyk jest z pewną zawołowaną panią w restauracji Kafki i Szkowrona. A Burmyło, jak zwykle, u Szarlotki.

Popielski wrócił do jadalni, podniósł z podłogi pudełko, powkładał do niego karty i zaniósł je do sypialni Łodzi.

– Idź spać, kochanie. – Uśmiechnął się do Rity. – Jest już późno, a wiele dziś było emocyj. I nie myśl o kalumniach, jakie na mnie rzucają złe języki. Pomyślę przez noc i rano ci powiem, jakie wyjście jest z twojej opresji.

Wiedział, że nie powinien zdejmować z niej odpowiedzialności za nieetyczny czyn.

„*Video meliora proboque, deteriora sequor*”<sup>30</sup> – przyszła mu do głowy fraza z *Metamorfoz* Owidiusza.

\* \* \*

POPIELSKI ZANURZYŁ SIĘ W MROKU MIASTA. To była jego pora. Czas polowań i nacisków, czas planowania i śledczych prowokacji. Zasłonił oczy ciemnymi binoklami, które miały chronić epileptyka przed przypadkowymi błyskami światła. Ruszył ulicą Kraszewskiego w stronę uniwersytetu. Koło gmachu poczty skręcił w prawo, w Słowackiego, a potem – minąwszy Sykstuską – w Kopernika.

Było ciepło. Szedł szybkim krokiem z kapeluszem w dłoni, nie zwracając uwagi ani na piękny pałac Potockich, ani na księżniczki nocy, które poznawszy go po łysinie i ciemnych binoklach, usuwały mu się z drogi, wchodząc do okolicznych bram.

Jego upodobanie do przedstawicielek ich profesji było we Lwowie znane, ale wolały same mu się nie narzucać.

– Pulicaj to zawsze pulicaj – mawiały. – Nawyt jak taki do hrumania<sup>31</sup> szwytki<sup>32</sup>. Lepij si takiemu w ślipia ni tarabanić.

Lokal Kafki i Szkowrona był pierwszorzędny, a konkurencją dla niego nie była nawet położona tuż obok hotelowa restauracja George’a.

W czwartki podawano tu kalmary i krewetki, transportowane samolotem z Warszawy – co wzbudzało nie lada sensację w całym mieście.

Gdy otworzył drzwi, podbiegł do niego postawny mężczyzna w uniformie. Ukłonił mu się w pas i zapytał, czy szanowny pan komisarz ma zarezerwowane miejsce. Nazywał się Zenon Pechaty i był tutaj oberem.

Popielski uśmiechnął się w duchu. To nie była Warszawa, tutaj nie musiał udawać nikogo. Był u siebie.

– Wypiję wódkę przy barze, panie Zeniu, i nawet teraz zapłacę – powiedział, wręczając mu dwa złote, co było wielokrotnością należności. – A pan niech poprosi z łaski swojej pewnego młodego apollona, który przyszedł tutaj na kolację z dużo starszą od siebie damą. Ta pani chyba swój wstyd pod woalką chowa... To co, panie Zeniu? Jest tu taki?

U Kafki i Szkowrona personel był niezwykle dyskretny i Popielski o tym wiedział. Zdawał sobie też sprawę, że samo pojawienie się Łyssego powoduje, iż kelnerzy zapominają jednak o swej dyskrecji i zdradzają chętnie, kto tu i z kim przybył na schadzkę do zamykanego tak zwanego gabinetu dla towarzystwa.

Mógł po prostu zażądać informacji od szefa kelnerów. Wolał je jednak od niego kupić. Zawsze człowiek uczestniczący w wymianie dóbr czuje się lepiej niż taki, któremu stawiają żądania, nie dając nic w zamian.

– No jest! – Pan Pechaty mrugnął znacząco, chowając monetę.

– To powiedz mu pan, że zapraszam go na małą wódkę przy barze. Ma być migiem! W podskokach. Tak pan mu powiedz.

Nie zdążył wypalić papierosa, gdy o bar oparł się Jurko Czmyr, zwany Żorzykiem.

Był to młody smagły brunet o wielkich oczach, w których „słodko jest całkiem utonąć”, jak to rzekła kiedyś pewna dama mogąca być jego matką. Był smukły i wysoki. Świetnie skrojony dwurzędowy garnitur uwydatniał harmonijną budowę młodzieńca.

– Czołem, Żorzyk. – Uśmiechnął się krzywo Edward. – Ten piękny garnitur to od Fleischmanna czy Michalskiego?

– Od Süsskinda. – Zapytany wymienił z dumą słynny zakład z Pasażu Hausmana, szyjący z najlepszej angielskiej wełny. – Dobry wieczór, panie

komisarzu.

– A dobry, dobry, drogi Żorzyku. Ja ci nie muszę nawet mówić, że jeśli będziesz mi potrzebny, to masz być do mojej dyspozycji, prawda? Zawsze i wszędzie. Dzień i noc, zgadza się?

Wobec tego rozmówcy Popielski nie był już tak delikatny.

– Tak, to prawda – westchnął Czmyr.

Doskonale wiedział, że Łyssa ma na niego straszną broń. Wystarczy, że zagrozi jej użyciem, a on musi się na wszystko zgodzić. Przekazanie wiadomości braciom Ukraińcom, że to właśnie on, Jurko, wydał polskiej policji Stepana Wełenczuka, było jak wyrok śmierci w męczarniach.

– No to zajmij się dzisiaj swoją panią, Jurko, spraw, aby śpiewała z rozkoszy arie operowe! Ale rano to się spakuj, bracie. Weź ze sobą najładniejsze garnitury i uwodzicielskie perfumy. Pojedziesz ze mną do Warszawy. Pięknym automobilem...

– A co tam będę robił, panie komisarzu?

– To, co umiesz najlepiej, Jurko. – Popielski potarł go pieszczotliwie za policzek. – Chcę, żebyś sprawił, aby pewna warszawska dama zaśpiewała arię z *Madame Butterfly*.

\* \* \*

SZEF GANGU LWOWSKICH KIESZONKOWCÓW Józef Pawłowicz nosił pseudo „Burmyło”, które w dialekcie lwowskim oznaczało nieokrzesanego chłopca, chama i prostaka.

Pseudonimy bywają adekwatne, bywają też nadawane kontrastowo, na wspan. I ten właśnie taki był.

Pawłowicz – choć edukację swoją skończył na czwartej klasie szkoły powszechnej – to wysławiał się prawidłowo i starannie, a jego maniery były

niemal hrabiowskie.

Obie te cechy dobrze współgrały z jego aparycją. Ten niewysoki, łyśawy i ryzawy elegant nosił buty marki Salamander, sygnety z tygrysim okiem oraz krawaty wyłącznie z firmy Rekord.

Lubił swój pseudonim, bo był zadufany w sobie i kochał kontrasty, a jego złodziejskie miano wywoływało poczucie rozdwojenia, zwłaszcza u tych, którzy się z nim widzieli po raz pierwszy. Konsekwencją owego zadziwienia były najczęściej komplementy, na przykład takie: „Nie, to niepodobna, by tak elegancki pan o wytwornych manierach tak bywał określany!”.

Pawłowicz uwielbiał komplementy – oprócz luksusowego odzienia, pięknych kobiet i lordowskich manier.

Łyssy, wiedząc o tej ostatniej słabości Pawłowicza, w kontaktach z nim zawsze wykazywał się nienagannym *savoir-vivre*'em. Nigdy nie mówił mu na ty i zawsze „prosił o przysługę”, choć mógł jej po prostu żądać.

W rozmowie z Burmyłą nie należało przypominać jednak – to było w złym guście – o długu wdzięczności, jaki ten miał wobec policjanta.

Pawłowicz zaciągnął go przed dwoma laty. Miał wówczas młodziutką kochankę nieziemskiej urody, imieniem Bogusia, którą dwa lata wcześniej porwało dla okupu kilku zbirów od króla lwowskiego podziemia Mosze Kiczalesa, zresztą bez wiedzy swego szefa.

Ten nie był zbyt sentymentalny i palcem by nie kiwnął w sprawie dziewczyny. Owszem, budziło jego niezadowolenie, że ktoś od niego robi coś bez jego szefowskiej zgody. Ale nie wzruszał się zbyt ciekawością i tęsknotą Pawłowicza, który patrzył na niego z góry i otwarcie krytykował jego bandyckie metody. Mimo tych wszystkich uczuć Kiczales – pod wpływem przemożnych i racjonalnych argumentów przedstawionych mu

przez Łyssego – rozkazał swym bandytom oddać Burmyle dziewczynę nietkniętą, co też się stało.

Popielski zgodził się być mediatorem w tamtej sprawie na prośbę zakochanego Pawłowicza, nie stawiając mu warunku przyszłego odwzajemnienia się za przysługę. To było dla zrozpaczonego, a później szczęśliwego kochanka oczywiste.

Nie musiał mówić policjantowi, że za przywrócenie mu zdrowej i całej Bogusi jego wdzięczność jest nieskończona.

A słowa zawsze dotrzymywał. Pawłowicz był człowiekiem honoru – nigdy nie okradał ni kobiet, ni dzieci, a dowody osobiste odsyłał wraz z portfelem i karteczką „Proszę na przyszłość uważać, N.N.”, skropioną, nawiasem mówiąc, pierwszorzędnymi perfumami. Jeden z jego doliniarzy sprzeniewierzył się kiedyś tym zasadom i okradł kobietę w ciąży. I wtedy lord Burmyło zamienił się w rzeczywistego burmyłę. Osobiście odrąbał mu siekierą dłoń. Już nigdy więcej żaden z jego ludzi nie popełnił tego błędu.

Popielski o tym wszystkim wiedział, lecz wobec kieszonkowców Pawłowicza nie stosował żadnej taryfy ulgowej. Burmyło to nawet cenił i nigdy nie ośmielił się prosić Łyssego o wstawiennictwo, gdy któryś z nich ładował „na dołku”. Był zdania, że każdy powinien swoje obowiązki wykonywać jak najlepiej, a ten, co się dał złapać, był po prostu nieudolny i należało mu się to, co go spotkało.

Poza tym ewentualne starcie z Popielskim było zdaniem Burmyły jak stanięcie na ringu przeciwko Cyganiewiczowi.

Kiedy ujrzał Łyssego wchodzącego do szynku Szarlotty Bogen, nie ucieszył się specjalnie. Wiedział, że jego wizyta zwiastuje kłopoty. Ale natychmiast po tej malkontenckiej myśli przywołał wspomnienie sprzed dwóch lat: oto jego ukochana Bogusia, obecnie żona i matka rocznego

Andrzejka, wraca do niego otulona marynarką policjanta. To wspomnienie wystarczyło, by niechętnie Popielskiemu myśli natychmiast zniknęły.

Lokal pani Bogen był typową lwowską mordownią, usadowioną na Pełtewnej 13, w środku dzielnicy żydowskiej. Klientelę stanowili tu drobni przestępcy i chałaciarze, którzy brali posiłki „na borg”<sup>33</sup> – głównie wędzone kacze i gęsie nóżki. Jej właściciel, pan Adolf Bogen, był znanym handlowcem, zawiadującym hurtownią towarów żelaznych. Prowadzenie lokalu pozostawił swej żonie Szarlotcie, która widziała w ich córce Gizeli następczynię w rodzinnych interesach. Obie zwykle stały za barem.

Na widok Popielskiego klienci zaczęli czmychać, za co pani Szarlotta Bogenowa obdarzyła policjanta niezyczliwym spojrzeniem. Jej córka natomiast, bardzo pulchna dziewczyna o gęstych, kręconych rudych włosach, spojrzała na wchodzącego z zalotnym zaciekawieniem.

– Dobry wieczór, panie Pawłowicz. – Edward podał rękę mężczyźnie siedzącemu w głębi prawie już pustej sali. – Można się przysiąc?

Burmyło uścisnął mocno wyciągniętą dłoń. W jego postawie nie było żadnej służalczości, żadnego gięcia się w pokłonach.

– Proszę, panie komisarzu. – Wskazał na puste krzesło i odsunął na bok segregator leżący na blacie. – Wcale mi pan nie przeszkadza. Ja tylko drobne rachunki robię. Ten szynk to moje biuro, jak pan wie.

Popielski usiadł i rozejrzał się po pomieszczeniu. Jego ściany aż wołały o malarza, a deski podłogowe o szczotkę ryżową i wiadro z mydlinami.

– Zawsze mnie to zastanawiało – Edward uśmiechnął się lekko – dlaczego pan urządził sobie biuro w tym właśnie lokalu...

– Szczerść, panie komisarzu, tylko szczerść między nami – odparł zagadkowo zapytany. – Powiem panu, oczywiście, że powiem. Taki garnitur jak pański czy mój to gdzie lepiej wygląda? Gdzie bardziej rzuca

się w oczy? Na salonach, gdzie wszyscy ubrani *comme il faut*, czy w takim chlewie jak tutaj?

Popielski zabębnił palcami po stole.

– Pewnie tutaj. – Kiwnął głową. – Gdyby tylko pani Szarlotka nie oszczędzała tak na świetle, to lepiej byłoby widoczne pańskie ubranie...

Rzeczywiście, dwie lampy naftowe wiszące na bocznych ścianach rzucały w sam raz tyle światła, żeby klient nie potykał się o koślawe stoły i krzesła z włosiem wychodzącym z siedzeń.

– Nie potrzebuję *mehr Licht*<sup>34</sup>, by zacytować umierającego Goethego – zauważył Edward. – To nie przesłuchanie, panie Pawłowicz, nie potrzebuję lampy w twarz. To przyjacielska pogawędka.

Milczał przez chwilę, zbierając myśli. Po kilkunastu sekundach przeszedł do rzeczy.

– Potrzebuję trzech najlepszych pańskich ludzi na tydzień, może dwa. Praca wyjazdowa, Warszawa. Płacę za wszystko. Pociąg, hotel.

Burmyło się zasępił. Wiedział, że nieobecność trzech najsprawniejszych doliniarzy to duża strata w interesach. Ale zdawał sobie sprawę, że odmówienie Popielskiemu równałoby się deklasacji jego samego, zepchnięciu go do tej sfery, z której się wyrwał dzięki swojemu sprytowi i inteligencji.

Oto teraz rozmawia z tym wielkim panem, znanym na cały Lwów, jak równy z równym, jak dżentelmen z dżentelmenem. Mają podobne garnitury i sygnety, obaj się ładnie wysławiają. Są na jednym poziomie. Niech ta równość nawet będzie pozorna, udawana, ale była bardzo miła jego sercu.

„Jeśli mu odmówię – pomyślał – to wiem, co się stanie. Zacznie mnie »tykać«, obrzuci wulgaryzmami, a może i fizycznie sponiewiera”.

Wiedział też, że odmowa byłaby czarną niewdzięcznością za dawne uratowanie Bogusi. Przez chwilę walczyły w nim dwa wcielenia: człowiek



honoru i sprawny rachmistrz pilnujący swych interesów.

– A czy można by liczyć... – bąknął i urwał nagle.

To było niegodne dżentelmena – ta rozpaczliwa próba targowania się. Zrobiło mu się wstyd.

– Oczywiście, że może pan liczyć na dodatkowy zysk. – Edward się uśmiechnął. – Pańscy ludzie zostaną na gościnnych występach w stolicy. Dam im tydzień spokojnej pracy. Policja warszawska przymknie oko. Oczywiście za reakcję miejscowych chłopaków nie odpowiadam... Mówię szczerze, panie Pawłowicz, tylko szczerłość między nami.

Na serwetce zapisał numer telefonu do swego tymczasowego warszawskiego mieszkania. Złożył ją w zgrabną poszetkę i wsunął do kieszonki marynarki Burmyły.

– Wiedziałem, że się porozumiemy – wstał. – Nie ma to jak dżentelmenów nocne rozmowy...

– Żegnam szanowne panie! – zawołał do właścicielki i jej córki.

Pierwsza zareagowała niechętnym prychnięciem, druga – jakby westchnieniem.

„Sponiewierał mnie, upokorzył – pomyślał Pawłowicz z goryczą. – Tym pańskim gestem z serwetką do kieszonki... Jakby mi banknot przykleił na czole. A przecież ja się wcale jeszcze nie zgodziłem”.

Był to jednak tylko chwilowy odruch buntu – wyłącznie na wewnętrzny użytek.

\* \* \*

DWA DNI PÓŹNIEJ rozpoczęła się w Warszawie akcja obezwładniania „Pasożyta”. W czasie nieobecności Edwarda renegat jakby przysnął.

W herbaciarni Pod Samowarem radca handlowy sowieckiego poselstwa Makar Iwanowicz Griapinski pojawił się dopiero dziesiątego czerwca. Karteczka przyklejona za rezerwuarem oznajmiała: „136-6F-Na”.

Karpow natychmiast zatelefonował do swego agenta prowadzącego, ten przekazał wiadomość pułkownikowi, a Edward był na końcu tego informacyjnego łańcuszka.

Dla Popielskiego, działającego już w pojedynkę, nie licząc oczywiście trzech agentek, jego lwowskiego „zaciągu”, czyli Żorzyka i trzech ludzi od Burmyły, treść szpiegowskiego meldunku była oczywista: „Trzynastego czerwca, Teatr Narodowy”.

Natychmiast sprawdził, osobiście odwiedzwszy biura tegoż teatru, jaka to sztuka mianowicie będzie wtedy wystawiana.

Okazało się, że żadna. Sekretarka, starsza pani w okularach o szklach jak denka od słoików, poinformowała go namaszczonym i patetycznym tonem:

– Tegoż to dnia, mój panie, o godzinie trzeciej, a w rzeczy samej kwadrans na czwartą, odbędzie się egzamin publiczny biletowany, czyli z udziałem publiczności, a więc egzamin absolwentów Wydziału Sztuki Aktorskiej Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej. Odegrane będą fragmenty z co celniejszych utworów, a mianowicie: *Fantazy, czyli Nowa Dejanira* Słowackiego, *Uciekła mi przepióreczka* Żeromskiego...

Owa dama mówiła tak powoli, że Popielski nie wysłuchał jej do końca i poszedł w ślady przepióreczki.

Potem usiadł na ławce w Ogrodzie Saskim i długo się zastanawiał, czy jednak nie urządzić zasadzki na łącznika od „Pasożyta” po tym właśnie studenckim przedstawieniu. Przemawiał za tym jeden zasadniczy argument – na taki występ przyjdzie mało ludzi i łatwo będzie można śledzić Barskich i Mantelmacherów.

I wtedy otwartą dłonią uderzył się w łysinę. Wszak nie ma już kto ich śledzić! Zostały bowiem tylko trzy agentki, które Krapiński utrzymał przy tym zadaniu, zresztą w tajemnicy przed ministrem. To było stanowczo zbyt mało, nawet jeśli publiczność nie dopisze.

Popielski zrobił zatem to, co powinien był zrobić zgodnie z planem przedstawionym pułkownikowi – zdecydował, że szpiegowski meldunek nie dotrze do Mantelmachera i wyląduje w kartonowej teczce z napisem „Parasitus”.

Mantelmacher dziesiątego czerwca przybył do lokalu Karpowa. Jedyne kwit, z jakim wyszedł, to rachunek opiewający na siedemdziesiąt pięć groszy za herbatę Pampas i ciastko z konfiturą śliwkową. W ubikacji nie było nic.

Wieczorem z rozmównicy przy lotnisku pasażerskim na Okęciu zatelefonował pod pewien tajny numer i oznajmił rozmówcy: „Pozdrowienia nie doszły do cioci Wandy”.

Natychmiast się rozłączył. Griapinski był zaniepokojony, jednak nie na tyle, aby przerywać sobie fascynującą partię szachów rozgrywaną z kolegą z poselstwa.

Dopiero rankiem następnego dnia nadał zaszyfrowany radiogram na Łubiankę.

Sztejn briuk zachował podobny spokój jak jego warszawski agent. Nie przejął się meldunkiem. Wszak zdarza się, że informacja dokądś nie dotrze. Przypadki, zbiegi okoliczności to chleb codzienny i szpiegów, i zwykłych ludzi.

W Warszawie tymczasem Popielski i Krapiński zacierali ręce. Jedno ludzkie życie zostało ocalone.

\* \* \*

NASTĘPNYM RAZEM GRIAPINSKI POJAWIŁ SIĘ Pod Samowarem piętnastego czerwca. Pogawędził chwilę z Karpowem, po czym zrobił komiczną minę i chwycił się za brzuch.

Pobiegł do ubikacji tak szybko, jakby go tam wzywała potrzeba nieodparta i nagła. Siedział w ustępie bardzo długo.

Kiedy już Griapinski opuścił lokal, Karpow udał się do ubikacji i sięgnął za rurę rezerwuaru. Natrafił palcem na plaster. Wyjął złożoną na osiem części kartkę. Była pokryta jakimś granatowym proszkiem, który pobrudził mu palce i który nie dawał się zmyć.

Ku zdziwieniu właściciela herbaciarni radca handlowy znów zjawił się tutaj pół godziny później. Chciał się koniecznie widzieć z Karpowem, co też się stało. Griapinski spojrzał na jego palce, oznajmił, że coś tu zostawił, ale właściwie to nie pamięta, co to było, i zaraz wyszedł.

Miał pewność, że to sam Karpow, nikt inny, wyjął kartkę zza rury. Jeśli wiadomość nie trafi do Mantelmachera, restaurator może się liczyć z poważnymi konsekwencjami.

Tymczasem ten zatelefonował do swojego agenta, który natychmiast przysłał do herbaciarni gazeciarza. Karpow niepostrzeżenie dał chłopakowi kartkę spod lady. W tym czasie w herbaciarni był tylko jeden gość – stary pop Diałyckin, emigrant z Jekaterynburga, który zobojętniały na cały świat, trochę mówił do siebie, trochę podrzemał, trochę herbaty posiorbał.

Gazeciarz pobiegł na ulicę Tamka, wbiegł tam na podwórko, po czym wrzucił gazetę przez otwarte okno saloniku bridżowego restauracji Riegert i Żebrowski.

Popielski rozłożył kartkę i spojrzał na zapis „166-6F-No”, a potem sięgnął do kieszeni marynarki po repertuar Teatru Nowego.

Dowiedział się, że szesnastego czerwca wystawiają tam *Tessę*, sztukę Jeana Giraudoux będącą sceniczną wersją jednej z powieści Margaret

Kennedy.

Wieczorem Mantelmacher otrzymał w herbaciarni wiadomość.

Następnego dnia w Teatrze Nowym byli i Barscy, i Mantelmacherowie.

*Tessa* była ogromnie popularną sztuką, graną codziennie aż do końca sezonu. Przedstawienie w Nowym doczekało się świetnych, a nawet entuzjastycznych recenzji, w tym pióra słynnego literata Antoniego Słonimskiego.

Na spektakl waliły więc tłumy, a wśród nich dwa małżeństwa śledzone przez Dwójkę znacznie już mniejszym nakładem sił i środków.

Nic dziwnego, że i tym razem momentu przekazywania szyfrogramu nie udało się wypatrzeć ani Popielskiemu, ani trzem agentkom, ani nawet Krapińskiemu, który tego wieczoru wobec braku ludzi do pomocy sam poświęcił się pracy czysto operacyjnej.

Wtedy do akcji przystąpili kieszonkowcy z lwowskiego zaciągu.

Alfons Błachuta nie miał szczęścia. Kieszenie Adolfa Mantelmachera były pozbawione jakiegokolwiek kartki, podobnie jak torebka jego żony Dwojry.

Natomiast drugi z lwowian, niejaki Władzio Zarzecki, miał szczęście. Z kieszonki futerka pani Barskiej wyciągnął kartkę i przekazał ją Popielskiemu, siedzącemu w dorożce przy ulicy Wierzbowej.

Edward odebrał ją z wydechem ulgi tak głośnym, że aż się wzdrygnął dorożkarski koń.

„Ocaliłem go! – powtarzał sobie w myślach Edward. – Ocaliłem nieznanego przyjaciela!”

Patrzył na zapis A243 i nic z niego nie rozumiał.

\* \* \*

SZEF SOWIECKIEGO WYWIADU Otto Ottowicz Szejnbriuk również niewiele rozumiał.

„Skąd się wzięły te zakłócenia, te dziwne warszawskie turbulencje?” – pytał sam siebie.

W ciągu pięciu dni nie otrzymał żadnej informacji o kolejnym polskim szpiegu do odstrzału.

Coś zaczęło zgrzytać w tej dobrze naoliwionej maszynerii, którą sam puścił w ruch pół roku wcześniej.

– *L'ordre ne règne pas à Varsovie*<sup>35</sup> – powtarzał w kółko.

I nagle pomyślał o katowanym przez Jabłoczkina człowieku, który może ten porządek w Warszawie przywrócić.

Bo on zna i nienawidzi Edwarda Popielskiego, jednego z najzacieklejszych i najskuteczniejszych wrogów Kraju Rad. Zna jego ciemne i czułe strony.

A Szejnbriuk czuł, że ten polski nienawistnik jest w warszawskim chaosie głównym mącicielem.

---

<sup>28</sup> Żyd (dial.).

<sup>29</sup> Każdemu to, co jego; tzn. co mu się należy (łac.).

<sup>30</sup> Widzę, co jest lepsze, i akceptuję to, lecz podążam za tym, co gorsze (łac.).

<sup>31</sup> Uprawiania seksu (dial.).

<sup>32</sup> Szybki (dial.).

<sup>33</sup> Na kredyt (dial.).

<sup>34</sup> Więcej światła (niem.).

<sup>35</sup> *L'ordre ne règne pas à Varsovie* – w Warszawie panuje nieporządek (fr.); parafraza słów ministra spraw zagranicznych Francji, który w roku 1831 skomentował stłumienie przez Rosjan powstania listopadowego słowami: „*L'ordre règne à Varsovie*” (porządek panuje w Warszawie).

## ROZDZIAŁ VII ADIEU, CHŁOPCZYKU!

---

PULKOWNIK KRAPSIŃSKI ODTRĄBIŁ mały triumf.

Pożar został chwilowy zagaszony. Generał Kasprzycki uspokoił się, widząc, iż dwa razy ocalono życie zagranicznym agentom polskiego wywiadu. Choć wciąż o „Pasożycie” kontrwywiad w wywiadzie wiedział tyle co przed sprowadzeniem Popielskiego do Warszawy, to jednak tajna jednostka z pomocą lwowianina potrafiła – przynajmniej na razie – paraliżować złowrogie działania sowieckiego agenta.

Minister kazał przekazać Popielskiemu nieoficjalną ustną pochwałę i prowadzić dalej akcję, której nadał kryptonim „Paraliż”.

Najważniejszym jej ogniwem był teraz Jurko Czmyr, który od kilku dni przebywał w Warszawie i zapoznawał się z planem Popielskiego skierowanym przeciwko Irenie Barskiej.

Aby nie przeszkadzać obu mężczyznom, śledząca ją dotąd agentka Filistynka na czas akcji „Paraliż” otrzymała wolne.

Wszystko to działo się jeszcze przed operacją ludzi Burmyły, którzy zdobyli dziwny szyfrogram A243.

Żorzyk i Edward zaczęli wprowadzać plan w życie już następnego dnia po przyjeździe do stolicy. Ten pierwszy pojechał z Popielskim doróżką na ponure robotnicze osiedle Sielce z typowymi dla mazowieckich miasteczek i przedmieść brzydkimi, często nieotynkowanymi dwupiętrowymi kamieniczkami, pełnymi niedużych niskich mieszkań. Domy te na swych rogach miały małe balkoniki, wznoszące się nad wejściem do jakiegoś sklepu lub do restauracji.



I tak właśnie było u zbiegu ulic Chełmskiej i Czerniakowskiej. Pod balkonem na pierwszym piętrze szeroko otwarte drzwi zapraszały do zakopconego i zadymionego wnętrza dusznej knajpy, która oficjalnej nazwy nie miała, a czerniakowska naboja<sup>36</sup> nazywała ją dość tajemniczo U Bandyty na Wojtówce.

Dolatywała stamtąd teraz rzewna pieśń, wyśpiewywana sznapsbarytonem do wtóru akordeonu.

To właśnie tam, wedle relacji agentki Filistynki, pani Barska lubiła bawić się i tańczyć w towarzystwie koleżanek, pod czujnym okiem dwóch silnorękich.

Takie zamiłowania wcale Edwarda nie dziwiły. Znał kobiety z wyższych sfer, często znudzone i zepsute luksusem, które szukały na przedmieściach groźnego autentyzmu i dreszczyku emocji. Czując się bezpiecznie w otoczeniu goryli, rozrabiały, wygłupiały się, a nawet prowokowały erotycznie mężczyzn z półświatka, płacąc hojnie właścicielowi knajpy za wyszynk oraz za poniesione straty materialne – gdy złamały krzesło czy porozbijały na klepisku szklanki z siwuchą.

Edward dla takich atrakcji ukuł neologizm. Nazywał je z grecka „zooskopia”<sup>37</sup> – kojarzyły mu się bowiem z oglądaniem dzikich zwierząt bez ryzyka rozerwania przez ich kły i pazury.

„Takie są zwyczaje niektórych bogatych dam we Lwowie, no to dlaczego nie miałyby być tak w stolicy?” – pytał sam siebie.

Restauratorzy rozumieli, jaki zysk może im przynieść miejski bandycki folklor. Zatrudniali miejscowych śpiewaków, którzy za ćwiartkę i zagrychę dziennie wyrykiwali w czasie wizyt specjalnych gości smętne ballady o czarnej Mańce czy o Felku podrzutku, mające różne wersje w różnych miastach.

Wyrostki z okolicznych podwórek inscenizowały bójki, którymi zachwycały się wytworne damy, piszcząc z ekscytacji.

„Dlaczego na warszawskim Czerniakowie ma być inaczej, niż jest na naszym Kleparowie?” – myślał Edward.

I postanowił to wykorzystać.

I on, i Czmyr ubrani byli teraz w drelichowe robocze spodnie, podkoszulki i kraciaste kaszkiety. Obaj byli nieogoleni, a Jurko dodatkowo miał na przedramieniu tatuaż – pamiątkę z Brygidek – który go czynił tutaj bardziej wiarygodnym. Wyglądali na robotników, którzy przyszedli świętować fajrant.

To przebranie było koniecznością. Ani Edward, ani Jurko nie władała gwarą warszawską, a co gorsza – polszczyzna żigolaka, jakkolwiek poprawna, a nawet wytworna, miała tak silny lwowski zaśpiew, że Popielski musiał wymyślić jakąś legendę, która by uzasadniała ich pobyt w tym miejscu.

Nie było to trudne. W tych biednych czasach ludzie wędrowali za pracą przez całą Polskę i lwowiacy, jak ich na Mazowszu nazywano, nie byli niczym dziwnym ani tutaj, ani na Pomorzu, ani na Śląsku.

To taką właśnie historyjkę Popielski zamierzał opowiadać ewentualnym ciekawskim, a dla większej dokładności miał dodać, że budują dom na rogu Czerniakowskiej i 29 Listopada, koło koszar kawaleryjskich. Gdyby ktoś jeszcze mocniej go indagował i pytał, gdzie mają robotniczą kwaterę, mieli mówić, że w nieczynnej już fabryce kołnierzyków męskich Bamsztoka przy Czerniakowskiej 70. Oczywiście informacje te, jako najbardziej wiarygodne, przygotowali wcześniej ludzie Krapińskiego.

Popielski i Czmyr zamówili teraz smażone cielęce nóżki i ćwiartkę wódki.

Podawała im bardzo szczupła i bardzo blada dziewczyna stojąca zwykle za barem.

Bywalcy zwracali się do niej „panno Franiu”. Obecność takiej delikatnej osoby, najpewniej chorej na suchoty, dziwiła w tej mordowni, gdzie nie raz i nie dwa pięścią trzeba było uspokajać gorące i pijane głowy.

Ale to już nie było jej zadanie. Nad porządkiem czuwał wielki jak piec chłop z małymi baczkami i resztkami włosów zaczesanymi na czubku głowy.

Jegomość ów był tutaj szefem – bo niektórzy wołali do niego „panie kerownik” lub „panie Wicuś” – oraz muzykiem w jednej osobie.

Zza rozciągającego się miechu akordeonu obserwował nieufnie Popielskiego i Czmyra.

I tak pod baczny spojrzeniem szefa siedzieli przy tej ćwiartce trzy godziny. Jurko przekazał Popielskiemu dziwną wiadomość, że w jego kwaterze, czyli w bursie Towarzystwa Ukraińskiego Pomocy Słuchaczom Narodowości Ukraińskiej Wyższych Uczelni m.st. Warszawy, był jakiś mężczyzna z cygarem, który wypytywał o niego portierkę.

Edward zbagatelizował tę informację. W tych niespokojnych czasach, po zamachach na Hołówkę i Pierackiego, każdy nowy Ukrainiec w Warszawie dostawał się pod policyjną lupę. Później próbowali ze sobą rozmawiać i żartować, aby nie wzbudzać podejrzeń, ale i tematy szybko im się skończyły.

O jedenastej pan Wicuś ogłosił gromkim głosem:

– Koniec balu, panno Lалу!

Wszyscy – mniej lub bardziej pijani – podnieśli się z miejsc i jęli u panny Frani regulować rachunki. Nikt się nie awanturował, bo szef lokalu wzbudzał respekt swym spojrzeniem, wzrostem i mięśniami z tatuażami

więziennymi. Był to zapewne ów Bandyta, od którego szynk wziął swoje nieoficjalne miano.

Wieczór ten nie należałby do udanych, gdyby nie urok osobisty Czmyra. Realizując zadanie, które mu wyznaczył Popielski pod koniec bytności U Bandyty, zaczął po wyjściu pannę Franę.

Na dziewczynę nikt nie czekał, najwyraźniej wracała do domu sama – czuła się bezpieczna w swojej dzielnicy. Była mile zaskoczona zainteresowaniem przystojnego lwowiaka, na którego już wcześniej z zainteresowaniem popatrywała zza szynkwasu.

Pozwoliła mu odprowadzić się do domu i chętnie podjęła rozmowę na temat „pań z towarzystwa”, które czasami tu przychodzą.

Indagowana przez Jurka, kiedy się spodziewa ich następnej wizyty, odpowiedziała, iż przyjdą one zapewne w niedzielę czternastego czerwca. Data ta była prawdopodobna, ponieważ, jak dziewczyna wyjaśniła:

– Ostatnio panie to były niekontente z salcesonu, mówiły, że są w nim włosy i jakieś chrząstki... Pan Woškowiak, mój szef, zapewniał, że pod koniec przyszłego tygodnia będzie nowy ubój w masarni i wędliny czyste jak łąza. Jako przeprosiny za ten salceson dorzucił butelkę od firmy i słoje małosolnych. Upraszał, by przyjść w niedzielę...

Jurko dowiedział się jeszcze, że panie lubią tańczyć przy muzyce kapeli podwórkowej, a najlepszym tancerzem jest niejaki Brunecik.

– Henio Pichlak, tak mu jest naprawdę – dodała dziewczyna. – O, to niezły ancymon!

Żorzyk pod jej domem ucałował ją w rękę i poprosił o kolejne spotkanie: może spacer, może przechadzkę do lunaparku? Zrobiło to na dziewczynie piorunujące wrażenie.

Popielski, słuchając tej nocy jego relacji, przypomniał sobie natychmiast raport Filistynki, w którym ta wspominała o szczególnym

zainteresowaniu pani Barskiej niejakim Brunecikiem.

\* \* \*

W SOBOTNI PORANEK TRZYNASTEGO CZERWCA aspirant Wacław Baranowski, kierownik komisariatu przy Łazienkowskiej, któremu podlegały rewiry XX i XXI, otrzymał pilny telefon od swojego szefa nadkomisarza Stanisława Zdanowicza z Inspektoratu Policji Państwowej Miasta Stołecznego Warszawy. Wysłuchał polecenia i obiecał niezwłocznie zająć się sprawą.

Przedstawił zadanie przodownikowi Adolfowi Bojarze i nakazał wykonać je jak najrychlej.

Godzinę później przodownik Bojara wraz z innym mundurowym zastukali mocno do parterowego wiejskiego domu przy ulicy Bobrowieckiej na Sielcach. Jego właścicielka, siedemdziesięcioletnia Janina Kawalec, znana policji jako bimbrowniczka sprzedająca pokątnie swój wyrób, wpuściła stróżów prawa bez szemrania.

Ku jej zdziwieniu i zadowoleniu ci nie zwrócili najmniejszej uwagi na spiżarkę i na stojącą w niej prymitywną aparaturę do wytwarzania domowego destylatu.

Od razu wtargnęli za przepierzenie, gdzie sublokator Henio Pichlak właśnie zażywał porannej rozkoszy w ramionach jakiejś wczoraj poznanej ukochanej.

Przeszkodzili mu w tym brutalnie i bezwzględnie. Wyrwali go z łóżka i zabrali „na dołek”, na Łazienkowską. Kiedy dopytywał, dlaczego został aresztowany, odpowiadali, że o tym powiadomi go osobiście kierownik komisariatu.

Niestety, pan aspirant Baranowski nie znalazł czasu dla aresztanta i Brunecik spędził sobotę i niedzielę samotnie na kiepskim państwowym

wikcie, zachodząc w głowę, za co właściwie go zatrzymano.

W niedzielę czternastego czerwca Jurko Czmyr nie miał już konkurenta do tańców z panią Barską.

\* \* \*

TEGOŻ TO DNIA O GODZINIE SIÓDMEJ wieczór lwowski donżuan przybył do knajpy U Bandyty wraz z Popielskim. Towarzystwo Edwarda było niezbędne, ponieważ Żorzyk zapewniał, że nie ma pamięci do twarzy, łatwo może się pomylić i zacząć uwodzić niewłaściwą kobietę. Ponieważ Edward nie znał towarzyszek jej tanecznych wieczorów, a mogło się okazać, że Irena nie jest jedyną brunetką, to musiał Jurkowi ją po prostu wskazać.

Nie był tym zachwycony, ponieważ obawiał się, że kobieta może go rozpoznać. Nie miał pewności, czy kiedyś w teatrze nie poczuł na sobie jej wzroku.

Z drugiej jednak strony ten łysy pięćdziesięciolatek pocieszał się, że – choć krzepki i pełen sił witalnych – to jednak w odróżnieniu od Żorzyka jest już stary i nie budzi żywego zainteresowania młodych kobiet.

Kierownik lokalu powitał ich niechętnie. Najwyraźniej perspektywa wizyty „pań z towarzystwa” zrodziła w nim jakieś wewnętrzne napięcie.

Stał w drzwiach i nie kwapił się, aby ich wpuścić.

– No niech stracę! – powiedział po dłuższej chwili. – Dzisiaj miejsca nie dla wszystkich, tylko na stojaka, ale dla szac chłopaków, jak to się mówi w waszym Lwowie, to chyba coś się znajdzie!

Nie przepuścił ich jednak, wciąż się wahał.

Spojrzał na Czmyra.

– Tańczyć to pan umiesz?

Jurko uśmiechnął się radośnie.

– A jak! Umiem! Nawet kozaczoka zatańczę!

Pan Wincenty kiwnął głową z aprobatą.

– Dobrze, bo potrzeba mi dzisiaj fordanserów, a jeden, skurkowany, gdzieś poszedł w długą. U mnie dzisiaj towarzystwo damskie z wyższych sfer i jedzenie wyborne! I coś jeszcze wam powiem... – Uniósł palec w wymownym geście. – Nie wystarczy ćwiarteczka i kawałek chabaniny na dwóch jak ostatnio, rozumiemy się?

Teraz spojrzął znacząco na Popielskiego.

– Dobrze, panie kierowniku – odrzekł pojednawczo Edward. – Dzisiaj po pańsku zamówimy! Niedziela to niedziela!

I wtedy dopiero Bandyta się odsunął. Rzeczywiście w lokalu było – jak na niedzielę – dość pusto. Przy trzech stolikach siedzieli goście – młodzi ludzie z gołymi głowami. Na kaszkiety czy kapelusze było tu zbyt gorąco.

Na wolnych krzesłach leżały papierowe serwetki – znak, że są one zajęte.

Dwaj nowi goście się rozdzielili. Obaj tego dnia byli ubrani jak robociarze na fajrancie – w kaszkiety i w niekształtne marynarki, spod których wystawały koszule z wykładanymi kołnierzami.

Popielski stanął pod ścianą, przy długiej desce przymocowanej łańcuchami. Czmyr – zamawiając wódkę i zakąski – oparł się o bar, gdzie zagadywał wesoło pannę Frankę.

Po chwili – odprowadzany powłóczystym spojrzeniem dziewczyny – dołączył do Edwarda, przynosząc dwie ćwiartki, szklanki oraz duże trzęsące się galaretki z nówek wieprzowych, których lwowska nazwa – studzienina – bardzo rozbawiła barmankę.

Wypili, zagryźli, zapalili, krytykując słodkawą musztardę, której „gdzie tam do naszej ostrej lwowskiej Miki!”.

Krótko po godzinie ósmej nastąpiło wyczekiwane przez pana Wincentego wydarzenie wieczoru. Trzy kobiety – wśród nich pani Barska – weszły do knajpy i pozdrowiły wszystkich głosami, które wskazywały, iż panie nie są już zupełnie trzeźwe.

Zastukały obcasami pantofli o deski podłogi lokalu, wznosząc obłoczki kurzu. Za nimi weszło dwóch krępych, niewysokich i spoconych mężczyzn w kapeluszach i w garniturach, opinających się im mocno na barkach i ramionach.

Stanęli przy wejściu i zapalili papierosy. Panna Franka przyniosła każdemu z nich po szklance wypełnionej wódką.

Pan Wincenty przestał grać na akordeonie i kiwnął ręką na barmankę.

Ta wybiegła z lokalu tylnym wyjściem na podwórko, gdzie na trawie raczyli się piwem miejscowi fordanserzy oraz muzycy z ulicznej kapeli.

W tym czasie pan Wincenty rozścielił obrus na dwóch połączonych stolikach i zaczął zastawiać stół talerzykami z ciepłą kaszanką, świeżym salcesonem i z wędliną zwaną czarne, czyli kiszka wypełnioną czarnym farszem z kostkami słoniny, czego lwowianie u siebie nigdy nie widzieli. Koszyk z chlebem komiśnym, butelka bimbru, dwie popielniczki obklejone muszelkami oraz słoik z ogórkami małosolnymi i z grzybkami w occie uzupełniły tę zastawę.

Kobiety – śmiejąc się i przekomarzając – zaczęły czerniakowską wieczerzę jeść wprost palcami. Były to trzydziestoletnie zadbane niewiasty, pachnące z daleka dobrymi perfumami. Miały na sobie jasne letnie sukienki sięgające kolan z gęstymi frędzelkami u dołu. Spod kapelusików wymykały się im modnie ułożone fale włosów.

Popielski gratulował sobie w myślach decyzji, aby osobiście wskazać Żorzykowi, którą kobietę ma uwodzić. Jedna z nich była platynową blondynką, dwie zaś brunetkami – i to w dodatku obie ładnymi. Jurko –



gdyby miał tylko zdjęcie – mógłby zacząć emablować niewłaściwą, choć Irena Barska była nieco pulchniejsza i – zdaniem Popielskiego – powabniejsza od drugiej brunetki.

Nalał wódki i pochylił się w stronę uwodziciela.

– Ta niższa brunetka – szepnął. – Ta lekko przy kości...

– O, ciepła mamuśka! – Jurko roześmiał się lubieżnie. – Wolę szczuplejsze, ale ta też się nada!

– Nie grymaś i bierz się do dzieła! – mruknął Edward i spojrzał na wesoły orszak pięciu mężczyzn wkraczających z zaplecza do knajpy. – Bo zaraz ci ją sprzed nosa sprzątną!

Trzech z nich zagrało skoczną melodię – jeden na skrzypcach, drugi na akordeonie i trzeci na banjo – a dwóch usiadło na zarezerwowanych miejscach. Uśmiechali się do kobiet, a te chichotały.

To była zapewne taka gra: chłopaki z przedmieścia zaczepiają damy.

Żorzyka nie trzeba było długo namawiać. Poczucie rytmu miał w lędźwiach. Podbiegł i uklonił się pani Barskiej. Ta spojrzała pytająco na koleżanki i po sekundzie udawanego wahania podała mu dłoń. Zaczęli tańczyć do jakiejś skocznej melodii.

Popielski wziął nietkniętą drugą ćwiartkę i podał ją panu Wincentemu.

– Zapłacone i nietknięte, panie starszy – powiedział, przekrzykując muzykę. – I po raz drugi możesz pan sprzedać! Ale miej pan na oku mojego młodego kolegę! On nie jest stąd, jeszcze ferajnie podpadnie i w mazak dostanie. Ja muszę iść, bom stary i zmęczony. Na tramwaj jeszcze zdążę. Ale ten młody to do północy tu pohasa! Co? Będziesz pan miał oko na niego, panie kierowniku?

Szef knajpy spojrzał z uznaniem na Żorzyka.

– Dobrze tańczy, chłopaczyna – rzekł z uznaniem. – Podoba się damom. Możesz pan się nie martwić! Nikt go tu nie ruszy! Ten fordanser na naszych

podwórkach będzie nieruszany, gwarantuję, panie Łysman.

– Dziękuję! Dobranoc, panie starszy!

Pan Wincenty kiwnął niedbale głową.

Popielski, wyszedłszy z lokalu, ostatni raz spojrzął w jego wnętrze.

Żorzyk tańczył świetnie, a pani Barska jakby omdlewała w jego ramionach, wyginając swoją kibić.

Coś jednak Edwarda zaniepokoiło. Ona podczas tej tanecznej ewolucji patrzyła w kierunku drzwi. Wydawało mu się, że z końca sali, z ramion Żorzyka, Irena Barska uśmiecha się do niego, do Edwarda.

– To przez ten dym coś mgli mi się w oczach – mruknął i wyszedł z knajpy.

Pewnie rzeczywiście z powodu gęstego dymu nie zauważył, że żona artysty malarza nie jest jedyną kobietą w środku, która okazuje duże zainteresowanie jakimś mężczyzną.

Panna Frania przez łyzy patrzyła na Żorzyka, który szalał na parkiecie.

Jeszcze nigdy nie zakochała się od pierwszego wejrzenia – tak jak kilka dni temu, gdy ten przystojny brunet z pięknym wschodnim zaśpiewem odprowadził ją do domu i obiecywał wycieczkę do lunaparku.

\* \* \*

LEW PARKIETU SZYBKO POCZUŁ, że nie będzie musiał stawać na głowie, aby pani Barska zamieniła się – jak to Popielski ujął we Lwowie – w operową Madame Butterfly.

Kobieta w czasie drugiego tanecznego utworu odpoczywała. Wypiła w tym czasie kilka łyków wódki wprost ze szklanki – a jakże! – i przy stole kiwała się lekko w takt sentymentalnej melodii. Udawała, że nie patrzy na Żorzyka, który z kolei nie spuszczał z niej rozpalonego wzroku.

Do trzeciego tańca nie dała się długo namawiać. A w czwartym przyłgnęła do niego całym ciałem i roześmiała się perliście, gdy poczuła jego silną erekcję.

Jurko nosił na szczęście szerokie spodnie i nikt nie rozpoznał jego stanu – no, może poza panną Franią, która uważnie go obserwowała. Poza tym gołe żarówki wiszące u sufitu obok zwieszających się pasemek fałdowanej bibuły dawały bardzo niewiele światła.

Zresztą on sam nie przejmował się tym, iż jego ciało powiększyło swą objętość. Jako doświadczony podrywacz wiedział, że taka męska ekscytacja bywa dla tancerek swoistym komplementem.

Obiecywał sobie wiele. Bardzo często młode kobiety, które uwodził, pozwalały mu na pewną poufałość, jakby sprawdzały, jak daleko może się posunąć, jakby się wahały, czy oddać się mu całkowicie, po czym wycofywały się w ostatniej chwili. Tak robiły kobiety nabierające dopiero doświadczenia.

Ale pani Barska nie była już nowicjuską. Wchodziła w wiek według niego najlepszy – gdy ciało jeszcze młode i gładkie, a szlify umiejętności erotycznych już dawno zdobyte i utrwalone.

Niestety, okazało się, że oczekiwania i plany młodzieńca spaliły tego wieczoru na panewce.

Nagle u jego partnerki nastąpiła diametralna zmiana nastroju. Pani Barska jakby zubożniała.

Usiadła przy stoliku i kilka tanecznych kawałków opuściła. Jurka i jeszcze innego fordansera, który próbował ją wtedy prosić do tańca, niecierpliwie odpędziła pogardliwym ruchem ręki.

Żorzyk podszedł wtedy pod ścianę i zaczął się rozglądać za wódką. Panna Frania przyniosła mu pół szklanki bimbru i uśmiechnęła się słodko.

Odepdził ją burknięciem i nazwał „chudą szczapą”. Nie powinien był tego robić. Rozmyślał gorączkowo nad dalszym postępowaniem. Reakcję pani Barskiej, która po kilku gorących gestach zachęty nagle go odepchnęła, dałoby się wytłumaczyć na różne sposoby.

Jednym z powodów mogły być wyrzuty sumienia wobec małżonka.

Jurko wiedział, że niektóre mężatki, zwłaszcza zaniedbywane czy też zdradzane przez swego ślubnego, pragną potwierdzenia własnej wartości. Owo potwierdzenie może się skończyć namiętą nocą z innym mężczyzną czy nawet długim romansem, ale może również nie wyjść poza wstępne umizgi – i niektórym żonom tylko to wystarcza.

Żorzyk nie miał pojęcia, czy tak jest w wypadku pani Barskiej, ale wiedział, jak to rozpoznać. Nie mógł przecież na oczach wszystkich zadrzeć jej sukienki i rzucić kobietę na stół, musiał przypuścić atak w ukryciu.

Niczym nie ryzykował. Nawet jeśli go spoliczkuje, to młodzieniec na długo wryje się w jej pamięć jako ognisty brutal. A na następnych tańcach U Bandyty Irenka może być dla niego znacznie łaskawsza.

Kiedy pani Barska wyszła do toalety znajdującej się na podwórku, jeden z jej goryli ruszył za nią.

Kobieta weszła do budki z wyciętym na drzwiach serduszkciem, a spocony facet w kapeluszu stał w przyzwoitej odległości i palił świeczkę, aby jego pani mogła bezpiecznie powrócić i w coś na podwórku nie wdepnąć.

Jurko do niego podszedł.

– Mogę z nią porozmawiać? – zapytał. – A pan w tym czasie się odwróci do nas plecami. Nic jej nie zrobię, wszystko pan będzie słyszał...

Wyjął z kieszeni złotówkę.

Goryl mruknął coś łaskawie i schował monetę.

Kiedy pani Barska wyszła, zobaczyła Żorzyka. Podskoczył do niej. Uśmiechnęła się lekko.

– Rozpaliłaś moje zmysły! – zawołał i rzucił się do całowania jej szyi.

Nie odepchnęła go. Przesunęła ręką po jego głowie i karku. A potem szepnęła:

– Odsuń się ode mnie, chłopczyku! Ale już!

Zrobił, co mu nakazała.

W mętym świetle świecy widział, jak wyciera dłoń o sukienkę.

– Musisz używać tej wstrętnej brylantyny? – mruknęła. – Nie lubię takich tłustych włosów!

Minęła go i ruszyła ku goryłowi, wciąż odwróconemu do nich plecami.

– Wolę takich jak nasz wódz! – krzyknęła. – *Adieu*, chłopczyku!

W pierwszej chwili wzgardzony Czmyr nie zrozumiał, o co kobiecie chodzi. Ale wystarczyła chwila poskramiania szalejących zmysłów.

I już wiedział.

Wódz, czyli generał Rydz-Śmigły, golił głowę na łyso.

\* \* \*

EDWARD POPIELSKI CZEKAŁ na dalszy rozwój wypadków. W kapeluszu – dla niepoznaki nasuniętym na oczy – siedział na tylnej kanapie fiata 508 i patrzył w stronę rozświetlonej knajpy U Bandyty, pod którą stały dwie dorożki.

To one, jak powiedział siedzący za kierownicą fiata Wojtanowicz, przywiozły rozbawione panie wraz z ich milczącymi towarzyszami.

Edward palił i nic nie mówił. Nie wierzył, aby Żorzykowi powiodło się już za pierwszym razem. Choć pani Barska wydawała się kobietą skłoną do flirtu i jej mąż może miał powody do zazdrości, mogły to być

tylko pozory, a te często mylą. I okazywanie zazdrości przez niego, i zwracanie uwagi na młodych mężczyzn przez nią mogło być tylko małżeńską grą, która później wzmagalaby alkowiane namiętności.

Możliwość dzisiejszej porażki Żorzyka uważał za najbardziej prawdopodobną. Za tym pierwszym pesymistycznym przypuszczeniem szły dwa optymistyczne.

Gdyby się okazało, że jednak nie docenił magnetycznego wpływu Jurka na kobiety i ten rzeczywiście zawróciłby w głowie pani Barskiej na tyle, aby zgodziła się już dzisiaj pójść na całość; gdyby tak się właśnie stało, wypadki mogłyby się potoczyć dwojako. I obie możliwości były ujęte w planie działania.

Jurko miał zaprosić Irenę do najbliższego hotelu, a właściwie do pensjonatu Stanisławy Roszkowskiej przy ulicy Mokotowskiej 41. Owa starsza dama była kuzynką Krapińskiego i nie raz, i nie dwa udostępniała swoje wnętrza Dwójce.

Tam czekałby na nich wolny pokój, a obok, tuż za ścianą – zgodnie z planem obezwładniania „Pasożyta” – miał się zainstalować niejaki Leon Rusecki, znakomity fotograf, współpracujący z Dwójką od dekady.

Ów specjalista pełnił dzisiaj dyżur telefoniczny, a policyjny motocyklista – po ewentualnym alarmie Popielskiego – miał go podwieźć natychmiast na Mokotowską.

Znakomity fotoaparat marki Minox Riga, który teraz spoczywał w kufrze bagażowym fiata, Edward miał dostarczyć Ruseckiemu osobiście.

Gdyby jednak nie poszło tak gładko, a pani Barska – pod wpływem pożaru zmysłów – sama wybrałaby miejsce grzechu, to Wojtanowicz miał tam zawieźć Popielskiego. Wówczas Edward musiał albo liczyć na własne fotograficzne umiejętności i samemu zrobić zdjęcie – gdzieś z ukrycia – albo później w porozumieniu ze specjalistami Krapińskiego zaplanować

tam tajną sesję foto, licząc, że będzie to stałe miejsce romantycznych schadzek.

Tymczasem spełniło się pierwsze przypuszczenie – pesymistyczne. Przed jedenastą wieczór Żorzyk wyszedł z knajpy nieco chwiejnym krokiem, minął dorożki i ruszył na północ ulicą Czerniakowską.

Nikt go nie śledził, wokół było pusto. Popielski dotknął ramienia szofera. Ruszyli powoli za Czmyrem.

Po chwili młodzieniec siedział obok Edwarda. Był blady i milczący.

– Działam, robię, co mogę. – Tylko tyle powiedział.

„Wenus musi go srogo palić – pomyślał Popielski, przypominając sobie tę staropolską frazę. – Mnie też by paliła po przytulaniu takiej kobiety”.

\* \* \*

DWA DNI PÓŹNIEJ, PO PRZEDSTAWIENIU *Tessa* w Teatrze Nowym, kieszonkowcy Burmyły ukradli z futerka pani Barskiej szyfrogram A243.

Czy to z tego powodu, czy z innego – być może dowiedział się o bytności żony w knajpie U Bandyty? – Mieczysław Barski zamienił się w brutala. Agentka Filistynka donosiła, że Irena z sińcami na twarzy pojechała do uniwersyteckiej kliniki chirurgicznej przy Nowogrodzkiej. Potem przez kilka dni nie wychodziła z domu.

Osiemnastego czerwca wyjechała z mężem nad Zalew Zegrzyński – na jak długo, tego agentka nie dowiedziała się ani od służby, ani od dozorczy ich kamienicy.

Żorzyk nie miał zatem co robić i pił zbyt dużo. Kieszonkowcy od Burmyły też leniuchowali i robili to samo co Jurko.

Skrupulatnie odliczali dni – wszak ich szef kazał im przebywać w stolicy góra trzy tygodnie – do powrotu do ukochanego Lembryka.

Nie mieli zresztą nic do roboty. Warszawscy kieszonkowcy szybko zwąchali konkurencję, a wchodzenie im w drogę trzej lwowianie uznali za bardzo niebezpieczne.

Miasto rozпалиły letnie upały. „Pasożyt” umilkł, Griapinski nie ruszał się z poselstwa, chyba że na nadwiślańską plażę braci Kozłowskich koło mostu Poniatowskiego.

Popielski uprosił Krapińskiego o kilka dni urlopu i poleciał samolotem do Lwowa. Cena biletu była ogromna, dziewięćdziesiąt złotych, ale nie znaczyła nic wobec chęci ujrzenia najbliższych – i to nie w żadnym minorowym nastroju, tylko nader radosnym, bo Rita jednak zdała do następnej klasy. Na pierwszym piętrze lwowskiej kamienicy przy Kraszewskiego zapanował błogi spokój.

Edward nie mógł się napatrzeć na Rity świadectwo ukończenia gimnazjum. Cieszył się ogromnie, choć niejednego nie skłaniałoby ono do dęcia w fanfary. Dwie oceny „bardzo dobrze” – przy „zajęciach praktycznych” i przy „ćwiczeniach cielesnych” – w otoczeniu samych „dostatecznie” nie było oznaką szkolnych triumfów.

Panienka w towarzystwie ulubionej koleżanki z klasy Jadzi Wajchenderówny oraz jej mamy i dwóch starszych braci chodziła codziennie na kąpielisko miejskie na Zamarstynów.

Leokadia układała pasjansy kartami otrzymanymi w prezencie od Edwarda, a wieczorami na pianinie wygrywała Beethovenowskie sonaty.

Gospoia Hania co drugi dzień piekła pyszne ciasto z rabarborem i gotowała owocowe kompoty.

Wszyscy w domu byli spokojni oprócz Edwarda, który wciąż czekał na wiadomości z Warszawy. Czy deszyfrantom z Pałacu Saskiego udało się zrozumieć ten lakoniczny komunikat A243? Czy Irena Barska już



wróciła z wywczasów? Czy „Pasożyt” się uaktywnił? Czy Griapinski pojawił się w herbaciarni Pod Samowarem?

Kiedy dwudziestego drugiego czerwca siedział z Leokadią w salonie i obmyślali wspólnie miejsce wakacyjnego odpoczynku, w przedpokoju zadzwieczał telefon.

Edward odebrał i przez dłuższą chwilę słuchał. Dzwonił szofer pułkownika Zdzisław Wojtanowicz.

Fiat 508 stał zaparkowany pod Ogrodem Jezuickim.

Popielski pożegnał kobiety swego życia i godzinę później wracał do Warszawy. W rękach trzymał kopertę.

A w niej znajdowały się odpowiedzi na wszystkie zadawane sobie cztery pytania. Czytał je wielokrotnie.

Szyfrogram A243 jest nie do rozszyfrowania, choć w wielkiej ogólności wiemy, co ów symbol oznaczać może. Sowiecki wywiad korzysta tutaj ze starego obyczaju carskiej ochrony. Oprócz akt osobowych ochrona miała alfabetyczne listy agentów działających w sąsiednich państwach. Agent ów oprócz właściwego kryptonimu dostawał tzw. archiwkryptonim, który ułatwiał carskim archiwistom szybkie dotarcie do niego. Taki archiwkryptonim wyglądał następująco: „pierwsza litera właściwego kryptonimu + liczba porządkowa na liście”. I tu stawiam hipotezę. Być może dzisiejszy Razwiedupr ma również takie alfabetyczne archiwlisty agentów podejrzanych o to, że zostali przez nas odwróceni. „Pasożyt” ma kopie tych archiwlist. Być może „Pasożyt” sprawdza w naszym archiwum po kolei tych różnych agentów i wysyła Sowiecom po każdym przedstawieniu symbol takiego, który pracuje dla Dwójki. Reasumując – aby rozszyfrować, co oznacza A243, musielibyśmy dysponować sowieckimi archiwlistami.

Edward odłożył na kolana raport napisany przez deszyfranta, magistra Bronisława Szczecińskiego. Opinia ta wydała mu się nieprawdopodobna.

Nie wyobrażał sobie, aby najlepszy i najgłębiej zakonspirowany agent, czyli „Pasożyt”, miał w szafie, w biurku, a nawet – niech będzie – w tajnym sejfie listę agentów podejrzanych o współpracę z Dwójką.

„Rosjanie nie są idiotami – myślał. – Nie daliby nikomu takiej listy. Ten Szczeciński to chyba jakiś niepoprawny fantasta”.

Gdy już opuszczali Żółkiew, zostawiając za sobą wyboje, i wjeżdżali na dobry trakt prowadzący w stronę Lublina, przeszedł do drugiego dokumentu, jaki znalazł w teczce otrzymanej od Wojtanowicza. Wynikało z niego, że „Pasożyt” właśnie się uaktywnił.

Griapinski zostawił bowiem wczoraj Pod Samowarem szyfrogram o treści 67-6F-W, co oznaczało, iż szóstego lipca w Teatrze Wielkim zostanie przekazane następne zaszyfrowane nazwisko polskiego agenta, działającego w Sowietach lub w pobliskich krajach, dokąd sięgają długie ręce katów z Łubianki.

6.VII – pisał pułkownik Krąpiński – jest występ naszego światowej sławy śpiewaka Jana Kiepury. Gazety piszą o tym od dawna. Wykona tenże na świeżem powietrzu na balkonie Teatru Wielkiego serię aryj z oper włoskich. Występ jest gratis, czyli ogromna frekwencja gwarantowana, co cieszy wszystkich, tylko nie nas.

Trzeci dokument był najbardziej alarmujący. Pułkownik Krąpiński nie miał żadnej wątpliwości, że Popielski – przeczytawszy go – zdecyduje się na natychmiastowy powrót. Dlatego wysłał do Lwowa swego zaufanego szofera, bo loty były w ten letni czas w dużej mierze wykupione.

Irena Barska wróciła – donosiła w swym raporcie agentka Filistynka, która na czas nieobecności Popielskiego znów wróciła do inwigilacji Barskiej. – Jest sama, mąż został w Jadwisinie. Przyszła sama do knajpy U Bandyty. Pytała o coś barmankę, którą już wcześniej byłam poznałam i też dyskretnie rozpytałam. Barską zaczepił

tam młody przystojny pan. Pani Barska odpędzała się od niego i krzyczała nań ze złością. On padał przed nią na kolana. Wzbudzało to wielką wesołość. Śledziłam tego pana później, co było o tyle łatwe, że był nietrzeźwy. Mieszka w bursie Towarzystwa Ukraińskiego Pomocy Słuchaczom Narodowości Ukraińskiej Wyższych Uczelni m.st. Warszawy. Zapytałam o niego portierkę tej bursy pod pretekstem, że szukam dla córki studenta korepetytora. Opisałam go, że jest tu od niedawna, że bardzo przystojny etc. Odpowiedziała mi, że pan ten, nazwiskiem Pawło Trojaniuk, został ciężko pobity i przebywa w Szpitalu Świętego Rocha przy Krakowskim Przedmieściu. Stan ciężki, ale nie umrze.

Edward, przeczytawszy to po raz tysięczny, kazał szoferowi zatrzymać się w lesie za Rawą Ruską. Poleciał mu wykopać dołek w piasku.

Zgodnie z instrukcją spalił tam wszystkie przeczytane dokumenty, a popiół zalał własnym moczem.

Pierś rozsadzała mu wściekłość. W ustach czuł straszliwą gorycz. Oddałby królestwo za jednego dropsa.

– Nie przypilnowałem tego skurwysyna! – powiedział do szofera. – A ten się schlał i po ryju gdzieś dostał. A ja, do cholery jasnej, nie mam do dyspozycji nowego amanta dla tej swawolnej mężatki!

Pan Wojtanowicz nie rzekł ni słowa. Milczałby, nawet gdyby wiedział, kogo Popielski ma na myśli.

Otworzył drzwiczki fiata, ruchem dłoni zaprosił swego pasażera do środka, a tam wręczył mu dużą grudkę jakiejś substancji. I wtedy przerwał swe milczenie.

– Na zgryzoty słodycz najlepsza, panie szanowny! Chałwa grecka z bazaru Różyckiego!

Popielski pochylił się i uściskał go serdecznie. Nie dziwił się, że tak domyślny i milczący człowiek należy do najbardziej zaufanych

pracowników pułkownika.

\* \* \*

JURKO CZMYR WCALE NIE „DOSTAŁ PO RYJU”, jak sądził Popielski. Jemu „wtryniono majchra pod żebro”, jak śpiewano w balladzie o Felku podrzutku.

Młodzieniec leżał przy oknie w Szpitalu Świętego Rocha i patrzył na pomarańcze i kompot z jabłek, które Popielski postawił na stoliku obok łóżka. Był śmiertelnie blady i nieogolony.

– To nie moja wina, panie komisarzu – szepnął.

Popielski pochylił się nad nim.

– Mów, Jurko, mów mi wszystko, chłopaczyno!

– To przez tę chudą Frankę, dziewczynę od Bandyty!

I Żorzyk wszystko opowiedział.

Jak przychodził kilka razy do knajpy na Czerniakowskiej, bo miał nadzieję, że kiedyś tu przyjdzie Barska z towarzyszkami. A tam się upijał i musiał stawiać czoła zalotom chudej Franki, która za darmo go „monopolówką” raczyła.

– Przedwczoraj przysłała tam pani Irena – szeptał. – I ustaliła z panem Wincentym termin tańców na najbliższą niedzielę. Rozmawiała z barmanką Franią. Pytała się o pana, panie komisarzu. A co do mnie, to udawała, że mnie wcale nie widzi...

Popielskiemu dreszcz przeszedł po plecach, ale nie przerywał Żorzykowi.

Usłyszał opowieść o tym, jak ten – nieźle już pijany – padał przed Barską na kolana, błagał o jedno choćby łaskawe spojrzenie i wyznawał jej miłość ku uciesze gawiedzi i samej adresatki tych wyznań.

Na pytanie Popielskiego, czy zauważył panią w wieku balzakowskim, która zapewne udawała prostytutkę i wszystko bacznie obserwowała, odpowiedział twierdząco. Dodał, że przebywała w towarzystwie starszego, niechlujnego chłopca z siwym czubem włosów.

Rysopis pasował do Krapińskiego. Edward pomyślał, że pułkownik stawał się coraz bardziej nieostrożny i narażał swoją obecnością tak sprytną i bystrą agentkę, jaką była towarzysząca mu Filistynka. O ile ona mogła U Bandyty udawać prostytutkę na gościnnych występach, o tyle żaden alfons nie był tak stary jak Krapiński.

Po tej dygresji Żorzyk wrócił do wypadków wieczoru.

– Tak ją chciałem zdobyć, panie komisarzu! Niektóre kobiety lubią takie demonstracje. Bawi je to.

Barską w końcu przestało to bawić, a nawet znudziło. I wypowiedziała te same słowa co w czasie ich pierwszego spotkania. „*Adieu, chłopczyku!*”. I odjechała samochodem z koleżanką i dwoma gorylami.

Żorzyk wyszedł od Bandyty o jedenastej pijany jak bela. Pod samą knajpą podeszło do niego dwóch. Jeden z nich zaświecił mu w oczy sprężynowym nożem.

A potem „wtrynił majchra pod żebro”.

– Naszych dziewczyn nie wolno obrażać, amancie – warknął nożownik, kiedy Jurko osuwał się na kolana.

– Ta bogata dziwka jest nie dla ciebie – usłyszał głos Franki. – Za wysokie progi na twoje nogi.

Ostatnie, co zauważył, to wielkiego jak kamienna bryła pana Wincentego, który w furii wypada z knajpy i kopie nożownika w pośladki z taką siłą, że ten aż podskakuje. A potem zaczyna okładać pannę Franję z krzykiem:

– Leć, szmato, po karetkę, ale już!

Żorzyk spojrział z łóżka na Popielskiego.

– Da pan coś zapalić, panie komisarzu? Cygarety mi się skończyły.

Kiedy Edward do szuflady szpitalnego stolika wysypywał z papierośnicy jej zawartość, Żorzyk z niejakim żalem opowiedział o fascynacji Ireny generałem Rydzem-Śmigłym.

– Ona nie chce mnie, panie komisarzu – podsumował swój wywód. – Ona chce takich jak generał... Albo takich jak pan!

---

<sup>36</sup> Grupa, szajka (żarg.).

<sup>37</sup> Złożenie z gr. *zoon*, zwierzę, i *skopeo*, oglądam.

## ROZDZIAŁ VIII ZOOSKOPIA NA CZERNIAKOWSKIEJ

---

POPIELSKIEMU ŻAL BYŁO JURKA CZMYRA, ale nie czuł się winny, że go naraził na ciężkie – chwilowe, miał nadzieję – zdrowotne perturbacje. Żorzyk trochę wychodził przed szereg, był trochę zbyt ambitny, a może ta pani Barska rzeczywiście rozpałała mu zmysły? Jeśli już ktoś tu zawinił, to Wincenty Woškowiak, czyli czerniakowski Bandyta. Wszak obiecał Popielskiemu, iż „chłopaczynie” włos z głowy nie spadnie, a tymczasem ten ledwo z życiem uszedł.

I z nim to Łyssy postanowił się rozliczyć. Wcześniej jednak musiał koniecznie porozmawiać z Krapińskim. Wyeliminowanie Żorzyka z akcji tworzyło zupełnie nową sytuację, co więcej, powstała luka, w którą musiał on teraz wejść – on sam, Edward.

Nazajutrz, gdy spacerowali z pułkownikiem szerokimi leśnymi duktami pod Falenicą, przedstawił mu nową wersję planu.

Szli nieśpiesznie i wdychali żywiczny zapach drzew rozgrzanych letnim upałem. Daleko za sobą pozostawili fiata, przy którym szofer Wojtanowicz czujnie rozglądał się dokoła.

Edward, gdy skończył, czuł, jak w skroniach biją mu ciężkie młoty. Sprawa zrobiła się niezwykle delikatna.

– Pan chyba żartuje, Popielski! – odezwał się w końcu pułkownik. – Pan chce wystąpić na zdjęciach pornograficznych?

– Co to znaczy „chcę”? – Popielski gwałtownym ruchem zdjął letnią jasną marynarkę i powiesił ją sobie na ramieniu. – Mój donżuan jest ranny,

ledwo się rusza. Lekarze zakazali mu wstawać. Mamy teraz szukać nowego pięknisia?

– Nie naszukamy się długo, nie brakuje takich w Warszawie, w samym pałacu znalazłbym na pewno jednego czy drugiego – burknął Krapieński i obrzucił rozmówcę nieco ironicznym spojrzeniem. – Ale pana to raczej do nich bym nie zaliczył...

– Owszem, daleko mi do żigolaków. – Edward powiesił marynarkę na odłamanej gałęzce sosny i zaczął podwijać rękawy. – Ale Irena Barska zasugerowała Żorzykowi, że mężczyźni z moją fryzurą nie są jej całkiem obojętni...

– Pan w ogóle wie, ile ona ma lat? – warknął szef, ocierając pot z czoła. – Myśli pan, że piękna trzydziestoletnia kobieta na pana poleci?

– Kobiety nie są małostkowe, panie pułkowniku. Nawet jeśli nie jestem młody, to mam w sobie coś... I to coś jest dla kobiet intrygującym wabikiem!

Krapieński przystanął i zaczął się śmiać, w wyniku czego zrobiło mu się gorąco. Rozpiął kilka guzików koszuli i zdjął marynarkę z krótkim rękawem.

– Doprawdy, jesteś pan bardzo pewny siebie! Dotąd, jeśli wierzyć aktom, uwodził pan jedynie panienki lekkich obyczajów! A o to chyba nie trzeba się mocno starać. No co? To powiedz mi pan, co to jest to „coś”. Ten wabik. To coś konkretnego? Czyżby pański łysy łeb?

– Coś bardzo konkretnego, panie pułkowniku. To kilka gazetowych wzmianek o mnie i o moich śledztwach. Lwowska prasa o nich pisała, a warszawska również. W tych artykułach nie brakuje moich zdjęć. Kilka wycinków mam ze sobą. Muszę jeszcze panu tłumaczyć, jak męska sława działa na niewiasty?



Szli przez chwilę w milczeniu, aż znaleźli się na małej polance, którą przecinało zwalone drzewo.

– Usiądźmy! – wskazał na nie Krapieżski.

Edward wyjął dużą kraciatą chustkę i dopiero na niej usiadł. Nie chciał, aby lepkie żywiczne krople wtopiły się w jego jasne spodnie.

– Poważne zranienie mojego człowieka całkiem zmieniło sytuację, panie pułkowniku. Ale przecież pan wie, że rzadko kiedy plany nie są modyfikowane. Na przykład pan sam z powodu braków kadrowych uczestniczy w zadaniach operacyjnych. Mój człowiek widział pana z agentką Filistynką U Bandyty, wtedy gdy go poharatano. To nieostrożność? Tak pomyślałem sobie w pierwszej chwili, ale...

– Nie za dużo pan sobie pozwala?! – podniósł głos Krapieżski. – Chce pan, abym się przed nim tłumaczył, dlaczego byłem z moją agentką w miejscu operacyjnym?!

Edward spojrzał na rozmówcę z lekkim uśmiechem.

– Ja tylko mówię: *Tempora mutantur, nos et mutamur in illis*<sup>38</sup>...

Pułkownik jeszcze przez chwilę patrzył groźnie na swego rozmówcę, aż temu w końcu uśmiech zgasł na wargach.

– Niebezpieczeństwo polega na tym, Popielski, że takie zdjęcia mogą wypłynąć jak spod ziemi – mruknął. – Przez trzydzieści lat służby widziałem wiele takich przecieków. Wcale bym się nie dziwił, gdyby mi ktoś za rok czy dwa powiedział, że nakrył jakiegoś gimnazystę, który przy tym foto wali sobie kapucyna...

W oczach Popielskiego była śmiertelna powaga.

– Gdyby takie fotografie trafiły do pańskiej rodziny, panie kapitanie... Mogłoby dojść do tragedii.

Edward uśmiechnął się nieco sztucznie.

– Wbrew lwowskim plotkom – jego głos zabrzmiał butnie – nie żyję z moją kuzynką Leokadią „na wiaderku”, o ile pan pułkownik wie, co mam na myśli...

Krapiński skinął głową na znak, że ta fraza jest mu znana.

– Leokadia na pewno byłaby zniesmaczona moimi erotycznymi wyczynami. Tak, to prawda. Ale zapewniam pana pułkownika, że na krótko. Ona jest mądrą, doświadczoną kobietą. I ma też swoje uczuciowe słabości<sup>39</sup>...

Szef zerwał się z pnia sosny.

– Nie mówię o pannie Tchorznickiej, tylko o pańskiej córce! Widok ojca chędożącego jak buhaj mógłby zdruzgotać kruchą psychikę szesnastoletniej panienki!

Cios był celny. Popielski zacisnął wargi i kułaki, aż zbieleły na nich kostki.

– Tak, ma pan rację, panie pułkowniku – słowa przez zaciśnięte zęby wychodziły nieco zniekształcone. – Dlatego trzeba zrobić wszystko, aby nigdy nie wypłynęły moje wyczyny uwiecznione na kliszy! Zdjęcia musi zrobić mój zaufany fotograf. To mój przyjaciel, był ze mną w Warszawie, Wilhelm Zaremba.

– Wykluczone! – wrzasnął Krapiński. – Ja nie mam zaufania do nikogo poza kilkoma moimi ludźmi! I jeden z nich, ten sam, co miał sfotografować Barską i tego pańskiego donzuana... To on robi tę pornografię! Rozumiemy się?

Edward podrapał się w czoło. Na jego obliczu malował się sprzeciw. Już otworzył usta, aby storpedować ten pomysł, gdy pułkownik zawołał:

– To rozkaz, Popielski! Bez dyskusji!

Umilkli. Krapiński pocierał kciukami skronie. Najwyraźniej coś go gryzło. Wyjął papierośnicę i poczęstował swego rozmówcę.

– No dobrze, kapitanie – westchnął. – Wyjaśnię to panu. Pański Zaremba może być człowiekiem najgodniejszym zaufania na świecie. Ale dla mnie jest on tylko miłym panem, którego słabości nie znam, a może nawet i nie zna ich pan, choć siedzieliście w jednej ławie gimnazjalnej. Natomiast wróg może je znać. Czy pan wie, jaką bronią byłyby te zdjęcia w rękach wroga, gdyby je wydostali z rąk Zaremby albo z jakiejś ciemni fotograficznej? Czy pan wie, jak pan by się zachował, gdyby pewnego dnia odwiedził pana we Lwowie radca Griapinski i zagroził, że pańska córka ujrzy, jak pan to ujął, „erotyczne wyczyny” tatusia? Po czym uprzejmie Rosjanin zaprosiłby pana do współpracy...

Edward siedział markotny. To wszystko brzmiało przekonująco.

– Tak jest – rzekł w końcu. – Rzeczywiście, to musi być pański zaufany fotograf, panie pułkowniku.

Krapiński roześmiał się teraz głośno.

– Widzę, że pan się rwie do tej akcji! No to dzieła! – Klepnął go mocno w ramię. – Do boju, kapitanie! Jak to mówią, zadzieram dzidę i idę!

\* \* \*

W SOBOTĘ DWUDZIESTEGO SIÓDMEGO CZERWCA Wincenty Woškowiak *alias* Bandyta był na nogach od wczesnego ranka. O ósmej mieli mu przywieźć trzy beczki piwa skierniewickiego ze składu tegoż browaru przy Chłodnej. Był zadowolony, że udało mu się taką właśnie ilość zamówić – zresztą po starej znajomości. Wraz ze wzrostem temperatury pienisty napój z chmielu cieszył się w mieście większym wzięciem niż wysokoprocentowy sok z żyta lub z ziemniaków.

On sam nie lubił piwa, nazywał go „bryją gorzką i ciężką”. Preferował spirytualia, których nie spożywał zbyt dużo – ot tak, może szklankę dziennie, nie więcej.

I nigdy przed południem.

Tej soboty zrobił jednak wyjątek, lecz w celach wyłącznie zawodowych. Przed chwilą posłaniec z Warszawskiego Towarzystwa Oczyszczania i Sprzedaży Spirytusu dostarczył mu sześć butelek tego trunku.

Woškowiak miał z niego sporządzić napój, który w smaku przypominałby domowy produkt. Zamożne panie, które następnego dnia miały odwiedzić jego zakład, powinny skosztować specjałów przedmiejskich: autentycznych swojskich wędlin, swojskich gorących chłopaków i swojskiego mocnego napitku.

Oczywiście mógł na stole postawić butelki z prawdziwym bimbrem, ale ten pędzony na Czerniakowie, nawet przez babcię Jasię, nie zawsze był bezpieczny. Ostatnie, czego by Woškowiak pragnął, to aby któraś z dam nagle zaczęła źle widzieć.

Czysty, rektyfikowany spirytus, „zdrowy i państwowy”, jak mawiał, musiał jakoś naśladować napitek przedmieść. I „kerownik Wicuś” wiedział, jak to zrobić.

Kiwnął na Frankę, która stała za barem i przecierała szklanki. Dziewczyna spojrzała z żalem i z niechęcią opuchniętym, podbitym przez szefa okiem.

– Przynieś no chary!

Franka nie zrozumiała.

– No, gąsior! Ten dla sztajmesów!

Dziewczyna wyszła na zaplecze.

To był oryginalny pomysł Wincentego – kubek wina z jabłek, zmieszany z dwiema ćwiartkami spirytusu i z odpowiednią ilością wody świetnie udawał swojski bimber.

Franka wróciła, niosąc mały gąsior jabłkowego wina, jakim szef nielegalnie raczył włóczęgów lub różnych chojraków z Czerniakowa, którym chwilowo forsy zabrakło, a organizm domagał się alkoholu.

– Przyjechali od Piotrowskiego z wędlinami, panie szefie – krzyknęła dziewczyna.

Wyglądała na przerażoną. Wyraz jej posiniaczonego oblicza wynikał ze strachu przed pryncypałem.

Nie miał dla niej współczucia. Bynajmniej nie przejmował się tym łysym lwowskim łachudrą, którego kompana obiecał chronić, a ten dostał majchrem od Tośka Amerykana. Niepokoiło go coś innego – że dziewczyna jest taką żmiją, co to potrafi zaatakować zniecka, gdy ją obrazić.

Postanowił w duchu szybko się jej pozbyć. Mogła się mścić za podbite oko.

– Gdzie oni są? – zapytał, stawiając gąsior na podłodze i patrząc przez otwarte drzwi lokalu. – Nie widzę...

– Od tyłu przyjechali, panie szefie.

– Szykuj lód w piwnicy – polecił swej pracownicy.

Ta poszła w stronę wjazdu do piwnicy. Nie spełniła jednak polecenia. Nagle skręciła obok wejścia do gospodarczego przyziemia i wybiegła z lokalu. Już tu nie wróci. Nie chce zadzierać z jednym z tych, którzy na podwórku czekali teraz na szefa.

Tymczasem ten, sapiąc ciężko, szedł ciemnym korytarzykiem, którym zwykle jego goście udawali się na podwórko za potrzebą.

Po chwili już tam był i osłoniwszy dłonią oczy, przyjrzał się wózkowi transportowemu z napisem „Masarnia E. Piotrowski, Solec 69”. Pojazd zaopatrzony był w dwa dyszle, które służyły za uchwyty tragarzowi.

Człowiek, który je trzymał teraz pod pachami, nie wyglądał na tragarza.

Miał na sobie jasny letni garnitur i ciemną koszulę o wykładanym kołnierzu. Zdjął kapelusz na powitanie.

Woškowiak go poznał.

To był ten „lwowski łachudra”, który go prosił o opiekę nad nieszczęsnym fordanserem.

– Chciałeś mnie wkurwić, Wicuś? – zapytał głębokim zachrypniętym głosem. – No to ci się udało.

Dopiero teraz oczy Bandyty, przyzwyczajony do ostrego blasku słońca, dojrzały czterech ludzi siedzących pod podwórkową lipą.

Patrzyli na niego równie przyjaźnie jak „łachudra”.

– O co chodzi? – zapytał szef.

Lwowianin podszedł do niego, chwycił za chustkę pod szyją i przyciągnął do siebie.

– Dobrze pytanie – syknął. – Ale znam lepsze: jak mogę panu pomóc? To jest właściwe pytanie, Wicuś. I co? O to właśnie chciałeś zapytać?

– Tak – wycharczał Bandyta.

– No to ci odpowiem, jak mi pomóc. Jutro będzie u ciebie wielki bal. I ja będę się na nim bawił, rozumiesz?

– Rozumiem. – Ślina strzyknęła mu na podkoszulek. – No, puśćże, kurwa! Bo oddychać nie mogę.

– Chodź, omówimy szczegóły w środku. – Napastnik posłuchał jego prośby. – Tu słońce za duże i mózg mi się podgrzewa. Jeszcze zaczniesz mi się gotować i ci dopierdolimy za to, że tego młodego przed majchrem nie uchroniłeś, jak obiecałeś...

– Źle to, kurwa, wszystko poszło, panie – rozeźlił się Woškowiak. – Nie tak miało być No, chodź pan! Idziemy na zaplecze.

– Zuch chłopak! – Przybysz klepnął go lekko w zarośnięty policzek. – Ale już więcej źle ci nie pójdzie, co Wicus?

– Już nie – mruknął zapytany. – Pod chajrem<sup>40</sup>.

Następnego dnia, w niedzielę, „towarzystwo wesołych dam” zjawilo się wraz z dwoma goryłami po siódmej wieczór.

Na ich widok tempo obsługi natychmiast wzrosło. Woškowiak błyskawicznie przynosił z piwnicy miseczki z sałatką jarzynową oraz z minogami w sosie własnym, kupionymi na bazarze Różyckiego. Do tego jak zwykle grzybki, ogórki i talerze z niedbale krojoną, a wręcz szarpaną wędliną, gdzie grube i szerokie plastry kiełbasy cytrynowej i salcesonu były okolone mniejszymi plasterkami „czarnego” oraz przystrojone gałązkami koperku.

Trzyosobowa kapela zaczęła rznąć jakąś skoczną melodię – jakby na rozruch.

Panna Walercia Woškowiak, przysposobiona córka Bandyty, obsługiwała ich ze sztucznym sińcem pod okiem – co damy natychmiast zauważyły i podekscytowane, dopytywały się dziewczyny o nazwisko brutala.

Dwa połączone stoły nakryła ona niezbyt czystymi obrusami. Nie była zachwycona tym kelnerowaniem, miała inne plany na wieczór, ale ojczym, którego szczerze kochała, tak nalegał, że – wobec zniknięcia poprzedniczki – nie mogła mu odmówić. Sztuczny siniak musiał być – jako jedna z podmiejskich atrakcji.

Kobiety przyszły te same co ostatnio – rozweselone, rozszczebiotane i nieco prowokujące. Ich fryzury, z powodu upału nie osłonięte kapelusikami, były dziś doskonale widoczne: równo przycięte nad karkiem i podkręcone lokówkami na końcach.

Wszystkie trzy miały sięgające kolan letnie sukienki na ramiączkach. Obszyte błyszczącymi tasiemkami dekolty były duże, a przez materiał sukienek wyraźnie było widać, iż zdaniem wszystkich trzech pań na biustonosze jest dzisiaj stanowczo zbyt gorąco.

Platynowa blondynka – niewysoka i przysadzista – włożyła papieros do lufki i natychmiast dostała ogień od jednego z młodziutkich fordanserów, który już przebierał nogami, by porwać którąś w ramiona. Młodzieńcy ci na co dzień przebywali w pobliskich koszarach kawalerii. Ich komendant, bliski kolega Krapińskiego, zgodził się wypożyczyć ich na dzisiejszy wieczór.

Do tańca z nim ruszyła jej koleżanka – druga oprócz Barskiej brunetka.

Irena tymczasem rozpoczęła konsumpcję. Zdjęła koronkowe rękawiczki i chwyciła palcami plastry wędliny. Wkładała je sobie od góry do ust, dotykając je najpierw czubkiem języka.

Ten gest w wyobraźni Popielskiego był tak lubieżny, że w jego głowie zrodziła się natychmiast wszeteczna myśl, w której język pani Barskiej odgrywał główną rolę.

Nie licząc goryli stojących jak zwykle przy drzwiach, Edward zaliczał się do ośmiu mężczyzn obecnych na sali. Trzej z nich to byli młodzi fordanserzy. Czterej obcy, wyglądający na Żydów, siedzieli przy stoliku, nalewali sobie do szklanek i milczeli, gapiąc się ponuro po sobie. Zarośnięci, ciemni, niechlujni, wytatuowani. Nie patrzyło im dobrze z oczu. Płacili za wódkę od razu przy zamówieniu i jedli wyłącznie śledzie.

Edward dobrze wiedział, skąd pochodzą ich pieniądze na napitki i zakąskę – wprost z funduszu operacyjnego komisarza Gocławskiego, szefa rewiru XII. Wiedział też, że ci czterej trzęsą Muranowem i biorą haracze od właścicieli kramów przy Żelaznej Bramie. Na udział w przedstawieniu zgodzili się na prośbę Gocławskiego tylko dlatego, że



byli mu winni przysługę, a dzisiejsza akcja miała się odbyć na terenie, gdzie nikt ich nie zna, daleko od muranowskiego matecznika. U siebie za nic by nie spełnili tej prośby – bycie rozpoznanym jako policyjny konfident to w bandyckim kodeksie honorowym dożywotnia hańba, jeśli nie wyrok śmierci.

Wypadki wieczoru toczyły się nieśpiesznie. Panie tańczyły, a ich głosy stawały się coraz donośniejsze. Fordanserzy dwoili się i troili, muzykanci i goryle ociekali potem, czterej groźni Żydzi łypali spode łba, a Popielski palił i wychylał szklanę za szklanką. Tylko on, panna Walercia i jej ojczym wiedzieli, że nawilżał swój organizm wodą ze studni.

Miał pewność, że został zauważony przez kobiety. Siedzący z boku samotny mężczyzna w fularze pod szyją i w letnim garniturze, którego nie zdjął mimo duchoty, odcinał się wyraźnie od czterech rozchełstanych rzezimieszków w samych koszulach i kamizelkach oraz od fordanserów, którzy już dawno pozrzucali marynarki. Jego łysa głowa – kapelusz odłożył na stolik – oraz ciemne binokle były tak charakterystycznymi szczegółami, że nie mogły ujść uwadze wesoło bawiących się dam.

I faktycznie platynowa blondynka oraz Irena Barska kilka razy na niego zerknęły. Ta ostatnia raz zatrzymała wzrok na dłużej. Nie odwróciła go, gdy Edward odwzajemniał jej spojrzenie.

„Zaczyna się dobrze – pomyślał chełpliwie. – Patrzy się, będzie dziś moja”.

Kapela zaczęła grać tango *Dziś panna Andzia ma wychodne*.

To był znak.

Dwaj z muranowskiej ferajny wyciągnęli spod stołu dwa bukiety róż. Wstali i ruszyli do stolika dam, które właśnie wznosiły toast.

Tam tymczasem już dotarli szybsi od nich fordanserzy. Ale muranowcy nie mieli zamiaru się poddawać.

– Nasza kolej, no już! – warknął jeden z nich. – Tylko ty chcesz tańczyć, gogusiu? My to nie możemy?

Orkiestra umilkła. Szykowała się awantura. W głębokiej ciszy słychać było, jak dwaj goryle stukają butami, idąc środkiem pomieszczenia.

– Najpierw zapytaj dam, parchu! – zareagował ostro jeden z tancerzy. – Może one nie chcą wachać twojego czosnku!

– A poszedł stąd w pizdu! – krzyknął Żyd i pchnął fordansera tak mocno, że ten poleciał na okno i oparł się o parapet.

Pod wpływem ruchu powietrza poskręcana bibuła sfrunęła z sufitu na deski podłogi.

Goryle już przy nich byli.

– Co tu jest? Spokój ma mi tu być! – ryknął jeden z nich.

– Przepraszamy szanownych panów! – Jeden z Żydów uśmiechnął się przymilnie. – My nie do awantur, my do tańca!

Kobiety siedziały w ciszy. Czuły, że tak pożądanym przez nie autentyzm przedmieść przekroczył jednak pewną granicę.

I nagle nieoczekiwanie dwaj muranowcy wyciągnęli ku gorylom kwiaty. Ten gest był tak absurdalny i śmieszny, że kobiety zachichotały.

Był tak zdumiewający, że obaj silnoręcy spojrzeli po sobie.

I o to właśnie chodziło.

Muranowcy coś wyjęli spośród kwiatów. Ostry świst przeciął powietrze, a płatki róż rozsypały się po podłodze. Ochroniarze się zachwiali, a po ich czołach popłynęła krew. I wtedy raz jeszcze gazrurki, wcześniej ukryte w bukietach, trafiły ich w głowy.

Osunęli się na ziemię. Nie stracili przytomności, ale przez kilka sekund leżeli jak bezwładne kłody. To wystarczyło, żeby dwaj pozostali Żydzi

natychmiast nad nimi kucnęli, wyciągnęli im pałki spod marynarek i skuli ich ze sobą kajdankami pochodzącymi z magazynu rewiru XII.

Dwaj inni rozglądali się po sali. Przenosili wzrok z fordanserów stojących przy oknach na Edwarda. W ich dłoniach tkwiły policyjne nagany.

– Rusz się no tylko który! – krzyknął jeden z Żydów. – A będziesz kulkę miał w gardle!

Inny spojrzał na kobiety, zbite pod ścianą w przerażoną grupkę.

– A panie idą z nami – polecił. – Szkoda by się stała, gdyby ucierpiały tak piękne damy. I tak bogate...

Fordanserzy stali nie mniej wystraszeni niż ich niedawne partnerki.

– Idziemy, siksy! – wrzasnął jeden z napastników, wywijając gazrurką. – Bo jeszcze chęćka mnie weźnie na którą! I waszą cielesność naruszę!

Kobiety nie ruszały się z miejsc.

– No dalej, kurwy! – ryknął inny muranowiec.

I wtedy nadszedł czas Popielskiego.

Jednym ruchem zza paska wyciągnął identycznego nagana jak te, które mieli dwaj napastnicy.

– Grzeczniej do tych pań – powiedział.

Jego niski, chrapliwy baryton rozległ się w całkowitej ciszy. Tak właśnie miał zabrzmieć – pewnością siebie i męską mocą.

– Co to? Western, chłopaki? Będziemy się strzelać jak rewolwerowcy na Dzikim Zachodzie?

Żydzi spojrzeli po sobie nieco skonsternowani. Dwóch do niego celowało.

– Policja Państwowa. Edward Popielski, komisarz Edward Popielski. Ze Lwowa – ciągnął spokojnie, choć ręka mu drżała. – Wiecie, co będzie, jak mnie zabijecie albo zranicie? Nie wiecie... To ja wam powiem co. Przerazicie się bardziej niż karakony w waszych norach. Bo zabraknie dla was miejsca w Warszawie.

Nie musiał nic więcej mówić. Muranowcy ulotnili się z lokalu. Z ulicy doszedł pisk opon i ryk silnika – z przerywanym kaszlem, tak charakterystycznym dla fiata 508.

Po żydowskich bandytach zostały tylko zdeptane róże na podłodze.

Do tej pory wszystko potoczyło się tak, jak potoczyć się było powinno. Teraz Edwarda czekało znacznie trudniejsze zadanie – „naruszenie cielesności” Ireny Barskiej.

\* \* \*

PANIE ZAPROSIŁY SWOJEGO OBROŃCĘ do stolika i zaoferowały poczęstunek, na co Edward był oczywiście przygotowany. Jego nowe towarzyszki wieczoru nie przedstawiły mu się ze względów „najoczywistszych”, jak to ujęła Irena. Druga brunetka bliżej to wyjaśniła:

– Musi pan wiedzieć, że żadna z nas nie jest stanu całkiem wolnego.

Popielski nie bardzo rozumiał użycie przysłówka „całkiem”. Był jednak przygotowany na tajemnicze niedomówienia ze strony swych tymczasowych podopiecznych. Na wybuchy ich radości, na prośbę o dyskrecję oraz na pełne podziwu spojrzenia również.

Ta ekscytacja „mocnym mężczyzną, prawdziwym szeryfem”, jak go nazwała blondynka, musiała się jednak kiedyś skończyć, choć była podtrzymywana starannie zaplanowanymi przez Popielskiego wzmocnieniami. A to Woškowiak podszedł do ich stolika i poprosił komisarza o interwencję w sprawie nękającej go ferajny niejakiego Ślamy,

a to panna Walercia, wciąż wzbudzająca u dam niepokój swoją śliwą pod okiem, podeszła z wycinkiem z bulwarowej popołudniówki „Dobry Wieczór! Kurjer Czerwony”. Udając zawstydzoną, poprosiła policjanta o złożenie autografu pod przedstawiającym go zdjęciem.

Woškowiakowi obiecał zająć się sprawą Ślamy, a barmance napisał: „Pozdrowienia najmiłsze dla panny Walerki” – pod artykułem opisującym rozwiązana przez niego słynną sprawę seryjnego mordercy, zwanego Hebraistą, grasującego we Lwowie sześć lat wcześniej<sup>41</sup>.

Kiedy wykonywał tę ostatnią czynność, a panna Walercia, stojąc przy stole, wdzięczyła się do niego, w jego głowie pojawiła się nagła myśl, że może przesadził. A co, jeśli któraś z pań zada sobie pytanie o niezwykle wręcz zbieg okoliczności: oto prosta dziewczyna z przedmieścia, w której piśmienność można by wątpić, nie wiadomo dlaczego zbiera prasowe wycinki o zbrodniach i morderstwach, i oto akurat wśród nich znajduje się artykuł o bohaterze dzisiejszego wieczoru!

Jego wątpliwości byłyby zapewne uzasadnione, gdyby nie ogromny entuzjizm, jaki na widok artykułu okazały damy – mocno już podpite, bo Edward co chwila kiwał na jednego z opłaconych przez siebie fordanserów, by ten nalewał „bimbru” do szklanek.

Krzyczały jedna przez drugą, każda chciała przeczytać ów tekst i Popielski był już prawdziwie zaniepokojony, czy ocaleje ta pamiątka, którą przywiózł ze Lwowa, planując takie, a nie inne posunięcie. Ocalała i wróciła w posiadanie panny Walerci – przybrudzona nieco paluszkami dam, zatłuszczonymi od salcesonu.

Edward na pytania i okrzyki kobiet, indagujących go o sprawę Hebraisty, odpowiadał lakonicznie i spokojnie głosem, któremu starał się nadać jeszcze głębsze basowe brzmienie.

Kiedy już podniecenie opadło i urwał się temat „genialnego śledczego”, kobiety zaczęły podśpiewywać i zdradzać najwyraźniej ochotę do dalszych piasów przy podmiejskich balladach. Trzej fordanserzy ruszyli od swych stolików.

Jeden z nich trzasnął obcasami przed panią Barską.

– Nie. – Popielski wyrósł przed nim jak góra. – To mój taniec, prawda, łaskawa pani?

Spojrzał na Irenę. Uśmiechnęła się lekko, a fordanser – zgodnie z wcześniejszą umową – oddalił się pośpiesznie.

– Ten mały. – Wskazała na tancerza. – Boi się zdrzeć z mocnym mężczyzną, prawda? No to jakże ja miałabym się nie bać i panu odmówić?

Popielski podał jej ramię i wydał z siebie krótki, jakby zwierzęcy pomruk, który miał zabrzmieć jako potwierdzenie jej słów.

Tylko on sam wiedział, że był to odgłos bezradności – wydał dźwięk nieartykułowany, bo nie wiedział, jak dowcipnie odpowiedzieć na jej *dictum*.

Ten zwykle pewny siebie mężczyzna tracił pewność w dwóch sytuacjach, które były zresztą ze sobą często sprzężone – w tańcu oraz w dowcipnej konwersacji, której celem było uwiedzenie kobiety. Do tej pory cel ten w ostatnich latach udało mu się osiągnąć zaledwie dwa czy trzy razy, jak choćby w czasie swej ubiegłorocznej wrocławskiej misji<sup>42</sup>. Jego liczne cielesne kontakty z płcią piękną były *de facto* transakcją ze sprzedajnymi kobietami, z którymi oddawał się wyczerpującym uciechom w kolejowej salonce. On im płacił, one robiły to, co umiały najlepiej. Rozmawiać z nimi i uwodzić ich nie było trzeba.

Taniec nie należał do mocnych stron Edwarda, toteż już po kilku chwilach zdał sobie sprawę, że Irena – po jego koślawych ruchach –

zapewne tęskni za gibkim ciałem fordansera. Nie pomogło mu to w utrzymaniu rytmu.

Poczuł, że jego misja może zakończyć się fiaskiem. To przekonanie dodatkowo go skrępowało. Głowa pokryła się potem, podobnie jak całe ciało. W tej zadymionej mordowni panowała dławiąca duchota i nieznośne gorąco.

„Moje lepkie dłonie na jej skórze – katował się w duchu. – Jakąż odrazę muszą w niej budzić”.

Jego wcześniejsza myśl: „Zaczyna się dobrze, będzie dziś moja”, była przekonaniem pyszałka, żenującym myśleniem życzeniowym.

\* \* \*

GDYBY NIE WÓDKA, udana imitacja bimbru, wieczór ten nie należałby do udanych. Po pierwszym tańcu z Ireną i po jeszcze jednym – już zupełnie dla Popielskiego katastrofalnym – orkiestra zrobiła sobie przerwę.

Edward poczuł się znacznie lepiej. Oto nastąpił chwilowy koniec przeklętych tańców, a o dalszą konwersację przy stoliku nie musiał się martwić, gdyż panie były na tyle wstawione, że podtrzymywały ją nader ochoczo, przekrzykując się wzajemnie. Mógł milczeć, uśmiechając się tajemniczo, a milczący silny mężczyzna, za jakiego pragnął uchodzić w ich oczach, zawsze budzi zainteresowanie płci pięknej. Mrugnął do upatrzonego fordansera, a ten napełnił szklanki.

Niestety, rozmowa poszła w złym kierunku. Edward stał się bowiem przedmiotem kpin. W zwykłych okolicznościach potraktowałyby je jako niewinne igraszki, ale tutaj owe docinki stawiały go w złym świetle – nie był już herosem, ale maskotką, obiektem żartów. Szczytem tych docinków były komentarze – wygłaszane wśród wybuchów perlistego śmiechu – na temat jego łysiny.

Potem zrobiło się jeszcze gorzej. Panie albo wyciągały do niego ręce z prośbą, by je zakuł w kajdanki, albo udawały, że do niego strzelają. Żądały przy tym, aby pokazał im swój rewolwer. Posłuchał tej prośby, oczywiście wyjąwszy z bębenka kule.

I tak ta zabawa trwała do północy. Wódka, tańce, wybuchy śmiechu pijanych dam i Popielski – coraz bardziej usztywniony wśród tych swawoli. Rozmowy kobiet wyraźnie wskazywały na to, że są zamężne, a opowieści platynowej blondynki – nawet na jej arystokratyczny status. Zwracały się do siebie pieszczotliwymi zdrobnieniami: Munia, Pysia i Renia.

Edward zacisnął zęby ze złości i wszedł w tę konwencję psot oraz podszytych erotyzmem facecji. Zrzuciwszy w końcu przepoconą marynarkę, gestem rewolwerowca wyciągał z za pasa nagana, mierzył do kobiet, chowających się pod stołem z radosnymi piskami, i sam tam się chował. Gdy i to im spowszedniało, nabłyszczył lekko olejem swoją łysinę, by damy, piszcząc z radości, mogły go po niej klepać lub przeglądać się w niej, jakby była lustrem, choć *de facto* niczego nie odbijała poza blaskiem lamp naftowych wiszących na ścianach.

Czuł, jak z minuty na minutę rośnie w nim złość. Mimo że starał się, jak tylko mógł, bawić wesołe mężatki, goryczą napełniała go świadomość, że nie spełnia swego zadania. Nie mógł ani razu pochylić się ku Barskiej, by jej powiedzieć jakiś komplement, aby delikatnie zasugerować, że na jej punkcie ogarnia go niepowstrzymane szaleństwo. Wszystkie kobiety tworzyły swym szampańskim nastrojem i ciągłym wzajemnym przekomarzaniem, jakby ogniową zasłonę, spoza której trudno było wyłuskać Irenę.

Około jedenastej blondynka Munia, którego to zdrobnienia podobnie jak Pysi Edward nijak nie potrafił zidentyfikować – Renię dopasował do Ireny – zawołała akordeonistę do stolika. Jako ostatniego tańca dzisiejszego



wieczoru zażądała białego tanga. Wstała i ukłoniła się „bohaterskiemu obrońcy”.

Nie mógł jej odmówić. Objął ją, patrząc z żalem, jak Irena prosi do tańca jednego z kawalerzystów przebranych za warszawskich gawroszów.

Orkiestra zagrała *Bandyckie tango*, a kobieta przytuliła się do Edwarda i dyszała mu na ucho coś, czego nie mógł zrozumieć.

Zdawał sobie oczywiście sprawę, że Munia jest już teraz łatwą zdobyczą, a jego mocno ożywiony alkoholem organizm mówił mu, że noc w hrabiowskiej alkwie nie byłaby złym zwieńczeniem wieczoru.

Resztki rozsądku podpowiadały mu jednak, że to nie arystokratka jest dziś jego celem, a ten właściwy wygląda na bardzo trudny do zdobycia. Pozostawało mu jedno: działanie konsekwentne i cierpliwe.

Po ostatnim tańcu, w czasie którego Edward nie reagował na awanse swej partnerki – prawdę mówiąc, nawet nie słyszał jej słów w tym hałasie – Munia się nadąsała i wyszła wściekła z knajpy, rzuciwszy panu Wincentemu zwitek banknotów.

Goryle, którym potężny przecinak i młotek w rękach oberżysty już dawno przywróciły wolność, rozdzielili się. Jeden pobiegł za zdenerwowaną Munią, drugi ukłonił się jej koleżankom, wskazując drzwi.

Obie damy wyciągnęły w kierunku Popielskiego dłonie w szykownych jedwabnych rękawiczkach, których nie używały w czasie swej bytności w lokalu.

Popielski najpierw ucałował dłoń Pysi, a potem pochylił się nad dłonią Ireny.

Pani Barska lekko wyswobodziła rękę z jego uścisku. Powolnym ruchem zsunęła rękawiczkę i dopiero teraz podała mu dłoń.

Obie kobiety wyszły, na zewnątrz dał się słyszeć trzask bata i stukot końskich kopyt po kocich łbach ulicy. Długo jeszcze nie milkły ich śmiechy

i pokrzykiwania.

Edward ciężko usiadł i otarł pot z czoła. Fordanserzy palili i czekali na dalsze rozkazy, muzycy pakowali swe instrumenty do futerałów.

Panna Walercia, ścierając szynkwasa, patrzyła na niego znacząco. W tej atmosferze erotyzmu pięćdziesięcioletniemu Popielskiemu przyszła do głowy myśl, że może ta niespełna dwudziestoletnia dziewczyna ma na niego ochotę.

Ale tak nie było. Barmanka patrzyła na rękawiczkę, która leżała na stole. Ujął ją i powąchał jedwab nasączony perfumami.

– Kopciuszek zgubił pantofelek? – uśmiechnęła się dziewczyna.

– Może nie wszystko stracone? – powiedział ni to do siebie, ni to do niej.

– Stracone? – zdumiała się Walerka. – Co też pan mówi! Toż to u Kopciuszka był początek wielkiej miłości!

„Ale żaden ze mnie książe” – pomyślał Edward.

---

<sup>38</sup> Okoliczności (czasy) się zmieniają i my się zmieniamy wraz z nimi (łac.).

<sup>39</sup> Zob. M. Krajewski, *Miasto szpiegów*.

<sup>40</sup> Pod przysięgą (żarg.).

<sup>41</sup> Zob. M. Krajewski, *Liczby Charona*.

<sup>42</sup> Zob. M. Krajewski, *Czas zdrajców*.

## ROZDZIAŁ IX NIEUDANE WAGARY

---

JESZCZE TEJ SAMEJ NOCY POPIELSKI wyrwał ze snu Jana Żebrowskiego i nakazał mu następnego dnia około południa dostarczyć sobie śniadanie, kilka cytryn, dwa syfony wody sodowej oraz adres i numer telefonu państwa Barskich. Zostawił mu też swoją marynarkę z prośbą o jak najrychlejsze oddanie komuś, kto by ją oczyścił – z plam po napojach na klapach oraz po potnych zaciekach pod pachami.

W swej kwaterze znalazł się około pierwszej w nocy. Był zbyt zmęczony tańcem, bardzo wysuszony od papierosów i mocno ociężały od wódki. Spać mu się jednak nie chciało – o tej porze było przynajmniej o pięć godzin za wcześnie na sen.

Postanowił przygotować się do gry pod tytułem „Zagubiony na balu pantofelek”. Usiadł przy biurku i rozłożył przed sobą kartkę papieru. W dłoń ujął swoje ulubione wieczne pióro marki Waterman.

Natychmiast się okazało, że trudno mu będzie spełnić narzucone sobie teraz obowiązki. Na snucie planów i rozważanie różnych możliwości nie pozwalał mu bowiem stan umysłu. Zamiast przewidywać trudności w działaniu i wynajdywać na nie remedia – wciąż przed oczami pojawiał mu się obraz roześmianej Ireny Barskiej.

Wspomnienie jej błyszczących oczu, dotyk jej lekko wilgotnej skóry, kołysanie jej dużych piersi, a w końcu natężenie jej dobrze wyczuwalnych mięśni wciąż rozpały mu lędźwie.

Wilhelm Zaremba mawiał, że herbata powinna być jak kobieta – słaba i słodka. Edward zgadzał się z przyjacielem tylko co do tej drugiej cechy –

i to zarówno w odniesieniu do kobiety, jak i do herbaty. Uwielbiał silne niewieście ciała, to napięcie mięśni – zwłaszcza wtedy, gdy w chwilach największej słodyczy zgodnie współdziałały z jego muskułami.

A tak mogło być właśnie w zespoleniu z Ireną. Czuł w tańcu, że jako nowoczesna kobieta jest dobrze wyćwiczoną sportsmenką – zapewne taterniczką, pływaczką lub tenisistką.

Chcąc stłumić silne podniecenie, napuścił zimnej wody do zatkanej korkiem umywalki w łazience. Najpierw chciał zanurzyć w niej tylko swój powiększony organ, mącący mu teraz myśli, lecz po chwili uznał, że cały powinien się umyć. Napuścił chłodnej wody do wanny i zamoczył się w niej cały.

Młodzieńcza niemal ekscytacja natychmiast ustąpiła.

Potem zabrał się do dalszych czynności higienicznych.

Głowę i twarz golił świeżo naostrzoną brzytwą bardzo powoli – zdawał sobie sprawę, że po tych alkoholowych i tanecznych hulankach ręka mu drży i może dojść do skaleczenia. Tak zresztą się stało, ale na szczęście tylko w jednym miejscu – na podbródku.

Edward miał jeszcze dwie koszule do wyprania. Były uszyte z popeliny tak szlachetnej i drogiej, że nie miał zamiaru powierzać ich pralniom warszawskim. Nie znał ich i nie miał do nich zaufania.

Wyprał zatem obie koszule w wodzie zmieszanej z mlekiem, powiesił na sznurku, obiecując sobie, iż odda je dzisiaj Żebrowskiemu do wyprasowania – sam miał w tej dziedzinie umiejętności żenująco słabe, a cierpliwości starczało mu najwyżej na jeden rękaw. Potem nałożył na buty cienką warstwę pasty, po czym zostawił je na noc pod łóżkiem.

Po dokonaniu tych wszystkich czynności – w letnią ciepłą noc, w łazience bez okna – czuł, jak jego ciało znów spływa potem. Jeszcze raz

napełnił wannę i wykąpał się w chłodnej wodzie. Pod pachy sypnął po garści talku i o trzeciej nad ranem poszedł spać.

Obudził się grubo po dziesiątej i leżał czas jakiś w łóżku, paląc i czekając na Żebrowskiego. Za oknami słońce stało już wysoko, lecz nie miało dostępu do jego sypialni, która była położona od północy.

Męczyło go lekkie pragnienie po wczorajszym alkoholu, nie było jednak na tyle silne, by go zmusić do wstania z łóżka i do napicia się w kuchni wody z kranu.

W końcu zwłóknął się z pościeli i zaczął szykować się do wyjścia. Owe przygotowania ograniczały się do wygłancowania butów oraz obfitego naperfumowania głowy i szyi.

Żebrowski przyszedł przed dwunastą i przyniósł Popielskiemu bułkę z kotлетem mielonym, dwa nabite w pełni syfony oraz dwie cytryny. Niestety, marynarki nie udało mu się doprowadzić do ładu. Obiecał, iż wieczorem będzie gotowa.

Edward nie był zachwycony tym opóźnieniem, ale nie gniewał się na chłopaka. Podziękował mu grzecznie i odprawił bez żadnych dodatkowych poleceń.

„Najważniejsze, że przyniósł adres Barskich” – pomyślał, otwierając kopertę, jaką Żebrowski wręczył mu zaraz po przyjściu.

Dwa kwadranse później policjant stał w ogromnej bramie kamienicy przy ulicy Zgoda 12.

W kieszeni trzymał jedwabną rękawiczkę pani Ireny.

\* \* \*

PAŃSTWO BARSCY – CHOĆ CZYNNIE ZAANGAŻOWANI w ruch komunistyczny – nie mieszkali bynajmniej jak proletariusze.

Modernistyczne obrazy Mieczysława cieszyły się dużym zainteresowaniem za granicą. Na aukcjach w Wiedniu i w Pradze osiągały ceny, które pozwalały temu programowo bezdzielnemu małżeństwu prowadzić wygodne życie.

Najczęstszą tematyką olejnych płócien były kubistyczne, wykrzywione wnętrza hut i walcowni pełne gorejących pieców, gdzie wśród płomieni uśmiechały się kusząco do oglądającego nagie, potężne kobiety. Każda z nich miała jakiś defekt – a to brak nogi, a to pół spalonej twarzy, a w najlepszym razie rozlewający się ciemną ropą ogromny wrzód na łopacie.

Krytycy doszukiwali się w tych płótnach treści psychoanalitycznych, a nabywcy – najczęściej bogaci miłośnicy dekadencji – wizji końca mieszczańskiego świata niszczonego przez radosną i silną rewolucję orgii i ludowego rozpasania.

Mieczysław Barski, rozsławiony w salonach austriackich, malował rzadko i najczęściej na indywidualne, bardzo intratne zamówienie.

Nic dziwnego, że ten zamożny artysta zajmował z żoną pięciopokojowe mieszkanie w ozdobionej wieżycą wspaniałej kamienicy z windą na rogu ulic Zgoda i Sienkiewicza – na czwartym piętrze, tuż nad słynną oficyną wydawniczą Gebethnera i Wolffa.

Wszystkie pomieszczenia – oprócz pracowni artysty na mansardzie – były prawie puste, jakby gospodarze chcieli się odciąć od kołtuńskiego zatłoczenia sprzętami i mieszczańskiego zbieractwa figurek, porcelan i oleodruków.

W salonie stały dwie duże kanapy, tyleż foteli i okrągły stolik, a w jadalni tylko wielki stół i krzesła – każde zresztą w innym stylu. Na ścianach nie było obrazów, jakby żaden nie był godny konkurować z wytworami twórczej wyobraźni pana domu.

Sypialnia Barskiego pasowała do reszty – z ogromnym materacem leżącym wprost na błyszczącym dębowym parkiecie. Była surowa, pusta i nieprzyjemna. Sypialnia pani pochodziła jakby zupełnie z innej bajki – kolorowa, pełna drobiazgów i niewiarygodnie wręcz zarzucona ubraniami i fatałaszками.

Całe to mieszkanie wyglądało, jakby zostało świeżo zasiedlone. Wszędzie panowała idealna czystość – dzięki staraniom pracowitej służącej panny Konstancji, która nocowała w bezokiennej służbówce przy kuchni.

Irena Barska nie zapraszała do siebie żadnej ze swych towarzyszek zabaw U Bandyty. Raz tylko to zrobiła – oczywiście w czasie nieobecności małżonka – i nasłuchiwała się uwag krytycznych o braku mebli oraz wskazówek co do urządzenia wnętrza. Może nawet by ich posłuchiwała, gdyby nie gwałtowny upór jej męża. Mieczysław w sposób brutalny i prostacki stwierdził, że od estetycznych opinii jest w tym domu tylko jedna osoba – on sam.

Tego poranka panią Barską bolała głowa. Po gorącej kąpieli i po przyłożeniu kostek lodu do czoła poczuła się nieco lepiej. Nie na tyle jednak, aby jechać wraz z koleżankami na plażę braci Kozłowskich, co wczoraj ustaliły.

– Kociu – zawołała słabym głosem. – Niech no Kocia zatelefonuje do hrabiny du Moulin-Eckart oraz do pani dyrektorowej Doratyńskiej... I powie im, że migrena nie pozwala mi na wyjście!

Wtem rozległ się dzwonek u drzwi.

– Otwórz! – poleciła służącej zbolalym głosem.

Ponieważ jej sypialnia była ostatnim pokojem w amfiladzie, usłyszała tylko niewyraźny zgrzyt zamka oraz rozmowę, w której dominował niski męski głos.

Potem drzwi się zatrzasnęły i Konstancja wróciła do swej zmęczonej pani.

– On nie ma wizytówki – powiedziała służąca. – Ale okrutnie nastaje, że tylko panią chce widzieć...

„Pana nie ma, a tu już jakiś obcy do pani – uśmiechnęła się chytrze sama do siebie. – No ładnie, ładnie...”

– Jak wygląda ten człowiek? – zapytała Irena. – Na draba czy na pana z towarzystwa?

– Wysoki, łysy – odpowiedziała Konstancja. – I raczej na draba mi się widzi, bo nos złamany... Ale ubrany aligancko... I pachnie aż z daleka.

– Każ mu iść precz! – westchnęła Irena. – Co za czasy! Nawet w niedzielę ci domokrażcy człowiekowi spokoju nie dają. Jak dozorca mógł takiego wpuścić?

Konstancja krzyknęła donośnie przez drzwi to, co jej nakazała pani. Ta tymczasem wyszła do łazienki i zaczęła pudrować sobie pod oczami ledwo widoczne zasinienia.

Czuła, że jeszcze dziś spotka owego draba, i chciała dobrze wyglądać.

Przez otwarte drzwi łazienki usłyszała, jak służąca kręci tarczą aparatu telefonicznego.

– Ja z polecenia pani Barskiej – powiedziała Kocia do słuchawki. – Nie... Nie! Ja nie do pana hrabiego Moulin, ale do pani hrabiny. Dzień dobry, moja pani jest niedysponowana i przeprasza, że nie pójdzie dzisiaj...

Irena zamknęła łazienkę. Przez kolejny kwadrans nakładała na policzki i skronie różne regenerujące kremy, w tym polecany w radio przez samą Inę Benitę krem Lady Cazimi.

Telefon znów zadzwonił.

– Co to, piekarnia!?! – złorzeczyła Kocia, szurając kapciami po parkiecie przedpokoju. – Niedziela jest przecie! Dzwonią i dzwonią!



Odebrała.

– Tak, tak. Już proszę panią!

Irena wyszła na korytarz.

– Jakiś miły pan – szepnęła służąca. – A głos ma taki, że aż tu świdruje...

Dotknęła dłonią biustu.

„Dobrze powiedziane jak na takiego tłumoka – pomyślała o Konstancji pani Barska. – Mnie też ten jego głos wczoraj tam świdrował”.

\* \* \*

– DZIEŃ DOBRY SZANOWNEJ PANI – powiedział Popielski. – Nie oddałem rękawiczki służącej, bo chciałem panią ujrzeć...

– Ach, to pan! – zawołała pani Barska. – Oczywiście, że pamiętam pana i pańską małżonkę z Tatarowa! Oczywiście! Bridż i narty! Nie, niestety, przykro mi... Mąż na letnisku, a ja jestem trochę niedysponowana. Straszna migrena w tym upale.

Urwała. Popielski również milczał, nieco zaskoczony osobliwym wywodem.

– Najlepszy fotoplastikon w Warszawie, pyta pan? – zawołała Irena. – Ależ oczywiście! Aleja Jerozolimska, kamienica Hoserów... Kiedy tam tłok najmniejszy? O czwartej, kiedy wszyscy na plaży! Życzę państwu miłych wrażeń! Proszę pozdrowić małżonkę! Do widzenia!

Edward odłożył słuchawkę. Był w znanej już sobie rozmównicy publicznej na przystanku autobusów miejskich na rogu Brackiej i Chmielnej.

Uśmiechnął się do siebie.

Ta telefoniczna maskarada, zapewne przed służącą, mogła zapowiadać bardzo ciekawy dalszy ciąg dnia.

Zganił się jednak w duchu za nadmierny optymizm. Wczoraj też wszelkie przesłanki wskazywały na to, że nie spędzi nocy w samotności, lecz w objęciach swawolnej, jak sądził, mężatki. Tymczasem jedynymi żywymi istotami, które mu towarzyszyły, były wyjątkowo zajadłe komary. Niezależnie jednak od tego, jak potoczą się wypadki dnia dzisiejszego, musiał być na wszystko przygotowany.

Sięgnął znów po słuchawkę, wrzucił dziesięciogroszową monetę i połączył się z restauracją Riegert i Żebrowski. Młodemu synowi właściciela powiedział krótko:

– Fotograf ma od teraz być na stanowisku.

\* \* \*

EDWARD TROCHĘ SIĘ NIEPOKOIŁ. Szedł już drugi kwadrans na piątą, a Irena Barska wciąż nie nadchodziła. Może jej opowieść o fotoplastikonie była znakiem jakiejś aberracji? A może jeszcze po potańcówce w knajpie U Bandyty nie doszła do siebie i coś bredziła?

Stał przy kasie z papierosem w ustach i patrzył na szklane obrotowe drzwi, którymi do fotoplastikonu wchodziło się od strony ruchliwej Alei Jerozolimskiej.

Ubrany był nietypowo. Z powodu wciąż nie wyczyszczonej marynarki miał na sobie tylko koszulę i krawat, którego końcówkę starym wojskowym obyczajem wsunął pod koszulę pomiędzy dwa ze środkowych guzików. Nie miał też kapelusza, lecz lekki lniany kaszkiet, na którym widać było plamy potu. Do tego sportowego stroju nie mógł włożyć zwykłych butów, tylko letnie, zapinane na klamerkę. Nie lubił kaszkietów i butów ze sprzączką. Na

szczęście spodnie i koszula były w nienagannym stanie i kroju. To dodawało mu garderobianej otuchy.

Usłyszał jakiś zgrzyt na zewnątrz. Przed wejściem zatrzymała się riksza. Wyszła z niej pani Barska i stukając obcasami, weszła do fotoplastikonu. Jej policzki były zaróżowione.

„Przecież nie biegła – pomyślał Edward. – Może to od kosmetyków?”.

Stała przed nim. Za nią wciąż kręciły się drzwi pchnięte jej ręką.

Była w lekkiej, spiętej u góry broszką sukience w czerwoną kratkę, przewiązanej białym paskiem z kokardą. Na stopach miała skarpetki z czerwoną koronką i buciki zapinane na klamerkę. Gęste czarne włosy przewiązane były tylko czerwoną wstążką. Ubrała się jak młoda panienska, która wybiera się na plażę.

Podeszła do Edwarda i bez słowa powitania powiedziała:

– Niech sobie pan zbyt wiele nie wyobraża! Jestem mężatką i muszę stwarzać pozory przed wścibską służącą! Dziękuję, że przyniósł mi pan rękawiczkę. Proszę mi ją oddać i *au revoir!*<sup>43</sup>

Zabrzmiało to nieszczerze. Zrobił komiczną minę.

– Cóż mi pozostało poza wyobrażeniami i wspomnieniami... – Westchnął ciężko. – Nic mi nie wróci wczorajszego wieczoru!

Stała z wyciągniętą otwartą dłonią, czekając na rękawiczkę. Jej oblicze jakby złagodniało. Uśmiechnęła się lekko.

– Naprawdę będzie pani taka okrutna? – ciągnął. – Nic nie dostanę za tę rękawiczkę, dla której w moim mieszkaniu zrobiłem ołtarzyk?

– Chwali się panu, że ten mały szantaż dotyczy rękawiczki, a nie pańskiego bohaterskiego czynu. – Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając białe równe zęby. – Nie mówi pan: „Uratowałem panią, to proszę o nagrodę”. To dobrze o panu świadczy. No? Czegóż pan sobie życzy?

Wyjął bilety z tylnej kieszeni spodni i rozłożył je w mały wachlarzyk.

– Kilka chwil z panią w fotoplastikonie... Czy to zbyt śmiała prośba?

W odpowiedzi Irena pchnęła drzwi i weszła do środka.

– Tu nie ma nikogo? – zdziwiła się, widząc, iż nawet światła przygasły. – To, co mówiłam przez telefon, że o tej porze najmniej tu ludzi... To był tylko mój domysł...

– Pani myśli zamieniają się w rzeczywistość. Wynająłem pomieszczenie tylko dla nas. Czy nie jestem zbyt śmiały?

– *Fortes fortuna adiuvat!*<sup>44</sup> – Usiadła na stołku przypominającym barowy, lecz nie tak wysokim.

Usiadł koło niej. Przyłożyli oczy do okularów, łokcie oparli na półce biegnącej wokół cylindrycznego wyświetlacza.

Operator włączył lampy i zagrał na gramofonie cichą łagodną melodię.

Popielski milczał i nie patrzył na obrazy w obawie, aby błyski nie uruchomiły epileptycznego ataku. Wiedział, co przesuwa się przed oczami Ireny. Były to widoki egzotycznych plaż, pustynnych pejzaży i indyjskich świątyń zatopionych w gęstej roślinności. Nie brakowało słoni, lwów i tygrysów.

I wiedział też, co ona zobaczy za chwilę.

Spojrzał szybko w okular.

Tak, już się zaczęło.

Przed oczami kobiety pojawiły się sceny z mitologii greckiej. Naga Leda ze sztucznym łabędziem. Szyja ptaka wygięta lubieżnie w stronę rozchylonych ud dziewczyny.

Pstryk.

Cztery bachantki w zagajniku. Dwie leżą na trawie i obejmują się, a dwie pozostałe leżą na nie wino z amfor.

Pstryk.

Odchylona do tyłu nimfa, a pomiędzy jej udami głowa rogatego satyra.

Popielski zapłacił operatorowi fotoplastikonu za te zdjęcia. Zaryzykował. Nie wiedział, co go czeka. Awantura, krzyk, spoliczkowanie, oburzenie, wyzwiska?

Nic z tego nie nastąpiło. Irena Barska, oglądając wszeteczną mitologię, usiadła wygodnie, a jej kolana poszły nieco na boki. Przesunęła po wargach koniuszkiem języka.

Edward ukucnął koło niej na podłodze. Udawała, że tego nie widzi. Przesunął dłonią po jej buciku, skarpetce i łydce. Pod jego palcami znalazły się następnie gładkie kolano i udo.

– Gdzie? – szepnęła.

– Mokotowska 41, pensjonat. – Owionął jej ucho gorącym oddechem. – Wszystko przygotowane. Jak te fotografie tutaj...

Odsunęła się od aparatu.

– Skąd pan wie, że tam pojedę?

– *Fortes fortuna adiuvat.*

\* \* \*

FOTOGRAF LEON RUSECKI UŻYWAŁ prototypu aparatu Minox Riga, stworzonego przez bałtyckiego Niemca Waltera Zappa. Ów konstruktor po rewolucji bolszewickiej zamieszkał w Estonii i zajął się tam konstruowaniem miniaturowego aparatu fotograficznego.

Swoim projektem zainteresował w roku trzydziestym szóstym fabrykę elektrotechniczną w Rydze. Kierownictwo tych zakładów nie mogło uwierzyć, że ten najmniejszy na świecie aparat fotograficzny robi tak doskonale zdjęcia. Dyrektor na początku współpracy z Zappem posunął się wręcz do oskarżeń, że konstruktor przedstawia mu wyretuszowane

zdjęcia jako rzekomo wykonane minoksem. Liczne i wszystkie próby pokazały, iż te oskarżenia były całkiem bezpodstawne.

Zakłady elektrotechniczne w Rydze były oczywiście infiltrowane – jak wszelkie zakłady przemysłowe na terenie dawnej carskiej Pribałtyki – przez sowieckich szpiegów. Jeden z nich poprzez swoją kochankę, a jednocześnie sekretarkę dyrektora fabryki dość łatwo dotarł do pełnej dokumentacji technicznej prototypu, a nawet do niego samego. Nie mógł go jednak ukraść, gdyż naraziłoby to jego agentkę na wielkie szyskany, a mogła być ona jeszcze bardzo użyteczna.

Sfotografował zatem plany i specyfikacje właśnie minoksem, a klisze przesłał do Moskwy. Nie wiedział, że młoda kobieta pochodzi z dawnych tak zwanych Inflant Polskich i że pracuje również dla Dwójki. Sprytnie połączyła uczucie z dopływem sporej gotówki. Kochankowi plany udostępniła z miłości, Dwójce – za godziwe honorarium.

Prototyp mieścił się w dłoni, był niezawodny, a przy dłuższym czasie naświetlania robił zdjęcia nawet przy kiepskim oświetleniu. Migawka działała bezgłośnie, jedynie automatyczne przewinięcie klatki filmu wydawało dziwny, jakby syczący dźwięk.

Pan Rusecki był pewien, że będzie on wytłumiony przez odgłosy wydawane przez rozochoconych kochanków.

Nie mylił się. Siedząc z prototypem Minox Riga za zwierciadłem, które pod nazwą „lustra przejrzystego” zostało opatentowane w Ameryce trzydzieści lat wcześniej, a w innych krajach było zwane „weneckim” lub „fenickim”, nie tylko widział poczynania łysego, masywnego i muskularnego mężczyzny w średnim wieku i dużo młodszej od niego ładnej brunetki, ale doskonale słyszał ich sapanie, pochrząkiwania i okrzyki.

Kobieta przybyła kwadrans po mężczyźnie. Przewróciła go na łóżko i kiedy tak leżał oparty na łokciach, i pożerał ją wzrokiem, zaczęła podciągać sukienkę. Zrzuciła ją z siebie gwałtownym ruchem, podobnie jak biustonosz, a potem powoli zsunęła majtki z bioder.

– Leż! Nie ruszaj się! – zawołała.

Szła po łóżku, opierając się na rękach i kolanach. Miała na sobie jedynie skarpetki z czerwoną koronką i pantofle.

– Nie ruszaj się! Mówiłam! Leż i nie mów nic! Czekać na swoją amazonkę!

Zaczęła rozpinąć mu koszulę, a potem nie wytrzymała i szarpnęła materiałem. Guziki zaterkotały na podłodze.

– Ściągaj spodnie! Uwolnij go! Nie jest mu zbyt ciasno? Nie wstawaj, tylko go uwolnij, a ja zaraz go ujeżdżę!

Jej śmiech napełnił pokój radosnym uniesieniem. Mężczyzna zsunął spodnie. Kobieta sięgnęła dłonią między jego uda, a potem wygodnie się na nim rozsiadła. Chwyciła go za krawat jak za uzdę.

– No wio, koniku! – zawołała i zaczęła się szybko poruszać.

Fotograf uwieczniał na kliszy każdy ich ruch.

Popielski o tym wiedział. Ta świadomość nie była afrodyzjakiem.

Nigdy wcześniej nie był obiektem erotycznego ataku. Dotąd to zawsze on rozdawał karty w takiej grze. Tymczasem teraz stał się narzędziem, służącym zadowoleniu kobiety. To go trochę deprymowało.

Irena krzyczała na niego, kazała mu leżeć, nie ruszać się i milczeć.

To go deprymowało jeszcze bardziej.

Była pięknie zbudowana. Gdy widział przed sobą jej tańczące piersi, w jednej chwili przez głowę przeszła mu myśl, że chyba nigdy – poza swoją zmarłą żoną – nie miał tak pięknej młodej kobiety<sup>45</sup>.

A on czuł się przy niej stary i niezdarny. Myśl o żonie też nie wzbudziła u niego przyływu męskich sił.

Irena nawet się nie łudziła, że mógłby wykazać jakąś aktywność. Był do ujeżdżenia, a potem do wyrzucenia. Jak kobieca zabawka ze skóry wspomniana przez Arystofanesa w *Lizystracie*.

Takie myśli też mu nie pomogły w erotycznych figlach.

Irena zatrzymała się rozczarowana.

– Jesteś tam w dole jak rozgotowany makaron – szepnęła.

Była to najprawdziwsza prawda.

Zeszła z niego i zaczęła wciągać majtki.

– Zdradzenie męża z fajtlapą to jak picie taniego wina na szkolnych wagarach. – Roześmiała się złośliwie. – Nieudanych wagarach. Zapowiadało się wybornie, a potem bura w domu i niesmak w ustach.

Nie powiedział ani słowa. Leżał przez chwilę ze spodniami opuszczonymi do kolan – żaloszny fajtlapa.

Trzasnęły drzwi. Spoza nich dobiegły głośne kroki Ireny Barskiej zbiegającej po schodach.

Edward wstał, wciągnął spodnie i odwrócił się do okna. Fotograf po drugiej stronie lustra widział tylko jego plecy. Po dłuższej chwili Popielski spojrział mu prosto w oczy.

Jego twarz i głowa oblane były purpurą.

– No co? Udało się? – zapytał.

– Tak – odparł Rusecki zza lustra. – Ładnie pan wyjdzie w tym krawacie...

\* \* \*



NASTĘPNEGO DNIA PO SWYCH KIEPSKICH WYCZYNACH, boleśnie porównanych przez Irenę do nieudanych wagarów, Popielski rozważał wyjazd do Lwowa.

Do kolejnego terminu wyznaczonego przez „Pasożyta”, czyli do poniedziałku szóstego lipca, kiedy to z balkonu opery miał zaśpiewać Jan Kiepusa, zostało równo tydzień, a spędzenie go beczynnje w rozpalonej upałem Warszawie Edward uznał za pomysł chybiony.

Oczywiście mógł dołączyć do grupy wywiadowców Krąpińskiego, którzy tropili tych, co postraszyli Edka Sztajera, i tu, w Warszawie, wykonywać zwykłą robotę policyjną. Upał był jednak zbyt duży, aby uganiać się po ulicach za doliniarzami i potokarzami<sup>46</sup>.

Owszem, mógł próbować zrobić coś jeszcze, co zapowiadało się niezwykle kusząco – zrehabilitować się w oczach Ireny i zażyć z nią rozkoszy. Były ku temu dwie ważne przeszkody.

Po pierwsze, jak donosiła agentka Filistynka, z letniska wrócił już Mieczysław Barski, a wyciągnięcie mężatki z ramion zaborczego i zazdrosnego męża było zaiste trudem herkulesowym. Poza tym Edward miał przeczucie, że drugie ich zbliżenie nie byłoby nawet o cal lepsze od pierwszego. Gdyby chciał to ująć opisowo, powiedziałby, że o ile wcześniej na myśl o Irenie musiał gasić swoje pożądanie zimną wodą, o tyle teraz – przypominając sobie tamten niedzielny blamaż – czuł, jak cały się kurczy, a najbardziej w tym miejscu, które jego kochanka porównała do „rozgotowanego makaronu”.

Zdjęcia, które ujrzał następnego dnia na spotkaniu z pułkownikiem – tym razem w gabinecie tegoż – na szczęście mogły odegrać rolę, jaką im wyznaczył za zgodą swego tymczasowego szefa.

Wspólnie wybrano sześć fotografii. Były sugestywne, lecz jednocześnie nie pokazywały ich pudendów – a zwłaszcza jego osłabionej męskości. Na

dwóch z nich Irena szła ku Edwardowi na czworakach, na czterech pozostałych, które zresztą wzbudziły u Krapińskiego szczególną wesołość, widać było erotyczne rodeo, podczas którego amazonka z zamkniętymi oczami trzyma „konie” za krawat.

Dwie fotografie, zrobione na sam koniec schadzki, ukazywały wykrzywioną złością twarz Ireny i zastygłe w żalonym wyrazie oblicze Edwarda. Ten – wściekły – upierał się, aby dwa ostatnie zdjęcia zniszczyć.

Pułkownik nie oponował. Spalił je w popielnicy, a popiół starannie rozgniół na jej ściankach.

Potem, niejako komisyjnie, zniszczono w ten sam sposób całą kliszę fotograficzną oraz wszystkie pozostałe odbitki, poza sześcioma wybranymi, które zachowano w dwóch kompletach. Jeden z nich otrzymał „bohater pensjonatu” – takie ironiczne miano stworzył w myślach Krapiński – a drugi wylądował w sejfie pułkownika.

Popielski nie był tym zachwycony – wszak ze zdjęć można zawsze zrobić reprodukcje – ale ta niewątpliwa oznaka przezorności była kompromisem, na jaki jednak musiał pójść. Gdyby pani Barskiej udało się bowiem jakimś cudem wyrwać Popielskiemu fotografie i zniszczyć je, gdy ten będzie ją szantażował, to wówczas cała ta koronkowa akcja poszłaby na marne.

Popielski, mając owe zdjęcia w zanadrzu, chciał od razu przystąpić do akcji, na co z kolei nie zgodził się pułkownik.

– Kiedy już te ptaszki mamy w garści i wiemy, gdzie przyfruną – powiedział na koniec spotkania w Pałacu Saskim – to nic nam nie szkodzi trochę poczekać i złapać je z nowymi karteczkami. A może na koniec będziemy mieli więcej szczęścia i sam „Pasożyt” nam się objawi?

\* \* \*

Z POWODU BRAKU DALSZYCH ZAJĘĆ w Warszawie Popielski mógł zatem jechać do Lwowa. Na to jednak nie pozwoliła mu jakaś silna wewnętrzna blokada.

Wobec skrajnej niechęci, aby gdzieś w Warszawie zostawić na przechowanie zdjęcia z pensjonatu, musiałyby je zabrać ze sobą do domu. A stąd już był tylko krok do przypadkowego znalezienia ich przez Leokadię albo Hanię. Obie te niewiasty bardzo często bez jego wiedzy zajmowały się czystością garderoby. Ostatnie, czego by pragnął, to odkrycie kompletu sprośnych zdjęć w kieszeni oddawanej do czyszczenia marynarki.

Po długiej walce wewnętrznej Edward *volens nolens*<sup>47</sup> pozostał w stolicy.

Dni ciągnęły mu się nieznośnie, choć starał się zabić czas, jak tylko mógł. Ze dwa razy był na nadwiślańskiej plaży, ale uciekał stamtąd szybko przed słońcem, ledwie zamoczywszy się w wodach rzeki. Kilkakrotnie był w kinie, lecz wychodził niespokojny i znudzony przed końcem seansu. Kiedy indziej poszedłby pewnie do jakiegoś lupanaru, jednak na myśl o cielesnych uciechach wciąż czuł syndrom „rozgotowanego makaronu”.

Trochę wytchnienia dawała mu lektura gazet, telefoniczne rozmowy z Leokadią i Ritą oraz partie szachów.

Szczególnie to ostatnie zajęcie było nader ekscytujące. Reprezentanci Polski w szachach, których większość mieszkała w Warszawie, urządzali sobie nieoficjalne treningi w swej ulubionej cukierni na rogu Marszałkowskiej i Nowogrodzkiej. Popielski, jako widz, mógł tam nie tylko podziwiać maestrię takich mistrzów jak Paulin Frydman, Leon Kremer czy Mieczysław Najdorf, ale również – za stosowną opłatą pięciu złotych – mieć za przeciwnika samego Kazimierza Makarczyka, który w tymże lokalu rozgrywał partie symultaniczne.

W końcu nadszedł poniedziałek szóstego lipca, w którym to dniu cała Warszawa nie mówiła o niczym innym jak tylko o występie Jana Kiepury.

Tłumy pod operą zaczęły się zbierać już o szóstej po południu, choć światowej sławy tenor miał wystąpić o zmroku już po skończeniu *Rigoletta*, który to spektakl jednak był przewidziany w programie na ten wieczór.

Wiadomość o tej operze zirytowała Popielskiego. Wściekł się na własne niedbalstwo.

Nie sprawdził był bowiem w programie – planując całą akcję, zaufał informacji Krapieżnego – że właśnie tego dnia oprócz występu Kiepury w Teatrze Wielkim odgrywany jest jeszcze zwykły, zaplanowany na początku sezonu repertuar. To bardzo komplikowało sytuację. Barscy i Mantelmacherowie mogli przecież pójść na *Rigoletta* i tam odebrać szpiegowską przesyłkę, podczas gdy on wypatrywałby ich w ogromnym tłumie wielbicieli Kiepury – wraz z pułkownikiem, Filistynką i innymi agentami, *ad hoc* zaangażowanymi do całej akcji.

Nie szczędząc w myślach gorzkich słów pułkownikowi, który – on sam albo jakiś jego wywiadowca – przyjął, że poza balkonowym występem sławnego tenora, o czym od dawna głośno było w stolicy, nic innego na ten dzień teatr już nie przewidział, Edward pobiegł na widownię.

Zdążył na końcówkę *Rigoletta* i ku swojej uldze ujrzał, że miejsca zajmowane zwykle przez oba małżeństwa są puste.

Pokrzepiony na duchu, wyszedł na zewnątrz, pozostawiając za sobą rozentuzjasmowany tłum, który gromkimi okrzykami i oklaskami domagał się bisów. Długo nie musiał czekać – Kiepura słynął z tego, że zawsze czyni zadość takim prośbom.

Wokół Teatru Wielkiego skłębiło się tymczasem wielkie zbiegowisko. Popielski wypatrywał na równi żółtych goździków wpiętych w butonierkę oraz szukał oczami twarzy pułkownika i Filistynki. Wiedział, że w tłumie

jest sporo tajniaków, ale oni nie byłiby tajniakami, gdyby mieli jakieś znaki rozpoznawcze. Nigdzie nie widział też żadnej z czterech połówek szukanych dziś małżeństw.

O godzinie dziewiątej wszystko się zaczęło. Jan Kiepusa, już przebrany, w jasnym garniturze o czterech guzikach, wyszedł na balkon opery.

Zerwały się ogromne brawa. Jerzy Mazaraki, nowo mianowany dyrektor tej instytucji, wygłosił przez mikrofon krótkie, lecz ociekające słodyczą przemówienie na cześć „chłopaka z Sosnowca”.

Zgromadzeni ludzie mogli się dowiedzieć, że oto przed nimi wystąpi zaraz prawdziwy król tenorów i „krezus głosowy”, który świeżo powrócił z filmowego tournée po Ameryce.

Na Popielskim ten apollo niewielkie robił wrażenie. Jego sukcesy amerykańskie prasa oceniała dość kąśliwie, a jedna z gazet napisała wręcz, że pobyt Kiepusy za oceanem był „jego pierwszym i ostatnim”, a to głównie z tego powodu, że „bożyszczce” bardzo kaprysiło. Szczególnie złośliwie komentowano jego zajadłą niechęć wobec palaczy. Nie znosząc bowiem dymu tytoniowego, Kiepusa robił podobno karczemne awantury, gdy ktoś zapalił papierosa na planie filmowym. Na temat filmu *Pieśń miłości*, w którym w Ameryce wystąpił, z niechęci milczano.

– Szanowni państwo! – wołał dyrektor Mazaraki. – Właśnie minął rok od śmierci Marszałka. Mistrz przeznacza w całości dzisiejsze swe honorarium na cel szlachetny, na pomnik Józefa Piłsudskiego!

Ludzie krzyczeli, a Edward, przepychając się pomiędzy nimi, zaglądał im w twarze.

I nagle ujrzał czerwoną wstążkę w czarnych włosach kobiety. A obok niej potężnego mężczyznę ze wzburzoną gęstą fryzurą w wygniecionym jasnym garniturze.

Przystanął. Oddzielały go od Barskich cztery osoby. Ktoś dotknął jego dłoni. Nie odwracał się.

– Ma goździk w butonierce – usłyszał głos Filistynki. – Druga para też jest. Mamy ich na oku.

Kiwnął głową. Szczupła kobieta precyzyjnie się obok niego i stanęła tuż za Ireną Barską.

Tymczasem Jan Kiepura – bez śladów zmęczenia, choć od kilku godzin nadwerężał swój głos i całe ciało – zaczął bawić żartami swych wielbicieli.

– Chcecie państwo, żebym zaśpiewał? – wołał do siatkowego mikrofonu.

– Taaak!!! – odpowiadał mu falujący tłum.

– Ale nie mam głosu! Nie zabrałem ze sobą!

Śmiech toczył się teraz po tysiącach ludzi jak burzowy huk.

No i wtedy wszystko się zaczęło.

Kiepura śpiewał niezmordowanie, przerywając swój artystyczny występ dywagacjami politycznymi.

Po zaśpiewaniu *Ninon*, *ach uśmiechnij się!* wołał, że w Polsce są przy sterze ludzie, „którzy kraj wyprowadzą z głębokiej toni”.

Szeroko pojęta tematyka wodna skłoniła znakomitego śpiewaka nie tylko do zaprezentowania barkaroli *Ach, zejdź do gondoli, kochanko ma!*, ale również do ostrych deklaracji, że „nigdy nie oddamy Gdańska”.

Po takiej przeplatance polityczno-artystycznej o pierwszej w nocy tenor zaśpiewał – a wraz z nim wszyscy wokół – polski hymn narodowy. Entuzjazmowi powszechnemu uległ i sam Popielski, który śpiewał ze wszystkimi.

Ludzie cieszyli się, padali sobie w objęcia, głośno komentowali wielki talent i patriotyczną postawę mistrza.

Byli jednak tutaj funkcjonariusze policji i kontrwywiadu, którym przyświecał zupełnie inny cel.

Kiedy już umilkły ostatnie takty *Mazurka Dąbrowskiego*, Adolf Mantelmacher i jego żona Dwojra zostali otoczeni przez czterech agentów. Ich koledzy – w tej samej liczbie – zajęli się Mieczysławem Barskim i jego żoną Ireną. Obaj panowie nie mieli już goździków w butonierkach.

Na oczach zdziwionego tłumu mężczyzn przeszukano na miejscu, pod teatrem. W kieszeni marynarki Barskiego znaleziono kartkę z szyfrogramem D471. Komuś o nazwisku lub kryptonimie zaczynającym się na literę D i zapisanym na liście sowieckich tajnych służb na czterysta siedemdziesiątej pierwszej pozycji ocalono życie.

Całą czwórkę odstawiono pod eskortą na pobliski komisariat przy Daniłowiczowskiej. Tam postawna i groźna funkcjonariuszka przeszukała dokładnie obie panie, zaglądając nawet w ich miejsca intymne.

Dwojra Mantelmacher została następnie przewieziona do komisariatu IV przy ulicy Niskiej jako do właściwego dla jej miejsca zamieszkania.

Irena Barska natomiast została wypuszczona bez postawienia zarzutów.

Kiedy wyszła z budynku policji, ujrzała Popielskiego, który stał pod latarnią.

– Jest pani bardzo fotogeniczna – powiedział.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął jedno ze zdjęć i pokazał jej z daleka.

– Powabna amazonka, nie powiem!

Irena podparła się pod boki. Wyglądała teraz jak harda uliczna dziewczucha, która się odszczekuje alfonsowi.

– Patrz na to, biedaczyno, bo może chociaż w ten sposób postawisz go na baczność!

Zaśmiała się złośliwie, a on poczuł gorycz wypełniającą mu usta. Znów twarz i głowę zalało mu ciepło.

– Zrobi pani wszystko, co zechcę – wychrypiał. – Bo w przeciwnym razie to pan Barski będzie się przy tych zdjęciach branzłował.

Uśmiechnęła się szczerze i tupnęła nogą.

– Nie takie rzeczy on widział i nie przy takich się branzłował! Myśli pan, że mało mamy różnych zdjęć w naszej alkwie? Ja z innymi kobietami... On z innymi kobietami. Oglądamy to sobie czasami dla podniesienia temperatury. *Au revoir*, miękki staruszk!

Kiedy umilkł stukot jej bucików, Edward oparł się o latarnię. Po pociemniałej skórze jego głowy płynęły strumyczki potu.

Nie wziął pod uwagę, że państwo Barscy są bardzo nowoczesnym małżeństwem.

---

<sup>43</sup> Do widzenia (fr.).

<sup>44</sup> Śmiałym szczęście sprzyja (łac.).

<sup>45</sup> Popielski przesadza w swym uniesieniu, już miał do czynienia z równie piękną kobietą – zob. M. Krajewski, *Liczby Charona* (przyp. aut.).

<sup>46</sup> Złodziejami kradnącymi z wozów jakieś dobra i uciekającymi z nimi na oczach okradzionej ofiary (żarg.).

<sup>47</sup> Chcąc nie chcąc (łac.).



## ROZDZIAŁ X PARALIŻ

---

EDWARD POPIELSKI ŁATWO SIĘ NIE PODDAWAŁ, a na pewno do kapitulacji nie zmusiłaby go opinia Ireny Barskiej, choćby wiele przemawiało za tym, że w tym małżeństwie swoboda obyczajów i przyzwolenie na ekscesy są ogromne.

Po tym, jak już przetrawił kąśliwe określenia „biedaczyna” i „miękki staruszek”, a emocje całkiem wygasły, zaczął intensywnie myśleć. Analizował ostatnią wypowiedź Ireny na temat swawoli, jaka bywa uwieczniana na fotografiach ukrytych w ich małżeńskiej alkwie.

„Jeśli to taka wyuzdana i nowoczesna para – zastanawiał się – to dlaczego ten mąż taki zazdrosny? Przecież mi powiedziała, że jej mąż używa do walenia konia zdjęć pornograficznych ze swoją żoną w roli głównej... I co? Scena porno ze mną to już nie wzbudzi jego zazdrości? Coś mi tu nie gra!”

Postanowił to sprawdzić. Natychmiast. Gwizdnął na dorożkę.

Kwadrans później dozorcę kamienicy przy ulicy Zgoda 12, drzemiącego w swej stróżówce, obudził ostry dźwięk elektrycznego dzwonka.

Zaspanemu stróżowi zamiast pięćdziesięciogroszówki, bo taka była ustalona taryfa opłat dla lokatorów wracających do kamienicy po jedenastej wieczór, Popielski pokazał swoją legitymację policyjną.

Nie jechał windą. Biegł po schodach, pokonując naraz po dwa stopnie pokryte bordowym chodnikiem.

Długo dzwonił do drzwi mieszkania Barskich. Nikt nie otwierał. Nie ustępował. Zaczął walić w drzwi pięścią.

Wtedy drzwi otworzyła zapłakana służąca. Edward, mając złe przeczucia, odepchnął ją gwałtownie.

Wbiegł do salonu.

Na środku pomieszczenia siedziała Irena Barska. Na jej twarz opadały włosy. Kiwała się w tył i w przód.

Podszedł do niej i delikatnie odsłonił jej policzki. Były mokre. Od łez.

Już wiedział, że blefowała, gdy nonszalancko zapewniała go, że jej mąż lekko potraktuje ich zdjęcia z mokotowskiego pensjonatu.

Usiadł na jednym z foteli. Patrzyła na niego przez łyzy – pełna obaw, wyczekiwania i nadziei.

„Być może w jej głowie – Popielski postawił taką hipotezę – tłucze się myśl, że teraz pojawiły się lepsze okoliczności, by uczynić zadość starszemu panu, a ten później zostanie owinięty wokół jej paluszka?”

Ale starszy pan miał teraz zgola nieerotyczne plany. Wyjął zdjęcia z wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Czas przyrzeć się tym fotografiom uważnie – mruknął. – I porozmawiać szczerze, Ireno. Nie o rozgotowanym makaronie, lecz o kleszczach, w których teraz mocno cię trzymam.

\* \* \*

W MOSKWIE – PODOBNIIE JAK W WARSZAWIE – panował pałący skwar. Więźniowie Łubianki, upchani w wieloosobowych celach, przewracali się na śmierdzących, przepoconych siennikach, wyciskali wszy i modlili się o zmianę pogody.

Męczyła ona również przesłuchujących ich oprawców oraz strażników więziennych, którzy dusili się w ciasno zapiętych pod szyję mundurach.

Podobnie ubrany był komisarz korpusu Artur Christianowicz Artuzow, szef Wydziału Zagranicznego Głównego Zarządu Bezpieczeństwa Państwowego, podlegającego NKWD.

W te upalne dni nie mógł się doczekać, aż nadejdzie wieczór. Wtedy – gdy już mógł pracować w samotności – rozpiął mundur i wietrzył gabinet na najwyższym piętrze gmachu przy placu Łubiańskim. Kiedy temperatura opadała i nikt nie zawracał mu głowy, analizował w spokoju szczególnie skomplikowane zdarzenia z frontu wywiadowczego. Niekiedy dla zebrania myśli potrzebował spaceru pod gwiazdami na dachu, który, otoczony wysokim murem, był za dnia spacerniakiem dla więźniów.

Tej nocy z ósmego na dziewiątego lipca postanowił nie tyle zebrać myśli, ile podzielić się nimi z Ottonem Ottowiczem Szejnbriukiem, swoim bezpośrednim podwładnym, odpowiedzialnym za działania wywiadowcze na froncie zachodnim, przede wszystkim przeciwko Polsce.

Obaj oficerowie zupełnie nie odpowiadali stereotypowi sowieckiego politruka – pijanego niechlujka z nalaną mordą i małymi przebiegłymi oczkami. Ich mundury, choć rozpięte, były czyste i starannie wyprasowane. Na ich twarzach odmalowywały się łagodność i inteligencja, cechujące wielu ludzi dobrze wykształconych. Artuzow – jego właściwe nazwisko brzmiało Frautschi – był inżynierem i absolwentem znakomitego carskiego gimnazjum klasycznego, a Szejnbriuk swe wykształcenie i pierwsze wojskowe szlify zdobywał w elitarnym cesarsko-królewskim korpusie kadetów. Pierwszy był synem szwajcarskiego serowara Christiana Frautschiego, który w Rosji robił interesy, drugi pochodził z niemieckiej rodziny Steinbrücków od pokoleń mieszkającej w Siedmiogrodzie.

Nic zatem dziwnego, że przechadzając się po dachu, rozmawiali w swoim ojczystym języku – po niemiecku.

– Przeczytałem twój dzisiejszy raport, Ottonie – rzekł Artuzow. – Powiedz mi szczerze, tak w zaufaniu... Co ty wyczuwasz w tej całej sprawie? Czy intuicja ci podpowiada, że nasza warszawska „Pszczoła” utraciła już swe żądło?

Sztejn briuk myślał przez chwilę nad odpowiedzią.

– Czuję, że tak się stało. Wyczuwam tu jakąś akcję polskiej Dwójki. Dwaj łącznicy, ideowi komuniści, zostali aresztowani. Jeden był nieistotny, to tylko figurant dla zmylenia przeciwnika, nigdy nie dostawał przesylek do przekazania... Robił to drugi. I ten może coś więcej wiedzieć o tym warszawskim zamieszaniu i spowolnieniu działań „Pszczoły”... – Zaczerpnął tchu. – „Pszczoła” to nie jest agent wieloletni. Miał działać przez kilka miesięcy i podać nam dziesięć nazwisk. A potem mógł zamilknąć, prawda? Stąd ten pseudonim, tak? Jak prawdziwa pszczoła, co to użądli i zdechnie.

– Tak. Właśnie tak. Taki sobie wybrał kryptonim. Przystaliśmy na jego warunki. To zbyt cenny agent, aby się z nim targować. A jego warunki były, że... Że tylko do końca lipca nam przysyła dziesięć identyfikacji zdrajców. I to takich nie do odwrócenia, tylko do likwidacji. Zapiekłych naszych wrogów. A my za to ocalimy i puścimy wolno kilkoro jego krewnych. W tym jego brata...

Artuzow zatrzymał się, zadarł głowę i spojrzał na zamglony księżyc.

– No i co, Ottonie? To już naprawdę koniec? Nie możesz wysłać agentowi „Obłokowi” zdjęcia brata, aby ten pokazał je „Pszczołom”? Może go to przekona? A „Obłok” mu powie: zobacz, twój brat cały i zdrowy. Chcesz, aby dalej taki był? To pracuj dla nas!

Sztejn briuk milczał przez chwilę i wsłuchiwał się w podziemny pomruk metra, którego stację niedawno oddano tu do użytku. Już sam nie był

niczego pewien, zwłaszcza tego, czy Griapinski, agent o kryptonimie „Obłok”, nie jest zdrajcą.

– Myślałem o tym. Ale najpierw muszę sprawdzić, co się dzieje w Warszawie. Innymi słowy, muszę wiedzieć, czy Dwójka nie schwytała „Pszczoły” i nas teraz nie dezinformuje. Albo czy nie zablokowała w inny sposób jego działań... – Odetchnął. – I dopiero wtedy mogę go przycisnąć zdjęciem brata. A wtedy, Arturze, zapewniam cię, że pszczoła zamieni się w szerszenia! A ten, jak wiesz, nie zdycha po użądleniu.

Artuzow wziął go pod ramię. Ruszyli wolno noga za nogą.

– Jak chcesz sprawdzić, co się dzieje w Warszawie?

Sztejn briuk wskazał palcem na powierzchnię dachu.

– Mamy tutaj, bardzo głęboko, pewnego człowieka, którego podejrzewamy, że jest odwróconym przez Dwójkę agentem. Maksym Naumiak.

– Wiem, wymieniliśmy go za jakieś dwie płotki, co do których wmówiliśmy Polakom, że są rekinami. No i co z tym Naumiakiem?

– On zna jak nikt polskie warunki. Pracował we Lwowie, gdzie infiltrował Ukraińców. A wcześniej na Wołyniu razem z towarzyszem Zaran-Zaranowskim. Zasłynął tam ze zdecydowania w działaniu, które Polacy z dużą przesadą nazywali sadyzmem.

Roześmiał się głośno. Artuzow mu nie zawtórował.

– No i co dalej? – W jego głosie pojawiła się nuta niecierpliwości.

– Poślę owego Naumiaka do Warszawy – rzekł Sztejn briuk bardzo cicho, choć oprócz nich i strażników w budkach w rogach spacerniaka nikogo tu nie było – aby oczyścić przedpole. Tam działa niejaki Popielski, niebezpieczny człowiek, być może odpowiedzialny za milczenie „Pszczoły”. Popielskiego Naumiak zna z czasów wołyńskich i może wykorzystać jego słabe strony. Myślałem o tym od dawna, nawet poleciłem

wyleczyć mu rany i na razie ostro go nie przesłuchiwać. Co o tym sądzisz, Arturze?

Artuzow kiwnął głową.

– Dobrze – mruknął. – I niech pokaże tym Polakom, że potrafimy reagować, gdy nam się depcze po odciskach...

– To znaczy?

Artuzow zatrzymał się i spojrzał w oczy Sztejnabriukowi.

– Po sprawdzeniu, co się dzieje z „Pszczołą”, niech ten twój Naumiak pozostawi za sobą kilka trupów. Ty już najlepiej wiesz jakich...

\* \* \*

IRENA BARSKA OPIERAŁA DŁONIE na brzegu wielkiego stołu i co chwila nerwowo zaciskała palce. Ten mebel oddzielał ją od męża Mieczysława.

Patrzył na nią uważnie wzrokiem, jakiego nie lubiła – pełnym miłości, a jednocześnie nieufnym. Nieogolony i jeszcze bardziej rozczochrany niż zwykle pasował do tego brudnego pokoju więziennych widzeń, pokrytego do połowy brązowo-żółtą lamperią, porysowaną i popisaną przez więźniów, którzy nawet pazurami – wobec braku innych ostrych narzędzi – chcieli na ścianach wyryć swoje troski i tęsknoty.

W niskim pokoju na siódmym, ostatnim, piętrze Więzienia Śledczego przy Daniłowiczowskiej było bardzo gorąco. Kiedy Mieczysław, zakuty w kajdanki, rzucał na podłogę niedopałek, zauważyła, że pod jego pachami rozlewały się plamy potu.

– Nie wierzę w to, co słyszę – powiedział po francusku. – Naprawdę nie wierzę, że to powiedziałaś.

Siedzący w kącie strażnik zdawał się drzemać. To, że języka Stendhala używano jako tajnego przestępczego żargonu, co było jaskrawo sprzeczne

z regulaminem, puszczał mimo uszu. Barski mu godziwie zapłacił za tę obojętność.

Nikt z małżonków nie wiedział jednak, że strażnik już przed tą korupcją został wyraźnie poinformowany przez zwierzchników, aby nie reagował podczas spotkania małżonków na takie drobiazgi jak operowanie szyfrem.

– Dolek mnie o to prosił... – bąknęła.

– Wypuścili go?

– Tak – nad górną wargą Ireny pojawiły się kropelki potu. – Nie znaleźli nic przy nim i go wypuścili.

Potrząsnęła włosami, jakby chciała mu pokazać, że wtręty o losach Mantelmachera są teraz nieistotne wobec szali, na której leży przyszłość Barskiego i ich małżeństwa.

– Posłuchaj mnie, Mieciu! Adolf mnie błagał, nie tylko prosił. Jesteś, według niego, zbyt cenny i nie możesz zgnić tu, w więzieniu. Podpisz to, o co cię prosi ten łysy! A wtedy stąd wyjdiesz.

Mówiła tak szybko, że mąż jej przerwał po polsku.

– Mów wolniej, kobieto! Bo nic nie rozumiem...

Irena spojrzała na strażnika. Ten zamknął oczy na znak, że całkiem się odcina od sytuacji w pokoju widzeń.

– Podpisz to, Mieciu – szepnęła. – Dolek o to błaga. To zwykły świstek papieru. Wyjdiesz na wolność i będziemy dalej w spokoju żyli. Ten paperek nie będzie cię do niczego zobowiązywał. – Znów przeszła na francuski. Tym razem mówiła bardzo powoli. – Nie będziesz żadnym agentem łysego – uśmiechnęła się. – Co on ci robi, jeśli mu po prostu powiesz, aby szedł precz? Że nie masz zamiaru współpracować i wydawać im towarzyszy. Powiesz tak i co on ci zrobi?

– To samo co teraz – odparł po polsku. – Jak mu odmówię, wsadzi mnie do ciupy!

Irena gwałtownie pochyliła się ku mężowi. Teraz już czoło miała skroplone.

– *Mais non!*<sup>48</sup> – rzekła dobitnie. – Będiesz mu odmawiał kilkakrotnie i minie trochę czasu. Karteczka z wiadomością będzie leżeć w magazynie dowodów rzeczowych. I pewnego dnia po prostu zniknie. Dolek ma tam kogoś z naszych towarzyszy i on się już o to postara. Nic wtedy nie będą mieli przeciwko tobie. Musisz to podpisać, Mieciu! A potem wszystko będzie dobrze. I nikt ci nic nie zrobi. Ani ci, ani tamci... Będziesz malował i będziemy żyli w naszym pięknym mieszkaniu. Latem Jastarnia, zimą Tatarów... A polityka niech nas omija parabolą!

Pogłaskała go po dłoni i uśmiechnęła się słodko.

– Zawsze ta sama – skrzywił się. – Baba, która niczego nie rozumie. Nie ma pojęcia o nieuniknioności dziejów, o materializmie historycznym, o walce klas! – Podniósł głos. – O niczym! Durna baba! – krzyknął. – Tylko własne smrodliwe ciepełko! Spójrz za okno! I zobacz to piekło! Tych ludzi nieszczęśliwych, za których oddałbym życie!

Strażnik nie mógł już udawać, że nie słyszy.

– Ciszej mi tu być! – ryknął. – Bo do celi wrócisz i tyli swoją lalę zobaczysz!

Barski skulił się i uniósł dłoń w uspokajającym geście.

– Dobrze, już dobrze! – rzekł koncyliacyjnie.

Irena nie miała żadnej ochoty na koncyliację. Jej oczy rzucały gromy.

– Ty hipokryto – syknęła. – Ty mi tu mówisz, że za biedaków życie chcesz oddać? A ja ci poradzę: oddaj im honoraria za kilka swoich bombastycznych, wstrętnych obrazów! Idź do przytułków i odleżyny im opatruj! Ty chcesz walczyć, bo chcesz wyglądać na twardego i męskiego, co? Chcesz, żeby te egzaltowane dzierlatki, co sławią sztukę rewolucyjną, cię wielbiły, co?



– One mnie kochają – warknął. – Kiwnę palcem i pod stopami mi się położą!

Irena śmiała się długo i perliście.

– A potem zobaczą, jak rano wyglądasz! Ujrzą twoje ślepia przekrwione, zaropiałe, opuchnięte od wody. Otworzysz usta, a one wstrząsną się ze zgrozy na widok twoich spróchniałych pieńków! A wieczorem czeka je niespodzianka, gdy najadłszy się grochu, będziesz przy nich wiatry puszczał. One tego nie wiedzą, one nie ciebie kochają, tylko twoją fatamorganę!

Mieczysław siedział stężały i napuchnięty z furii. Irena odetchnęła i wierzchem smukłej dłoni otarła pot z czoła.

– Zgnij tutaj – wstała. – Ja idę, ja wyjeżdżam...

– No tak! – rzucił się na krzesło. – Zostaniesz utrzymanką! Ilu kandydatów ustawia się już do ciebie w kolejce?

– Dam sobie bez nich radę – powiedziała zimnym tonem. – Ale jeśli już chcesz wiedzieć ilu... to ci powiem, że to doprawdy duża kolejka...

Barski nie wytrzymał. Uniósł skute kajdankami dłonie za głowę i zadał cios od góry. Mierzył w jej twarz.

Irena odskoczyła, strażnik wydał z siebie nieartykułowany ryk i odbezpieczył karabin.

Chwycił Barskiego za szyję i wyciągnął zza stołu.

– Doigrałeś się! – powtarzał, złośliwie szturchając go kolbą karabinu.

Mieczysław Barski kolejną noc spędził w celi. Dotychczas był sam, ale tej nocy dokooptowano mu współwięźnia.

Nazywał się Edward Sztajer. Był nadzwyczaj gadatliwy. Opowiadał malarzowi głównie o swojej pracy lipkarza<sup>49</sup>. Nie zdradzał żadnych szczegółów technicznych, nie mówił, jakim sposobem otwiera okna i drzwi balkonowe, jak się wspina po murach czy opuszcza się z dachów.

Nieustannie za to nawijał o tym, co widział nocami w małżeńskich sypialniach. Opisy były dosadne i szczegółowe. Nie brakowało tam erotycznych trójkątów, a nawet zaangażowania podwórkowych chłopaków do współpracy.

– A daj pan spokój! – obruszył się w końcu Barski. – Co to za dziwy! Mąż z żoną różne rzeczy robią!

– E, tam! Coś pan! – zawołał Sztajer. – Jacy tam małżonkowie, panie! Zawsze mam jednego na czujce i on sprawdza, kiedy mąż wyjeżdża na dłużej. Ja tam lipkuję tylko wtedy, jak męża nie ma. Bo strach, żeby wejść, gdy mąż siedzi w domu, a babę to łatwo uspokoić... O, panie! Nie raz mi się zdarzyło! Uuu, nie raz zastąpiłem męża takiej jednej z drugą ...

Sztajera przeniesiono dokądś następnego dnia. A dwa dni później Mieczysław Barski poprosił o spotkanie z „kapitanem Mrowickim”, bo tak się przedstawił łysy mężczyzna, który w czasie kilku przesłuchań wciąż ponawiał propozycję podpisania deklaracji o współpracy z Oddziałem II Sztabu Głównego. Nic innego nie mówił, nie przesłuchiwał go, składał jedynie tę propozycję.

Mrowicki przyjął go za godzinę. I Barski wszystko podpisał. Następnego dnia został wypuszczony na wolność.

\* \* \*

WYSZEDŁ Z WIĘZIENIA ŚLEDZCZEGO i udał się w stronę ulicy Bielańskiej, aby poprzez Nalewki dostać się na róg Karmelickiej i Leszno, skąd odjeżdżał tramwaj numer 2. Wypuszczony na wolność komunista nie miał daleko do domu i mógłby iść na piechotę, ale stanowczo zbyt duży był upał nawet na nieodległe spacerki.

Podskakując z marynarką na ramieniu, pogwizdywał radośnie. Był zadowolony, że zaraz się znajdzie w domu, gdzie będzie na niego

czekać ukochana żona. W tej euforii nie widział, że idą za nim dwaj policyjni tajniacy i że nagle przyśpieszają kroku.

Kiedy zatrzymał się przy kiosku pod Bankiem Polskim przy Bielańskiej, zaszli go z dwóch stron.

– Szanowny panie – odezwał się jeden z nich – ktoś zaprasza pana na wódkę i przekąskę do Metropolu. Raczy pan to zaproszenie przyjąć?

– A kto to taki? – zapytał opryskliwie Barski.

Nie lubił, nie znosił wręcz baru Metropol z powodów politycznych. Prowadzili go bowiem Żydzi z socjalistycznego Bundu, którzy z komunistami mieli mocno na pieńku, ponieważ podobnie jak oni walczyli o dusze i umysły żydowskiej biedoty.

Omijał zatem ów lokal, nie chcąc dać zarobić politycznym konkurentom.

– Pan go zna... – powiedział drugi ze szpicli. – No co? Nie pójdzie pan, jak grzecznie proszą?

Barski mruknął coś, co oznaczało zgodę. Obaj stanęli po jego bokach.

– Idziemy! – rzucił jeden z nich.

Bar Metropol mieścił się w czteropiętrowej kamienicy pod adresem Tłomackie 13. Nie rzucała się ona w oczy, a jej toporne gzymsy i trzy zaledwie balkony były zapewne wynikiem kompromisu pomiędzy fantazją architekta a kiepskimi możliwościami fundatorów budynku – żydowskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego Jabne oraz Związku Literatów i Dziennikarzy Żydów.

Lokal był przeciętny, jego wystrój składał się z upstrzonych przez muchy oleodruków i zasłon w oknach potłuszczonych tak, jakby goście wycierali w nie ręce i usta. Dorobił się złej sławy jako miejsce nieustannych bijatyk pomiędzy Żydami prawowiernymi a właścicielami bundowcami. Ci

bowiem w lokalu podawali wybornie przyrządzoną wieprzowinę, czego tamci nie mogli im wybaczyć.

Szpicle poprowadzili Barskiego za ceratową zasłonę osłaniającą stół w kącie. Odsunęli ją i niedawny więzień ujrzał uśmiechniętą twarz kapitana Mrowickiego.

– Niech pan siada, panie Barski – powiedział mężczyzna. – Zimnej wódki się napijemy? Dubeltowo, co? Pod jajeczko z majonezem i kotlet?

Zaproszony usiadł ciężko i kiwnął głową. Do stolika podbiegł kelner z bloczkiem i piórem.

– Nie zabiorę panu zbyt wiele czasu – powiedział fundator przekąski, złożony rzeczony zamówienie. – Chwila rozmowy i znajdzie się pan w ramionach żony. Zadam tylko kilka krótkich pytań, a pan na nie wyczerpująco odpowie, dobrze?

– Dobrze.

– Pytanie pierwsze. Czy tylko pan, czy też ktoś inny z pozostałej trójki otrzymywali te karteczki z dziwnym szyfrem, na przykład A243 *et similia*?  
[50](#)

Barski podrapał się w głowę i spojrzał na leżące przed nim na talerzyku cztery połówki jajka pokryte gęstym żółtym majonezem.

– Zaraz przekąsimy, wypijemy. – Popielski uśmiechnął się przymilnie. – Ale najpierw odpowiedź.

– Tylko ja – wykrztusił z siebie Barski. – Mantelmacherowie pojawiali się w teatrze tylko dla zmyłki. Nie znam człowieka, który mi wkładał do kieszeni te bileciki, nawet mu się dobrze nie przyjrzałem. Był wysoki i barczysty. Zachodził mnie znienacka, szeptał na ucho słowo „pszczoła” i chował bilecik do kieszeni. A ja ten bilecik zanośm tego samego wieczoru do ubikacji winiarni Simon i Stecki przy Krakowskim.

Przyczepiałem plastrem do rury rezerwuaru. Taak... Chodziliśmy tam zawsze z żoną...

Popielski kiwnął głową. Rzeczywiście, po każdym spektaklu Barscy szli do Simona i Steckiego i tam wypijali butelkę wina tokajskiego. Plasterek też by świadczył, że komunista nie kłamie.

– Tam zawsze kręciło się dużo ludzi – ciągnął malarz. – Nie wiem, kto odbierał te dziwne meldunki.

– Dlaczego nazwał je pan „dziwnymi”?

Barski znów spojrzał na zakąski.

– Ciekawość mnie paliła, no to spojrzałem na zapis. Nic nie rozumiałem.

Popielski uniósł kieliszek i stuknął nim w szkło Barskiego. Wypili. Komunista pochłonął trzy połówki jajka i dużą pszenną bułkę. Edward odkroił nożem kawałek panierowanego kotleta schabowego. Był smaczny, choć panierka już straciła chrupkość.

– Niech pan spojrzysz na to – wyciągnął zdjęcie z wewnętrznej kieszeni marynarki. – I niech pan przeczyta i powie, czy to pański podpis.

Barski spojrzał na reprodukcję wystukanego na maszynie dokumentu, w którym dzień wcześniej zobowiązał się do współpracy z Dwójką. Dokument był zaopatrzony w adnotację „Oficer prowadzący kpt. Edward Popielski”.

– Co pan mi tu daje! – zniecierpliwiony Barski podniósł głos. – Przecież wczoraj to przy panu podpisałem! Tyle że nie było pańskiego prawdziwego nazwiska. W tamto „Mrowicki” i tak za bardzo nie wierzyłem.

– Nic, nic. – Popielski się uśmiechnął. – Tak tylko się upewniam.

Znów stuknął kieliszkiem o kieliszek. Wypili. Chuchnęli. Edward starannie odkroił kawałek schabu tuż przy kostce. Mięso stamtąd lubił najbardziej. Barski połknął ostatni kawałek jajka i chwycił kotlet w palce.

Kapitan spojrzał na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– Mógłbym to wysłać do twoich moskiewskich mocodawców, parszywy komunisto! – powiedział ostro.

Było to tak brutalne i nieoczekiwane po chwilowym uśpieniu czujności Barskiego, że ten omal się jajkiem nie zadławił.

Kiedy już połknął, mruknął:

– No to wyślij pan!

Uśmiechnął się szeroko. Jego zęby wymagały zdecydowanej naprawy.

Popielski rozparł się na krześle i zapalił papierosa.

– Panu się zdaje, Barski, że Mantelmacher pana obroni przed zemstą Moskwy, co? – Patrzył na rozmówcę spod wpróżymkniętych powiek. – Że powie Moskalom: „To ja namówiłem Mietka do podpisania tego cyrografu. Powiedziałem Mietkowi, że on jest zbyt cenny i musi wyjść z polskiego więzienia, a potem się zobaczy”. A może się panu zdaje, że to z Łubianki przyszedł rozkaz do Mantelmachera. Że na Kremlu powiedziano: „Kazać Barskiemu – czy jaki tam pan masz kryptonim – kazać Barskiemu podpisać cyrograf. Barski jest dla nas zbyt cenny. My wiemy, że ten cyrograf będzie mistyfikacją. Wierzmy Barskiemu. Niech wyjdzie z więzienia”. Którą wersję pan wybiera? Że wymyślił tę historię Mantelmacher czy Sztejnbruk?

Edward walnął pięścią w stół tak mocno, że zastawa podskoczyła i zabrzęczała.

– Nie! To żaden z nich! To ja to wymyśliłem, komunisto!

Zdawało się, że z każdym słowem Popielskiego skołtunione włosy Barskiego rozprostowują się, a jego twarz się kurczy i zalewa rumieńcem, który obejmuje najpierw policzki, a potem szyję. Milczał.

– Myśli pan, że blefuję? To chodźmy tam, gdzie pan jeszcze przed chwilą był. Odwiedzimy naszego Adolfa w celi? I zapytamy go: panie

Mantelmacher, to pan wymyślił tę intrygę z cyrografem czy Łubianka?

– Przecież wypuściliście Dolka. – Barski każdą sylabę wykrztuszał z siebie bardzo powoli.

– Tylko na chwilę, drogi panie. Znów wrócił tam, gdzie jest miejsce dla wrogów ojczyzny. Ale nie dla takich, którzy z nami współpracują, co?

Malarz wstał gwałtownie i przewrócił stół. Popielski ujrzał ze zgrozą, jak ogryziona kość kotleta wylatuje w powietrze i przykleja się do jego popelinowej koszuli.

– A to kurwa! – darł się Barski. – Zabiję tę kurwę!

Dwaj szpicle, którzy przezornie nie opuścili lokalu, podbiegli, aby służyć Popielskiemu pomocą.

Nie było to potrzebne. Barski stał i wyrzucał pięści w stronę sufitu, jakby postradał zmysły i wygrażał niebu. Wyrzykiwał wciąż to samo wulgarne słowo.

Klienci lokalu odwrócili się oburzeni w ich stronę. Kelner wraz z dobrze zbudowanym kuchcikiem biegli już do nich ze zdecydowanymi zamiarami.

Edward uniósł dłoń i powstrzymał ich.

– Policja kryminalna! Cofnąć się!

Spojrzał na klientów.

– A państwa proszę o powrót do swych potraw i napitków.

Posłuchali go, lecz popatrywali ciekawie.

Złożył zdjęcie w pół i podszedł do Barskiego. Przycisnął mu do piersi mocno, jakby chciał je przykleić.

– To jest zdjęcie twojej lojalki – syknął. – Zamknij się! I słuchaj! Nie próbuj uciekać. Mamy cię na oku. Jutro o drugiej po południu przyjdę do was na obiad. Służąca Kocia pójdzie sobie wtedy na lody, a my

porozmawiamy, rozumiesz? Dostaniesz zadanie do wykonania. Jeśli do tego nie dojdzie, jeśli się nie spełni to, co mówię, na przykład nie będzie cię o drugiej w domu, to twoja lojalka trafia na biurko Sztejnabriuka czy innego sowieckiego skurwysyna. Rozumiemy się?

– Tak, tak.

Napęczniały od gniewu Barski stał przy przewróconym stoliku i kiwał głową, ale po jego zamglonych oczach nie widać było zrozumienia.

Popielski nagle go chwycił za gors rozpiętej koszuli. Chwyty i szarpnięcia były tak mocne, że po podłodze posypały się guziki – jak niedawno te w pensjonacie na Mokotowskiej.

– I jeszcze jedno – teraz Popielski jadowicie szeptał. – Jeśli uderzysz Irenę, jeśli ją pchniesz... Jeśli jej zrobisz jakąkolwiek krzywdę, to twój cyrograf w oryginale, nie w fotoreprodukcji, trafi na Łubiankę...

– Jasne – odpowiedział Barski. – Wszystko jest teraz jasne.

– Teraz to naprawdę jesteś mój. – Edward uśmiechnął się radośnie.

\* \* \*

MIECZYŚLAW BARSKI UPRZEJMIE POZDROWIŁ dozorcę domu. Nacisnął guzik windy i wjechał na swoje czwarte piętro. W ręku trzymał otwartą butelkę wódki czystej wyborowej.

Otworzyła mu Kocia. Na widok pana rozpromieniło się jej proste, szczere oblicze. Była szczęśliwa i radosna.

– Pani Ireno, pani Ireno! Pan wrócił, pan już jest! Kolacja gotowa! Ozór na szaro i kluseczki krajane z serem!

– Gdzie jest pani? U siebie? – zapytał ponurym głosem, jakby nie słyszał tej radości.

– Tak – odparła cicho Kocia. – U siebie, na migrenę bardzo cierpiąca.



Pan Mieczysław wyjął z kieszeni pugilares. Podał Konstancji trzy złote.

– Niech no Kocia pójdzie sobie na lody do Cukierni Szwajcarskiej! No, co się patrzy? Szkoda jej tych trzech złotych? To niech pójdzie do Bendkowskiego na Chmielną, a resztę sobie zatrzyma! Ale już! Nie widzę tu Koci!

Służąca zdumiona hojnością pana kiwnęła głową i zdjęła z siebie fartuch. Poszła do służbówki, aby się przebrać.

Barski wkroczył do salonu i usiadł ciężko na kanapie. Czekał, aż Konstancja wyjdzie, palił i pociągał dużymi łykami wódkę wprost z butelki.

Kiedy usłyszał trzaśnięcie drzwiami, wstał i chwiejnym krokiem udał się do sypialni żony.

Wszedł tam i jego oczom ukazało się jeszcze większe niż zwykle pobożowisko kolorowych sukienek, bluzek i jedwabnych pończoch pokrywających łóżko, toaletkę, nocny stolik, a nawet parapet okna.

Irena leżała na skłębionej pościeli – w samych tylko figach, z odsłoniętymi piersiami.

Uśmiechnęła się do niego blado.

– Jesteś! W końcu jesteś!

Nie patrząc na nią, spuścił spodnie.

– No już, kurwo! Zabieraj się do roboty!

Irena usiadła na łóżku i – patrząc na męża przerażonym wzrokiem – zaczęła posuwać się na pośladkach do wezgłowia. Kiedy tam dotarła, podciągnęła kolana pod brodę.

– Nie teraz – szepnęła. – Jestem chora!

Mieczysław zsunął całkiem spodnie. Stał w samych butach i w koszuli wzdętej od erekcji.

– No dawaj!

– Nie! – krzyknęła.

Wtedy do niej podbiegł i zaczął okładać ją otwartymi dłońmi – z lewej i z prawej strony. A potem chwycił za włosy i jej czołem zaczął uderzać o wezłowie łóżka.

Kiedy znieruchomiała, wgramolił się na pościel i zdarł z niej figi.

Po dziesięciu minutach – nasycony i sapiący jak knur – poszedł do łazienki. Wrócił z otwartą brzytwą w dłoni.

Kiedy Konstancja wracała – przejeżdżona lodami gryłażowymi, których nadmierną ilość pochłonęła w pobliskiej cukierni Bendkowskiego – i przechodziła przez ulicę Zgoda, usłyszała nagle potężne plaśnięcie o bruk jezdni. Zakryła usta, aby nie zawyć ze zgrozy.

Na kostkach brukowych, dopiero co zwilżonych wodą z wozu asenizacyjnego, leżało wygięte ciało jej pani. Przeguby miała prawie do kości rozcięte. Wypływała z nich ciemna krew.

Służąca zadarła głowę ku oknom państwa Barskich. Na balkonowej poręczy z nogami przerzuconymi w stronę ulicy siedział pan Mieczysław, całkiem nagi. Na chodnik kapały z rzadka krople jego krwi.

A potem mężczyzna odbił się mocno od balkonu. Jego ciało padło obok ciała żony.

I drgało jeszcze przez długą chwilę.

\* \* \*

WIADOMOŚĆ O ŚMIERCI IRENY I MIECZYŚŁAWA BARSKICH rozeszła się po całej Warszawie. Dziennikarze prasy bulwarowej – zerwani z łóżek, wyrwani znad kufli piwa – zeszli się w nocy pod kamienicę Gebethnera i Wolffa, jak potocznie nazywano ten budynek, i w pragnieniu zdobycia jakichś sensacyjnych wiadomości o ekscentrycznym małżeństwie

rozpoczęli budzenie, nagabywanie i przekupywanie lokatorów. Policja, wezwana przez mieszkańców tego pierwszorzędnego domu, szybko przegoniła prasowych natrętów, a groźnie wyglądający przodownik stanął u wejścia.

W takich sytuacjach dziennikarze, skazani na własną domyślność i poganiani o tekst przez redaktorów naczelnych, musieli polegać na własnej inwencji i fantazji.

„Trupy w Warszawie lecą na głowy przechodniów – zatytułował artykuł redaktor Marcin Andrusz z »Dzień Dobry«. – Wiele zapowiadało, że taki będzie tragiczny koniec tego małżeństwa. Mieczysław Barski, wzięty malarz, twórca bezwstydných niewieścich aktów, organizował wraz ze swą żoną Ireną pijackie i erotyczne orgje w pięknej warszawskiej kamienicy. Sąsiedzi wiecznie się uskarżali na okropne hałasy i wielu z nich przewidywało taki smutny koniec państwa Barskich”.

„Wywrotowiec i lesbijka, satanista i menada – tak z kolei zaczął swój tekst w »Unzer Ekspres« znany żydowski żurnalista Hersz Meclman – znaleźli swoją pieczarę w słynnej kamienicy Gebethnera i Wolffa. Jak zwykle sprawdza się stare przysłowie, że pod latarnią najciemniej”.

„Krwawa tragedia zazdrości na Zgody 12 – pisał Michał Pacuk, dziennikarz bulwarówki »Dobry Wieczór! Kurjer Czerwony«. – Ona wyuzdana erotomanka, on zajadły komunista. Porznął brzytwą małżonkę z zazdrości w swem strasliwym zezwierzęceniu, a następnie przez okno wyrzucił”.

\* \* \*

GDY POPIELSKI O SZÓSTEJ RANO WYCHODZIŁ na balkon swej kwatery, aby wypalić ostatniego przed snem papierosa, usłyszał gazeciarza, który wykrzykiwał nazwę ulicy oraz określenia pasujące – choć sensacyjnie

hiperbolizowane – do Barskich. Edward gwizdnął na chłopaka i po chwili wszystko już wiedział. Bohaterami artykułu z pierwszej strony gazety byli, przedstawieni z nazwiska, Irena i Mieczysław Barscy.

Popielskiemu gazeta wypadła z ręki. Rozpostarta płachta frunęła i spoczęła na bruku. Tego dnia Edward nie zmrużył już oka. Akcja „odwrócenia” Barskiego dobiegła do nieszczęśliwego końca.

Dwa dni później w Warszawie pewien agent sowieckiego tak zwanego białego wywiadu, czytający regularnie prasę polską i wtajemniczony częściowo w misję „Pszczoła”, dostarczył tę informację – już potwierdzoną i pewną – Ottonowi Ottowiczowi Sztejnabriukowi.

A wtedy ten wezwał do siebie Maksyma Naumiaka. Więzień – idąc korytarzem pod baczny okiem strażnika – wyglądał co chwila drelichową bluzę. Podniecenie, jakie go owładnęło na myśl o tym, co zrobi córce Popielskiego, gdy już zabije znienawidzonego Łyssego, na szczęście już ustępowało.

---

<sup>48</sup> Ależ nie (fr.).

<sup>49</sup> Złodzieja włamującego się do mieszkań przez okno (żarg.).

<sup>50</sup> I tym podobne (łac.).

## ROZDZIAŁ XI POWRÓT NA TARCZY

---

W MOSKWIE WCIĄŻ PANOWAŁ PRZYTLACZAJĄCY SKWAR. Teraz już nawet noc nie dawała ochłody, gdy rozpalone ulice i domy zionęły żarem nagromadzonym za dnia.

Sztejnabriukowi nie przeszkadzał on jednak tak bardzo jak jego szefowi. Prawie wcale nie opuszczał dusznego, ascetycznie urządzonego gabinetu, w którym – wzorem Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego – nocował niekiedy na wąskiej twardej kozetce ukrytej za kotarą.

Natomiast Maksym Naumiak dopiero tutaj, w tym gabinecie, oddychał z ulgą, gdy go przyprowadzono z najniższej kondygnacji, gdzie powietrze niemal stało.

Zewnętrzne rany więźnia były prawie wyleczone i niewidoczne po odpowiednim zaretuszowaniu pudrem. Wciąż jednak zmaltretowane trzewia szarpały go ostrymi skurczami, a żołądek reagował bólem – nawet teraz, gdy spożywał wykwinną kolację składającą się z młodych ziemniaków, mizerii i – prawdziwy to cud! – baraniego kotleta. Schudł nieco w więzieniu, ale po takich posiłkach miał nadzieję powrotu do dawnej tuszy.

Sztejnabriuk obserwował, jak więzień, zjadłszy posiłek, ociera serwetą usta i tęsknie spogląda na papierośnicę. Jego pragnienie nikotyny zostało niezwłocznie spełnione.

Przesunął ku więźniowi zapalki, a potem postukał w leżącą pomiędzy nimi cienką kartonową teczkę.

– Przeczytaliście to, towarzyszu?

– Tak jest!

– No dobrze. Tam macie prawie wszystko.

Sztejn briuk wciąż mówił z twardym akcentem, przez co wielu brało go za Łotysza lub Estończyka.

– Dodam coś, czego tam nie ma i co musicie zapamiętać. Polacy zamknęli usta „Pszczole”, o którym tam mowa – rzekł powoli, wskazując wzrokiem na teczkę. – Albo go wsadzili do więzienia, albo jakimś naciskiem, szantażem odebrali mu głos. A może zabili. Musicie sprawdzić w Warszawie, co się właściwie stało z „Pszczolą”, naszym ulubionym dwójkarzem.

Naumiak słuchał uważnie, zaciągając się z lubością dobrym papierosem Krasnaja Zvezda<sup>51</sup>.

– Przed wami długa droga – ciągnął koordynator antypolskich akcji wywiadowczych. – Co do dwójkarza, to nie wiemy, jak się nazywa ani jaką funkcję piastuje. Jedno, co wiemy, to, że pochodzi z Dołbysza z Polrajonu<sup>52</sup>. Lewarem na niego jest, a właściwie był... jego brat... Zagroziliśmy „Pszczole”, że zabijemy jego rodzinę, jeśli nie będzie dla nas pracował.

– *Izwinitie, towariszcz korpusnoj komissar!*<sup>53</sup> – przerwał mu Naumiak. – Mamy brata „Pszczoly”, a nie wiemy, jak „Pszczola” się nazywa? Jakżeż to?

Sztejn briuk się zasepił.

– Od jego brata, Walentego Gromickiego, wiemy to, co następuje. „Pszczola” jako chłopak zostawił rodzinę, osiedlił się w Galicji i walczył później w wojsku austriackim. Po wojnie w Wiedniu zmienił urzędowo nazwisko. Ale od początku, towarzyszu! Powiem wam wszystko od jajka, jak to powiadali starożytni... Najpierw o tym Walentym.

I Szejnbriuk opowiedział, jak ów mieszkaniec Marchlewszczyzny, dotąd zagorzały krzewiciel idei komunistycznych, został rok temu aresztowany i oskarżony o antyradziecką agitację.

Trafił najpierw do moskiewskiego więzienia Lefortowo, a potem na Łubiankę, gdzie po kilku dniach dołączyła do niego żona Stanisława oraz szesnastoletni syn Wiesław.

Gromicki – mocno tam wymaglowany – zdradził, że w wysokich strukturach Dwójki ma brata, z którym nie utrzymuje żadnych kontaktów.

To wydawało się gwoździem do jego trumny, ale sprytny Polak potrafił to przekuć w swoją korzyść. Brat ów, zdaniem więźnia, wciąż go kocha, choć – nie chcąc plamić honoru nazwiskiem sowieckiego kolaboranta – zmienił je. Walenty nie ma pojęcia, na jakie. Widział się raz w Charkowie z owym bratem, pracującym tam wówczas w konsulacie polskim i występującym pod przykrywką pod fałszywym nazwiskiem. W czasie tej rozmowy dowiedział się, że bywa on na obiadach domowych w pewnej warszawskiej jadłodajni dla lepszego towarzystwa. Walentemu wydawało się, że ów lokal nosi nazwę Profesorski. Nic więcej nie zeznał mimo brutalności dalszych przesłuchań.

To jednak wystarczyło Szejnbriukowi do podjęcia akcji. Nie udało mu się wprawdzie ustalić personaliów dawnych pracowników polskiego konsulatu w Charkowie, nie udało mu się też znaleźć Jadłodajni Profesorskiej w Warszawie. Natomiast odszukał w polskiej stolicy Jadłodajnię Domową przy ulicy Profesorskiej.

Strzelił tam na ślepo. Do właścicielki lokalu wysłano z poczty w Białymstoku list pułapkę, zaadresowany: „W sprawie Walentego Gromickiego (na ręce jego brata)”.

Szefowa jadłodajni zaczęła rozpytywać swoich gości o to, który z nich ma brata o tym nazwisku. Żaden się nie przyznał, a poczciwa niewiasta

umieściła list w gablotce. Pewnego dnia zniknął. Podobnie jak jeden ze stałych klientów, którego nazwiska ani zawodu nie znała.

Sztejn briuk poruszył się na krześle.

– W kopercie było tylko zdjęcie Walentego, jego żony oraz syna w naszym więzieniu, na tle hasła „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!” – ciągnął. – „Pszczola” kochał brata, choć od dawna go nie widział. No i rybka chwyciła przynętę.

\* \* \*

PRZYNETA MUSIAŁA BYĆ BARDZO SUGESTYWNA, bo kilka dni później agent „Obłok”, pracujący w sowieckim poselstwie jako zastępca radcy handlowego, dostał propozycję spotkania ciemną nocą w jednym z warszawskich parków. Brat Gromickiego przyszedł w masce, a na głowę miał wciśnięty kapelusz z szerokim rondem. Rzucało ono cień na jego twarz, która i tak w mdłym świetle nielicznych parkowych latarni byłaby nie do rozpoznania. Dla bezpieczeństwa towarzyszyli mu jacyś silnорęcy z marginesu społecznego, najwyraźniej wynajęci na tę okazję.

– No i wiecie, towarzyszu Naumiak, jak się spodziewaliśmy, ten dwójkarz zażądał wypuszczenia na wolność swej rodziny – ciągnął enkawudzista. – A w zamian już wtedy, dla swego uwiarygodnienia, dał nam nazwisko pewnego niezwykle szkodliwego agenta Dwójki, działającego przeciwko nam w Helsinkach. Obiecał nam jeszcze dziewięć nazwisk. A razem wszystkich to dziesięć. Za wypuszczenie brata. Tych dziesięciu to mieli być ludzie nienawidzący nas i ideowi, tacy, no wiecie... Nie do przekręcenia. I dotąd wydał nam sześciu.

Niemiec wydobył z siebie odgłos, mający przypominać strzał z pistoletu.



– Wszystkich natychmiast zlikwidowaliśmy. Zostały mu do przekazania trzy nazwiska... Ale zamilkł. Dlaczego? Nie wiemy.

Sztejn briuk zrobił smutną minę i dodał, że agent „Pszczola” jeszcze raz – wciąż zamaskowany i wciąż w towarzystwie obstawy – spotkał się z agentem „Obłokiem” nocą w parku Skaryszewskim. Kiedy ten wyraził zgodę na współpracę, oznajmił chęć wypuszczenia Gromickich na wolność i pochwalił pierwszą identyfikację, Polak postawił kolejny warunek: współpraca ma być tymczasowa, tylko dziesięć nazwisk i koniec, a potem rodzina brata wychodzi na wolność.

Wtedy też przybrał kryptonim „Pszczola”. „Obłok” zgodził się natychmiast i wspólnie ustalili techniczne szczegóły współpracy.

– „Pszczola” jest niewiarygodnie ostrożny – mówił enkawudzista – przekazywanie meldunków było nadzwyczaj, a nawet, powiedziałbym, absurdalnie skomplikowane. Odbywało się w teatrach, po spektaklach. Zaangażowani w to zostali dwaj łącznicy, z których jeden był fałszywy, a jego zadaniem było tylko zmylenie policji. Niestety... – Westchnął. – Ten prawdziwy, furiat i alkoholik, popełnił kilka dni temu samobójstwo, zabiwszy wcześniej z zazdrości swoją żonę. Tak przynajmniej pisze polska prasa bulwarowa. A fałszywy, również z żoną, został aresztowany. Widzicie, towarzyszu, nic dziwnego, że „Pszczola”, o ile w ogóle żyje i nie siedzi w kiciu, to panicznie się teraz boi i nie dotrzymuje naszych warunków współpracy. Tych trzech ostatnich polskich agentów nie chce albo nie może nam podać. Kto wie? Czyżby „Pszczola” chciała odlecieć?

– Ale nie do nas taka mowa, prawda? – Naumiak przymilnie skomentował tę część wywodu. – Na nas nie można tak po prostu wypiąć tyłka!

Już użył liczby mnogiej, już poczuł się przywróconym do łask funkcjonariuszem.

– Właśnie tak, towarzyszu – potwierdził Sztejn briuk. – Waszym zadaniem jest zidentyfikować „Pszczołę” i sprawdzić, czy żyje i czy może z nami dalej współpracować. Jeśli tak jest, to macie tutaj środek perswazji na niego...

Przesunął po blacie kopertę.

– To jest list napisany przez nas. Idealnie podrobione pismo Walentego Gromickiego. Idealnie podrobione zwroty i słowa chętnie przez niego używane. Rozpacзлиwa prośba o pomoc, przeraźliwe opisy, co się dzieje z jego synem Wiesławem. Powiecie „Pszczole”, że przechwyciliśmy ten list. Jak dotrzecie do niego, to mu pokażecie ten list i wyrazicie nadzieję, że podejmie z nami dalszą współpracę. Nie tylko dziesięć nazwisk, oczekujemy więcej. Dużo więcej. – Przerwał na chwilę. – Jutro jedziecie do Warszawy przez Rygę jako Zygmunt Helsztyński, łotewski Polak, szef tartaku pod Jakubowem. Mówicie świetnie po polsku, a wasz, jak to oni mówią, „kresowy” akcent tylko was uwiarygodni.

Podsunał mu kopertę z fałszywym paszportem i z pieniędzmi. Poprawił pas i spojrzał z nabożnym wyrazem twarzy na portret Dzierżyńskiego, jakby u swojego mentora szukał pochwały.

– Jeszcze coś – rzekł Sztejn briuk wolno. – Niejaki Edward Popielski jest w Warszawie. Znaćcie go od dawna, nie muszę wam o nim nic mówić. Macie go odnaleźć i sprawdzić, czy nie macza palców w tej sprawie. Kiedy on wychyla nos z tego swojego Lwowa i trafia do Warszawy, zwykle mocno daje nam się we znaki<sup>54</sup>. Jakież pytania, towarzyszu?

– Tak. Kto tam, w Warszawie, będzie moim kontaktem?

Enkawudzista podał mu jeszcze jedną kopertę.

– No tak, zapomniałem o tym... Ten człowiek to agent „Obłok” – wskazał na zdjęcie młodego mężczyzny w garniturze i w kapeluszu. – Makar Iwanowicz Griapinski, zastępca radcy handlowego naszego

poselstwa w Warszawie. Ale bardzo ostrożnie z nim! Dwójka ma go już na oku! Na odwrocie zdjęcia macie numer telefonu do łącznika.

– A ta kobieta? – Naumiak wskazał na drugie zdjęcie wystające z koperty.

– „Obłok” ją zidentyfikował. To agentka Dwójki. Mocno węszy w tej sprawie, depta po piętach „Obłokowi”, wie o lokalach kontaktowych, zwłaszcza o pewnej eleganckiej winiarni. Nazywa się Adela Ziółek. Musisz od niej wyciągnąć... Z gardła jej wyrwać wszystko o tej sprawie. To jedyna osoba, o której wiemy, że coś wie. I tylko ona, jak na razie, może cię doprowadzić do „Pszczoły”. A potem ją zabij! – rzucił Sztejn briuk lekko, przeciągając palcem po krtani. – To też będzie test, czy jesteś nasz. Zabij, ale tak, by nie wzbudzać podejrzeń. Niech się utopi na jakimś kąpielisku. Jest w końcu lato, ludzie szukają ochłody w rzekach, jeziorach. Ludzie się topią...

Położył na biurku metalową tulejkę o długości piętnastu, a o średnicy może trzech centymetrów.

– Instrukcję obsługi tego wspaniałego urządzenia dostaniesz jutro w pociągu. Uważaj na nie! Jest bardzo precyzyjne i drogie.

Sztejn briukowi zrobiło się gorąco. Zbyt długo mówił podniesionym głosem. To był jedyny powód wzrostu temperatury jego ciała. Wyrok śmierci, jaki jakby mimochodem wydał na młodą kobietę, nie wzruszył go w najmniejszym stopniu.

– A tu masz fajkę i tytoń. – Enkawudzista położył na biurku chłopską fajkę o długim, grubym cybuchu oraz drewniane pudełko. – Tulejkę schowasz do cybucha, w tytoniu masz ukryte kapsułki z pewną cieczą... Wszystkiego się dowiesz z instrukcji!

Wstał i rozpiął mundur.

– Masz miesiąc na rehabilitację! – podniósł głos. – Na przekonanie nas, że Dwójka nie przekabaciła cię we Lwowie, po tym jak wyciągnęli cię z jakiejś ukraińskiej dziury! Dajemy ci miesiąc na znalezienie „Pszczoły”! Jeśli on żyw i wolny, pokazujesz mu list od brata, a właściwie zdjęcia tego listu, i znów jest nasz! W tym czasie musisz też sprawdzić tego Popielskiego. Jeśli nie ma on nic wspólnego ze sprawą „Pszczoły”, to zostaw go w spokoju. A jeśli ci się nie uda, Naumiak, albo nas oszukasz... – Pochylił się ku rozmówcy, opierając pięści na biurku. – To będzie dla nas dowód, że jednak pracujesz dla Dwójki. I wtedy wydam na ciebie wyrok. Powiadomię Ukraińców, że jesteś na ich terenie. I ktoś cię w końcu rozpozna. My po ciebie wszędzie sięgniemy. Długie mamy ręce... – Oddychał ciężko. – Każdy komunista w Polsce i każdy nasz agent wśród Ukraińców dostanie polecenie: zabić Naumiaka za grubą nagrodę! I nikt ci nie pomoże. Nawet mój sąsiad zza ściany! – Wskazał palcem za siebie. – Myślisz, że możesz liczyć na swojego dawnego mentora, Zaran-Zaranowskiego, z którym na Wołyniu<sup>55</sup> westerny odstawiałeś? Nie łudź się! Teraz jesteś dla niego jak zaraza, jak morowe powietrze! Nie wiem, co musiałbyś zrobić, aby powrócić do jego łask. To zlecenie jest dla ciebie szansą przeżycia. Jedyną, Naumiak!

Wykonawca przyszłej tajnej misji stał na baczność.

– Tak jest, *towariszcz korpusnoj komissar!* Mogę się odmeldować?

Sztejn briuk nie odpowiedział. Usiadł i machnął na niego ręką, jakby odganiał komara.

\* \* \*

TEJ NOCY MAKSYM NAUMIAK OPUŚCIŁ ŁUBIANKĘ. Idąc piechotą przez ciemną Moskwę, wciągał w płuca powietrze i śmiał się w duchu.

Doskonale wiedział, jak ponownie zyskać przychyłność towarzysza Marcina Zaran-Zaranowskiego, który należał do ulubieńców samego Josifa Wissarionowicza Stalina. Jak sprawić, by dla dawnego wołyńskiego druha nie być morowym powietrzem.

Wystarczyło przynieść mu na tacy łąsą głowę pewnego znienawidzonego lwowskiego policjanta. Niezależnie od tego, czy Popielski był zamieszany w sprawę „Pszczoly”, czy też nie; niezależnie od tego, jak bardzo Naumiak go nienawidził, jedno było pewne – Zaran, uzyskawszy trofeum, wstawi się za swym dawnym kompanem.

Naumiak miał własny pomysł na warszawską misję. Ani myślał prowadzić śledztwo w sprawie agenta „Pszczoly”. Wobec niewielkich punktów zaczepienia było ono niewykonalne i poskutkowałoby wyrokiem śmierci, którym groził ten nadęty Szwab.

A Naumiak chciał walczyć o życie. I potrafił to robić z całą bezwzględnością.

\* \* \*

TYMCZASEM OBIEKT JEGO ZBRODNICZYCH PLANÓW wracał pociągiem do Lwowa po zakończeniu nieudanej akcji w Warszawie.

Był to powrót na tarczy. Popielski siedział późną nocą w przyćmionym świetle w salonce pociągu relacji Warszawa–Lwów i wsłuchiwał się w stukot kół. Przez wpółluchylone okno wdychał wilgotną woń lasów za Dobrosinem. Do Lwowa zostały niecałe trzy godziny jazdy.

Ktoś, widząc tego mężczyznę, siedzącego z papierosem w fotelu, w samej tylko koszuli bez krawata, mógłby pomyśleć, że ów pan – zrelaksowany i spokojny – czuje się tutaj swobodnie jak w domowych pieleszach. Że zażywa relaksu po obfitym posiłku, którego resztki – kości z kurczaka – leżały na talerzu.

Taki przypadkowy obserwator myliłby się jednak. W głowie Popielskiego huczała burza, a jej gromami były słowa, jakie mu na pożegnanie wypowiedział pułkownik Emanuel Krapiński.

– Same zgliszcza za panem, Popielski! – darł się dwójkarz na ostatniej odprawie. – Ten pański ukraiński donżuan pocięty, Barscy nie żyjo! Tak ich pan zastraszył, że uciekli w śmierć! Mantelmachera będę musiał wypuścić, bo nic na niego nie mam! Paraliż! Ładny mi paraliż, ty prześwietny łowco zdrajców!

Ktoś, kto znałby dobrze „kolejowe rozrywki” Edwarda, gdyby zajrzał teraz do salonki i ujrzał go w rozchełstanej koszuli, opierającego na stole gołe nogi w skarpetkach z podwiązkami, mógłby pomyśleć, że to nasycony samiec odpoczywa po upojnych chwilach z jakąś „dziunią”, podczas gdy ona w łazience dokonuje ablucji.

To też byłoby błędne rozpoznanie. Popielski nie miał ochoty, a może nawet mocy, na żadne figle. Nie tylko jako agent kontrwywiadu poniósł w Warszawie porażkę. Jako człowiek również.

Teraz każda młoda kobieta wywoływała u niego falę wstydu i poczucia winy, bo każda kojarzyła mu się z pełną życia, roztańczoną i roześmianą Ireną, którą on w wyniku nieprzemyślanych machinacji pośrednio do śmierci doprowadził.

– Ruina, Popielski! Ruina za tobą! I ja mam to teraz sprzątać! Mnie się teraz dostaje! – krzyczał Krapiński, a jego ryk niósł się po podwórku i po zapleczu restauracji Riegert i Żebrowski. – Teraz głowę zmyją mnie i moim ludziom, którzy taką wspaniałą robotę wykonali. Wzorowo, jak choćby Filistynka! – Pułkownik wskazał palcem na drzwi saloniku. – Won do tego zapyziałego Lwowa! A stamtąd już was Futyma wykurzy, oj wykurzy! Won do koniokradów w jakichś Trembowlach i Berdyczowach! Pod ogony klaczom tam komisyjnie zaglądać!

Popielski, przypomniawszy sobie teraz tę scenę, przeklinał Krapińskiego siarczyście. Grube słowa jakoś mu pomogły, jakoś poskromiły gonitwę myśli.

– Najważniejsze jest to, że wracam do domu – szepnął do siebie. – Że zobaczę Ritę i Lodzię... Mam w dupie warszawskie teatry i salony! Co mnie obchodzą intrygi dwójkarzy! Czyż to nie raz widziałem, jakie to gównno w tym ich Pałacu Saskim się wylewa? Po co mi być setnym w stolicy, skoro mogę być pierwszym we lwowskich zaułkach? Ja je wszystkie dobrze znam! W nich siedzą ludzie, którzy nawet jeśli mnie nienawidzą, to przynajmniej z bojaźliwym szacunkiem. A Futyma? Pies go jebał! On mnie nie dosięgnie!

Choć zdawał sobie sprawę, że ta ostatnia konstatacja to raczej myślenie życzeniowe, czuł się jednak pokrzepiony rozmową z samym sobą.

Wstał, zamknął okno i zaczął się ubierać. Najważniejsze było teraz to, że zaraz ujrzy najbliższe swemu sercu istoty: dorastającą córkę oraz Lodzię – mądrą, wyrozumiałą i inteligentną towarzyszkę życia.

Kiedy pomyślał o przenikliwości Leokadii, naszło go nieoczekiwane wspomnienie o agentce Filistynce, która jest świetną wywiadowczynią i której nazwiska nawet nie poznał.

„Nie zdążyłem się z nią pożegnać – pomyślał – i złożyć jej uszanowania za świetną, cichą robotę”.

\* \* \*

NIE WIEDZIAŁ, ŻE FILISTYNKA nazywa się Adela Ziółtek. Od lat była kochanką Emanuela Krapińskiego. Pochodziła z Przasnysza i od początku swej znajomości z pułkownikiem wyczuwała w nim bratnią mazowiecką duszę.

Ten kawaler od razu zwrócił uwagę na drobną brunetkę pracującą w Referacie Prasowym Departamentu Politycznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Usiłował ją uwodzić, ale ona na początku stawiała mu opór z powodów prawnych – nie był bowiem jasny jej stan cywilny. Jej mąż, porucznik Albert Ziółek, zaginął bowiem na wojnie polsko-bolszewickiej i tym samym pozostawił swą Adelę w stanie kompletnego zawieszenia, które uniemożliwiało jej oficjalne ułożenie sobie życia.

W końcu uległa i przyjęła zaloty pułkownika. I trwali tak lat kilka w związku nieoficjalnym, choć wszystkim doskonale wiadomym i oplotkowywanym na korytarzach Pałacu Saskiego. Aby nie narażać kochanki na złe języki i na zaloty młodych oficerów, Emanuel przeniósł ją do własnej jednostki. Została jego osobistą sekretarką.

Wkrótce, zupełnym przypadkiem, odkrył, że ta spokojna i małomówna kobieta może być świetną agentką operacyjną. Zaczął jej powierzać coraz bardziej odpowiedzialne zadania wywiadowcze.

Niekiedy ich stosunki służbowe i osobiste ulegały silnym turbulencjom. Tak było właśnie teraz.

Śmierć Barskich i niepowodzenie akcji „Pasożyt” tak rozstroiło pułkownika, że zamknął się w swym mieszkaniu w Alejach Ujazdowskich i w samotności trawił porażkę, nie chcąc nikogo widzieć, z kochanką włącznie.

Ona sama też się przejęła niepowodzeniem misji Popielskiego, którego szczerze polubiła. Ten stan jej ducha trwał jednak bardzo krótko, bo z natury była optymistką.

Nie widziała zatem powodu, aby w tę upalną niedzielę siedzieć w mieszkaniu na Saskiej Kępie, kiedy plaża Poniatówka, tak blisko niej



położona, zachęcała do opalania i do pływania w wodach Wisły. I poszła tam tego dnia o poranku.

Płynęła bezbłędnym kraulem w stronę mostu Poniatowskiego.

Zajęta sobą, nie zauważyła, jak od dłuższego czasu płynie jej śladem jakiś kajak.

\* \* \*

ŚMIERCIONOŚNA TULEJA SKŁADAŁA SIĘ z trzech komór. Ostatnia była zaopatrzona w niewielki cyngiel podobny do pistoletowego. W niej była ściśnięta sprężyna. Ta – po uwolnieniu spustu – uderzała w tłok, który tarł przy tym o niewielką znajdującą się tam również warstwę prochu.

Maksym Naumiak już to przyglądał się broni, już to śledził poczynania płynącej kobiety. Pozwalał, by kajak swobodnie dryfował po Wiśle. Tor jego ruchu zaraz się skrzyżuje z drogą pływaczki, która poruszała się wśród niewielkich rzecznych fal pięknym technicznie stylem. Co chwila wystawiała głowę w czepku nad powierzchnię wody i zaczerpywała tchu.

Poklepał pieszczotliwie swoją aluminiową tuleję. Wyczytał w instrukcji, że tłok z ostatniej komory uderza w tłok komory środkowej, a ten z kolei przechodzi do komory pierwszej i rozbija szklaną ampułkę. W ampułce był płynny kwas pruski, zwany fachowo cyjanowodorem.

Adela kątem oka ujrzała przeszkodę. Zatrzymała się na chwilę. Poprzez warstwę wody spływającą jej po twarzy ujrzała, jak jakiś mężczyzna, zapewne wędkarz, unosi rękę.

Nagle na twarzy poczuła siatkę. Domyśliła się, że ten drab zaatakował ją podbierakiem.

„Pewnie jakiś pijany – pomyślała. – Wziął mnie za rybę, idiota”.

Ale po sekundzie zrozumiała, że dziwny to rybak, który tym podbierakiem wpycha ją pod wodę, zamiast wyciągać.

Oswobodziła się z siatki i wypłynęła na powierzchnię. Ujrzała bardzo blisko swej twarzy burtę kajaku. Otworzyła szeroko usta, aby zaczerpnąć tchu.

Wtedy Naumiak nacisnął spust. Tłok w środkowej komorze tulei rozbił ampulkę z kwasem pruskim. Gazy ze spalania prochu z dużą siłą uderzyły w cząstki płynnej substancji i zamieniły ją w śmiertcionośną mgiełkę. Przedostała się ona jak wietrzyk przez drobne sitko, którym zakończona była ostatnia komora. Na sitku pozostały drobiny szkła.

Adela zamiast powietrza wciągnęła w płuca rozpyloną truciznę.

Dźwięk, jaki wydał strzał z rozpylacza, był nie głośniejszy niż klaśnięcie. W stukocie tramwaju jadącego przez most Poniatowskiego, w wesołych okrzykach ludzi grających w siatkówkę na plaży zanikł jak kropla w rzece.

Trzydziestoczteroletnia Adela umierała. Jej arterie przestały tłoczyć krew do mózgu. Nagły jej niedobór poskutkował paraliżem mięśni.

A potem nastąpił zawał serca.

Nad wodą rozchodził się zapach gorzkich migdałów.

\* \* \*

WIECZOREM MAKSYM NAUMIAK przekazał telefonicznie depezę. W wynajętym mieszkaniu baletnica Anastazja, kochanka Griapinskiego, przepisała słowo w słowo jej treść.

„Pracuję nad wiadomą agentką. Działanie uwodzicielskie. Potrwa to trzy tygodnie. Proszę o kolejny miesiąc. Przewidywany czas następnego meldunku – za tydzień”.

Morderca częściowo wykonał zadanie, zleczone mu przez Szejnbriuka. Zabił przecież agentkę Dwójki – zgodnie z wytycznymi – choć wcześniej nie wyciągnął od niej ani słowa na temat „Pszczoły”.

Nie miał nawet takiego zamiaru. Poszedł przeciw wytycznym. Zabicie Adeli dawało mu czas potrzebny do zlikwidowania kogoś innego. Był pewien, że Szejnbriuk da mu kolejny miesiąc na działanie.

Zbyt szybko pływaczki nie znajdują, a on w tym czasie wykona swoje nie konsultowane z nikim zadanie i Marcin, stary przyjaciel z Wołynia, z którym w dawnych czasach niejednego kułaka końmi rozszarpali i poigrali z niejedną młodocianką, uchroni go przed mściwym Szwabem.

Zresztą miał jeszcze jeden powód do zabicia agentki, całkiem banalny – chciał po prostu sprawdzić, jak działa rozpylacz trucizny.

Tej samej nocy wsiadł do wagonu klasy drugiej pociągu relacji Warszawa–Lwów.

Nie wiedział, czy Łyssy jest w domu, czy jeszcze w Warszawie. Ale we Lwowie musiał uregulować rachunki z Markiem, portierem ukraińskiej bursy przy ulicy Zofii Chrzanowskiej – z tym podłym gadem, który go rok wcześniej wydał polskiej policji. A przy okazji sprawdzi, czy Popielski przyjechał już ze stolicy.

\* \* \*

LEOKADIA TCHÓRZNICKA POCZYNIŁA JUŻ niezbędne przygotowania do wyjazdu całej rodziny na letnisko. Po długich analizach za i przeciw oraz po licznych rozmowach z osobami ze swojej sfery towarzyskiej wybrała na lipcowy odpoczynek Hrebenów – małą wioskę w Bieszczadach Wschodnich, leżącą o sto dwadzieścia kilometrów na południe od Lwowa.

Tamtejszy Poczty Dom Zdrowia imienia Ministra Inżyniera Ignacego Boernera, pięknie położony w otoczeniu lasów szpilkowych, zachwalano

żarliwie. Pobliska malownicza, szeroka rzeka Opór zachęcała do kąpieli, co było dla zawołanej pływaczki Rity wielkim magnesem.

W domu letniskowym, jak zapewniał Leokadię zawiadujący tym obiektem dyrektor lwowskiego Towarzystwa Czynnej Pomocy Pracowników Poczty, serwowano cztery obfite posiłki dziennie z kuchni „we własnym zarządzie” i oferowano „rozmaitość zabaw towarzyskich, telefon, bibliotekę, kort tenisowy, a nawet – fortepian”.

Właśnie to wyposażenie przeważało na decyzyjnej szali – Leokadia nie wyobrażała sobie dnia bez zagrania przynajmniej jednego utworu ulubionego Chopina czy Beethovena.

Zapłaciła zatem stosowną kwotę rezerwacji i poinformowała Edwarda o miejscu ich letniego wypoczynku.

Pozostawało im jedynie dokonać ostatnich przed wyjazdem niezbędnych zakupów.

Popielski przyjechał z Warszawy milczący i nachmurzony, ale spotkanie z rodziną natychmiast przywróciło mu dobry humor. Nie bez znaczenia dla jego nastroju były również nocne rodaków rozmowy, jakie tuż po przyjeździe do miasta odbył ze swoim przyjacielem Wilhelmem Zarembą w restauracji o osobliwej nazwie Łowiczanka.

Tam przy dużej wódce i ulubionej studzinie z chrzanem Wilek go uspokajał i gorąco zapewniał o swym przyjacielskim oddaniu. Radził przy tym, aby się nie obawiał mściwego Futymy, gdyż ten „jest chyba na wylocie, bo po pijanemu coś nabroił”.

O tym, że słowa Zaremby dobrze oddawały niepewną pozycję nienawistnika we lwowskiej policji, świadczył fakt, że szef tejże, inspektor Goździewski, podanie Popielskiego o urlop podpisał bez wahania, a na nieśmiałe pytanie Edwarda, czy toczyć się będzie przeciwko niemu

jakieś postępowanie wewnętrzne w sprawie Wełenczuka, komendant uśmiechnął się tajemniczo i machnął tylko ręką.

Pierwszy dzień urlopu Popielski przeznaczył na ostatnie sprawunki – nie dlatego, iżby nie ufał w tych sprawach Leokadii, ale z tego względu, że chciał kuzynce uczynić przyjemność. Wiedział, jak bardzo lubi ona chodzić po sklepach w jego towarzystwie i pytać go o zdanie w sprawie kupowanych ubrań i kosmetyków. Edward szczerze tego nie znosił i zwykle wywijał się od tych zadań jak piskorz.

Poza tym był naprawdę przekonany, że ta kobieta, ubierająca się z dyskretną, lecz oczywistą elegancją, nie potrzebuje jego rad. Nie mógł zrozumieć, że wciąż go prosi o asystowanie przy garderobianych zakupach, chociaż on na wszelkie pytania, czy ona ładnie w czymś wygląda, odpowiada zawsze twierdząco, z trudem ukrywając znudzenie.

Tym razem postanowił uczynić wyjątek, tym bardziej że przezorna Lodzia już wcześniej uzupełniła była swą letnią i sportową garderobę. Poza tym uznał, że wspólna – we trójkę, wraz z Ritą – wyprawa do sklepów jest dobrą okazją do wzmocnienia życia rodzinnego, targanego ostatnio niekorzystnymi wiatrami.

Udali się najpierw na Sykstuską po buty turystyczne dla Rity. Tam, w magazynie o zagadkowej nazwie Al-Sa-Do, kupili jej traperki tak gustowne, że ucieszona dziewczyna całkiem zapomniała, iż na szyldzie widniał napis „Magazyn Obuwia Dziecięcego”, co początkowo wzbudziło jej silne protesty.

Cała trójka udała się następnie na pobliską ulicę Kilińskiego, gdzie mieścił się Związek Popierania Turystyki Krajowej, przy którym działał sklep oferujący stosowne do nazwy wyroby.

Tam kupili blaszane menażki, które rozpały wyobraźnię dziewczyny. Domagała się ona potwierdzenia, czy słuszne są jej domysły, że naczynia

owe są potrzebne, bo wybiorą się wspólnie na spływ kajakowy, będą nocować w lesie, może tam spotkają niedźwiedzia, a w tych naczyniach będą spożywać posiłki.

Na takie *dictum* jej ojciec nieco się zasepił, po czym – niechętnie i mgliście – przyznał, że może i będzie kiedyś w Hrebenowie taka okazja, choć niedźwiedzi to w tych okolicach na pewno już nie ma.

Leokadia tymczasem kategorycznie stwierdziła, że do lasu się nie wybiera, a poza tym kajak jest dwuosobowym środkiem lokomocji.

W tymże sklepie Edward nabył też masywną laskę piechura, grube wełniane skarpety, a także okrągłą mykę z takiegoż materiału dla ochrony przed słońcem. Kiedy ją włożył na głowę, obie kobiety wybuchnęły śmiechem. Uznały, że ze swą małą bródką i w tej „jarmułce” wygląda jak Żyd, a Leokadia zaczęła się nawet do niego zwracać *per* „rebe”.

Przedostatnim zakładem, do którego zaszli, był Dom Rolniczy przy Gródeckiej. Jego właściciel sprzedał im dwa pęki mocnej liny i trzy worki jutowe. To właśnie w nich miały zostać umieszczone wszystkie bagaże, które nie mieściłyby się w zestawie podręcznym.

Ukoronowaniem tych sprawunków były lody i kawa przy ulicy Hetmańskiej – w cukierni Hel, noszącej równie trafną w odniesieniu do Lwowa nazwę jak knajpa Łowiczanka.

Po tym wszystkim Rita została podwieziona dorożką do swej koleżanki, Jadzi Wajchendlerówny. Z nią oraz z jej braćmi – za pozwoleniem ciotki – dziewczyna miała się udać na pływalnię zamarstynowską.

\* \* \*

NA OWYCH ROSŁYCH MŁODZIEŃCÓW z obawą spoglądał Maksym Naumiak, śledzący Ritę i plażujący na tejże pływalni. Gdyby nie oni, dziewczyna już dawno padłaby ofiarą jego zбочonych fantazji.

Edward z kuzynką pojechali natomiast na ulicę Stryjską, gdzie w swym wielkim mieszkaniu przy parku przyjaciele Łodzi, asesorstwo Stańczakowie, urządzali dzisiaj wieczorek bridżowy.

Edward lubił grać w bridża i nie dał się długo namawiać kuzynce. Postawił jednak jeden warunek: nie będzie z nią grać w jednej parze. Bridżowe utarczki pomiędzy partnerami – czasami nieuniknione – przeradzały się często w gwałtowne kłótnie, a tych przed wyjazdem chciał za wszelką cenę uniknąć.

\* \* \*

NA DWORCU GŁÓWNYM SŁUŻĄCA Leokadii i Edwarda Hanna Półtoranos kupiła trzy bilety do Hrebenowa na pociąg, który kursował wyłącznie latem.

Jego stacją końcową było Ławoczne, kolejowe przejście graniczne do Czechosłowacji. Tym składem jeździli głównie lwowscy letnicy, wybierający się w Bieszczady Wschodnie. Był on wyjątkowy, ponieważ jechał niecałe trzy godziny, podczas gdy w pozostałe miesiące roku włókł się półtorej godziny dłużej.

Hanna, choć dostała jasne instrukcje, jakie bilety ma kupić, czuła się wyraźnie przytłoczona odpowiedzialnością, jaka na nią spadła. Zanim zapłaciła kasjerce, upewniała się kilka razy głośno, czy „to aby na pewno kupiła bilety na jutrzejszy pociąg – szwytki, ekspresowy znaczy”, jak się wyraziła.

Kasjerka długo tłumaczyła pocziwej kobiecie – ku irytacji ludzi stojących w coraz bardziej wydłużającej się kolejce – że jest to pociąg, owszem, dość szybki, ale bynajmniej nie ekspresowy.

W końcu Hanna zrozumiała wszystko, gdy porównała z nadrukiem na biletowych kartonikach wytyczne, jakie jej napisała na kartce panna

Leokadia. Zgadzało się. I tu, i tu godzina odjazdu była ta sama: szósta czterdzieści pięć rano.

Służąca uprzejmie przeprosiła wszystkich w kolejce za swe marudzenie i wyszła z ogromnej hali pięknego dworca.

Bilety schowała głęboko do torebki i wsiadła do tramwaju numer 3. Ulicą Leona Sapiehy pojechała do domu.

Wysiadła wcześniej. Lubiła tamtędy spacerować i podziwiać sklepy i gmachy. Czuła się tutaj obywatelką wielkiego świata, tak różnego od jej rodzinnej wsi Strzelczyska.

Szła powoli, podziwiając piękne kamienice. Nie zwróciła uwagi na dwóch wyrostków w postrzępionych kaszkietach, którzy za nią podążali. Nie słyszała, jak w pewnej chwili przyśpieszyli kroku.

Poczuła nagle szarpnięcie. Brzytwa przecięła pasek od torebki, a tenże przedmiot znalazł się w brudnych rękach wyrostka.

– Ta ludzi ratujci! – krzyknęła Hanna. – Złodziei! Bandyci!

Tymczasem chłopcy już znikali w bocznej uliczce Nikorowicza. Okradziona kobieta wybuchła płaczem.

Spacerowicze przystawali obok ofiary złodziejskiego napadu. Jedni ją wypytywali o rysopis napastników, inni pocieszali, a jeszcze inni pomstowali na bezczelność młodocianych złodziei, którzy obrabowali starszą kobietę niedaleko komendy wojewódzkiej.

Hanna powinna była teraz pójść na policję i zgłosić ten napad, ale w jej duszy poczucie obowiązku wobec państwa zwyciężyło. Straciła bilety? To musi kupić nowe! Pójść do domu, sięgnąć do własnych oszczędności i wrócić na dworzec.

W mieszkaniu wyjęła pieniądze ze skrytki w kuchni. Kiedy wychodziła z kamienicy przy Kraszewskiego, podszedł do niej nagle elegancki mężczyzna pełnej tuszy. Uchylił uprzejmie kapelusza.



Drgnęła ze strachu. Mężczyzna, na oko pięćdziesięcioletni, szeroko się uśmiechał. W wyciągniętej dłoni trzymał jej torebkę z przeciętym paskiem.

– To skandal, szanowna pani – powiedział – żeby tak na ulicy! Złapałem za makitry<sup>56</sup> jednego z drugim i oddali. Niczego nie brakuje!

– Kim pan jesteś? – zawołała wciąż wystraszona. – Komu mi dziękować?

– Wymierzam sprawiedliwość. – Uchylił kapelusza, po czym szybkim krokiem udał się do Ogrodu Jezuickiego.

W kieszeni miał notes, a w nim wypisaną godzinę odjazdu pociągu relacji Lwów–Ławoczne.

Hanna Półtoranos wróciła do mieszkania, chwając dobrego Pana Boga i Świętego Antoniego, specjalistę od rzeczy zaginionych.

Gdy późną nocą państwo wrócili z bridża, obudziła się, ale ze wstydu nie powiedziała im ani słowa o tym, co ją dzisiaj spotkało.

A powinna była.

---

<sup>51</sup> Czerwona gwiazda (ros.).

<sup>52</sup> Polski Rejon Narodowy im. Juliana Marchlewskiego (ros. *Мархлевский польский национальный район*), polskie terytorium autonomiczne w ZSRR, zwane też Marchlewszczyzną.

<sup>53</sup> Przepraszam, towarzyszu komisarzu korpusu (ros.).

<sup>54</sup> Zob. M. Krajewski, *Dziewczyna o czterech palcach*; M. Krajewski, *Pomocnik kata*.

<sup>55</sup> Zob. M. Krajewski, *Dziewczyna o czterech palcach*.

<sup>56</sup> Za łeb (dial.).

## ROZDZIAŁ XII W KLESZCZACH

---

NA LETNISKU EDWARD POPIELSKI POWOLI zapominał o niepowodzeniu warszawskiej misji. Okoliczności sprzyjały zresztą tej amnezji. Pogoda była upalna, lasy pachniały żywicą, a rzeka Opór dostarczała przyjemnej ochłody.

Dom letniskowy okazał się rzeczywiście znakomitą wyboją. Bardzo w nim dbano o czystość i o dobre samopoczucie gości. Jedzenie serwowano smaczne, a rozrywki, liczne i urozmaicone, bawiły rezydentów.

Cała trójka po dwóch dniach przebywania w swoim głównie gronie częściowo się rozdzieliła, bo Leokadia poszła własną wypoczynkową drogą. Z Edwardem i Ritą spotykała się właściwie tylko na posiłkach i na krótkim spacerze po kolacji.

Oddawała się ona aktywności fizycznej i umysłowej – tenis, bridż i fortepian – a w tym czasie Edward spacerował z Ritą po lasach i po pagórkach.

Po trzech dniach Edwardowi i Ricie towarzyszyła nowo poznana koleżanka Rity, starsza o niej o dwa lata Beata Strzygowska, córka lwowskiego fabrykanta sukna. Jej rodzice – ludzie pogodni i towarzyscy – chcieli na początku dołączyć do Edwarda, ten jednak wykazał się w tej kwestii bardzo niewielkim entuzjazmem. Był mrukliwy i pod jakimś pretekstem odmówił wspólnych przechadzek. Poszukali zatem innego towarzystwa, ale córce pozwolili spędzać czas z Ritą, bo mieli pewność, że pod opieką znanego policjanta Beatce nic złego nie grozi.

Leokadia i Edward od początku wzbudzali sensację wśród wczasowiczów. Choć oczywiście wynajęli dwa osobne pokoje – jeden dla pań i jeden dla Edwarda – oraz jasno zadeklarowali wobec obsługi swój status kuzynostwa, to starsze damy wciąż zastanawiały się na fajfach i spacerach, czy Rita jest ich wspólną córką czy też nie oraz czy wraz z nastaniem zmroku i po zaśnieściu panienki pan udaje się z panią do pobliskiego lasu w celach wiadomych. Owe plotkarki były o takich wyprawach głęboko przekonane i nie dawały się zwieść nawet oczywistym przesłankom, iż tych dwoje nic nie łączy poza czystą miłością rodzinną.

Jedną z takich przesłanek było choćby zachowanie Edwarda pozbawione śladów jakiegokolwiek zazdrości. Gdy już drugiego wieczoru na dansingu kilku panów prześcigało się w proszeniu Leokadii do tańca, jej kuzyn reagował na to zupełną obojętnością.

Gdy ta elegancka i atrakcyjna kobieta w średnim wieku wysłuchiwała zachwyty nad swoją grą na fortepianie, jej towarzysz dobrotliwie potakiwał adoratorom.

Gdy grała o poranku w tenisa z instruktorem zbudowanym jak Apollo, a wieczorami w bridża z trzema młodszymi od niej mężczyznami, którzy prawili jej komplementy i zachwalali jej bezbłędne wisty, on machał na to ręką, brał swój kij i czapeczkę, po czym wymykał się nad rzekę lub do lasu.

W tych wyprawach oczywiście towarzyszyła mu najczęściej Rita z koleżanką. Szli wspólnie dwa kilometry nad piękne zakole rzeki i tam dziewczęta opalały się, pływały, a czasami spacerowały po lesie – ale niedaleko, „tak na odległość okrzyku”, jak zarządził.

Edward siedział w tym czasie w zupełnej samotności w starej, rozpadającej się altance z dużym stołem na czterech pieńkach, porzniętym wyznaniem miłości.

W tej hrebenowskiej świątyni dumania, trącej chłodem, wilgocią i wonią gnijącej roślinności, rzeczywiście dumał wśród bzyczenia owadów – ale nie nad losem, swym życiem i światem, lecz najczęściej nad długimi i krótkimi sylabami w Lukrecjuszowym poemacie *De rerum natura* albo nad szachowymi kombinacjami, które rozgrywał na przyniesionej ze sobą szachownicy.

Było mu tam dobrze – z kompotem w termosie, z Lukrecjuszem pod pachą oraz z nieodłącznym papierosem w ustach.

Tego upalnego lipcowego dnia, gdy rozmyślał nad jakimś szczególnie interesującym problemem z zakresu gramatyki łacińskiej, usłyszał za altaną powolne, ciężkie kroki.

To nie mogły być Rita i Beata, które dopiero co poszły do lasu. Poza tym dziewczęta dopiero co poszły do lasu, a nigdy nie wracały wcześniej niż po dwóch kwadransach.

Może to jakieś zwierzę? Wstał i chwycił w garść ciężki kostur. Prawą ręką wymacał nóż finkę. Wiedział, że tamtejsze biedne wioski są często schronieniem dla przemytników i bandytów, którzy nie wychodzą z domów bez siekiery czy noża.

Jego przewidywania okazały się słuszne.

Nagle zza altanki ktoś wypadł i stanął w progu. Popielskiemu stężyły mięśnie, a palce zacisnęły się na kiju i nożu. Był gotów do obrony.

Oba jego narzędzia były jednak całkiem bezużyteczne wobec lufy pistoletu, skierowanej ku sobie. Wobec odbezpieczonego kurka i palca na cynglu.

– Poznajesz mnie, Łyssy? – usłyszał znajomy głos.

– Nie – odparł. – Światło masz za sobą, to nie widzę! Tylko tyle, że grubas z ciebie.

– Ściągałeś mnie na Wołyni, pamiętasz? – Głos wydawał się teraz znajomy. – Razem z Marcinkiem zaleźliśmy ci za skóry, pamiętasz? Maksym Naumiak, całuj rączki! I zaraz ci się pokaży, ali najsampierw to zakujisz się w kajdanki...

Brzęknęło żelazo rzucone na deski stołu. Popielski ani drgnął.

– Jeśli się nie przykujisz do deski od ławki – lufa wzniosła się na wysokość oczu policjanta – to kula roztrzaska ci łepetyni. I wróci tu twoja córunia niespokojna, co się stało... I zobaczy tatusia leżącego w ciapie mózgu. A potem zobaczy koleżankę, jak tej z kolei mózg tryska. A potem mnie. Mnie samego zobaczy gołąbeczka... Bez spodni. Z kutasym, co tak stoi, że wiaderku można na nim powiesić... – Zachichotał. – Ali jeśli się przykujisz, to umrzesz spokojni. Nie będzie strzelaniny, ciapy i ruchania. Dostaniesz szybkiego zawału serca, a ja si ulotni. Co wybierasz, Łyssy? Liczę do trzech. Raz, dwa...

Zawiesił głos.

I nagle o dach altany coś gruchnęło. Edward schylił się szybko. Naumiak strzelił. Kula przebiła deskę nad głową Popielskiego.

A potem rozległ się nowy wystrzał. Edward poczuł na głowie ciepłą, gęstą wilgoć.

I ujrzał, jak na stół wali się otyły napastnik, a do środka wchodzi szczupły wysoki mężczyzna po czterdziestce, chowa pistolet za pasek spodni i spogląda na Edwarda.

Tego to poznał od razu. Leokadia codziennie z nim grała w bridża. Nawet się do niej zalecał i emablował ją.

Mężczyzna się uklonił, a na stole położył kopertę. Po czym zniknął jak cień. Jego kroki zaszleściły na trawie. Edward usłyszał kilka okrzyków po ukraińsku i – wypadłszy z altanki – ujrzał, jak od brzegu Oporu odbija szybko kajak z dwoma ludźmi. Po chwili zniknął za zakolem rzeki.

\* \* \*

NAJPIERW POSZEDŁ NAD BRZEG. Tam twarz i głowę umył z gęstej warstwy mózgu napastnika. Z obrzydzeniem wyrzucił do bystrego nurtu wełnianą myckę, również pobrudzoną tą organiczną substancją.

Potem krzyknął do Rity i Beaty, które wystraszone, wypadły z lasu, aby nie podchodziły bliżej, a, broń Boże, do altanki nie wchodziły, bo tam widok okropny, zdarzył się śmiertelny wypadek i mają iść nad samą rzekę, a on się upewni, czy człowiek żyje.

Po zidentyfikowaniu denata Popielski – z policyjnego przyzwyczajenia – obszedł miejsce zdarzenia dokoła.

Zrozumiał, co się stało. Jeden z Ukraińców kopnął lub uderzył w tył altanki, aby dezorientować napastnika. Ten wystrzelił na ślepo w stronę źródła hałasu, a drugi – ten przystojny bridżysta – w tym czasie wypalił mu w łeb.

– Idziemy! – powiedział do dziewcząt, które przerażone, stały na płachetce rzecznej plaży. – Jakiegoś człowieka zaatakował niedźwiedź. Strzeliłem, zwierzę uciekło, a człowiek chyba nie żyje.

Rita i Beata zaczęły się przekrzykiwać.

– Dlaczego?! – zawołała koleżanka córki, wyrzucając w powietrze to mało precyzyjne pytanie.

– Tu niedźwiedź?! Przecież tatuś mówił, że tu nie ma niedźwiedzi!

– Boże, Boże! On przecież koło nas szedł! Czułam, jak ziemia się trzęsie! – krzyczała podekscytowana Beata.

– Skąd przyszedł?! Skąd on przyszedł, ten miś morderca? – wtórowała jej Rita.

Edward też bardzo by chciał wiedzieć, skąd przyszedł zabójca Naumiaka, a nade wszystko kim był ukraiński wybawiciel.

Popielski był przekonany, że w liście, który miał w kieszeni, znajdzie odpowiedź na to pytanie.

I tak rzeczywiście się stało.

Edwardzie! JW Panie Policjancie Popielski! Strózu prawa Najjaśniejszej Rzeczypospolitej – oby szczęła! – od takiego wielorakiego apostrofu zaczynał się ów list. – Chodziliśmy do jednej klasy w słynnym stanisławowskim zakładzie naukowym. Razem znosiliśmy trudy uczniowskie: deklinowaliśmy i koniugowaliśmy na łacinie, obserwowaliśmy przez bliskowidz komórki pantofelka na biologii, razem recytowaliśmy wyimki z Księgi Rodzaju na religii. Te wspólne przeżycia nie zbliżyły nas, nie kolegowaliśmy ze sobą. Muszę jednak przyznać, że zawsze darzyliśmy się szacunkiem, połączeniem z pewną niechęcią. I tak zostało do dziś.

Nasze drogi rozeszły się całkowicie w roku osiemnastym, w dniach wojny o Lwów, który wy, Polacy, za wasz, a my, Ukraińcy, za nasz uważamy.

Ale i wtedy byliśmy ludźmi honoru. Pamiętasz, jak przerywaliśmy walkę, gdy szkolna dziatwa szła ulicą, a my nasze karabiny dopiero wówczas wznosiliśmy, gdy dzieci bezpiecznie już przeszły poza ich zasięg?

A teraz ja się pytam. Czy wciąż – Ty i ja – jesteśmy ludźmi honoru? Czy za takiego uważałeś mnie, gdym obiecał, że wyjadę do Kanady, ale nie dotrzymałem danego Ci słowa? Gdym się zarzekał, że nie będę walczył przeciwko Tobie i Twojemu państwu, a moi kazali mi powrócić do Lwowa i tu nadzorować akcje przeciwko wam, Polakom-okupantom naszej krainy?

Odpowiedź jest taka, Edwardzie: na pewno uznałeś mnie za zdrajcę danego słowa, za wiarołomnego chachłaka.

Przypomnę. Poprosiłem Cię o wolność, a Tyś się zgodził, pod warunkiem że nie będę już walczył przeciwko Lachom i że wydam Ci zdrajcę i agenta sowieckiego Naumiaka. A ja złamałem słowo – nieważne, że nie z własnej woli.

Nie wierzyli mi, uważali za Twojego szpiega, nie wypuścili mnie do Kanady, kazali wracać na zachodnią Ukrainę. Twój jednak jeszcze dotkliwiej Ciebie wystawili do wiatru, wypuszczając wolno wołyńską bestię.

Edwardzie! Jako człowiekowi honoru nie dawało mi to spokoju, że złamałem dane Ci słowo. Kiedy się dowiedzieliśmy od naszych niemieckich sojuszników z Abwehry, że Naumiak przekroczył polską granicę z fałszywym paszportem, mieliśmy na oku przede wszystkim niejakiego Marka Rudenkę, portiera z ukraińskiej bursy przy ulicy Zofii Chrzanowskiej we Lwowie. Naumiak był błędnie przekonany, że Marko Rudenko wydał go polskiej policji, więc zaprzysiął mu zemstę. Pilnowaliśmy Rudenki dzień i noc, ale w końcu wyjechał on na lotnisko do krewnych w Jaworowie. I wtedy akurat Naumiak przyszedł do bursy.

Od tego momentu nie spuściliśmy go z oka. Jechał pociągiem do Ławocznego wraz z Tobą i z Twoją Rodziną. Tym pociągiem jechał ktoś jeszcze, kto Naumiaka miał na oku.

Na drugi dzień do Twego sanatorium przyjechał pewien bridżysta. Jeśli czytasz ten list, to znaczy, że spełnił swoje pozakarciane zadanie, jakie mu wyznaczyłem.

Nic więcej nie będę pisał. Życzę Twojej ojczyźnie wszystkiego najgorszego, ale Tobie samemu – cóż mam życzyć? Napiszę te życzenia w języku tak niegdyś nam bliskim, którym mówiły nasze i wasze elity, i nasz Chmielnicki, i wasz Czarniecki, w języku dawnej Europy, skąd Moskale i was, i nas usiłowali wyrwać.

Vale, Eduarde!<sup>57</sup>

Stepan

Popielski kategorycznym tonem zażądał od obu dziewcząt zachowania tajemnicy na temat rzekomego ataku niedźwiedzia na człowieka. Kazał im powrócić do pensjonatu i przekazać ciotce Leokadii, aby ta w jego imieniu



zatelefonowała na najbliższy posterunek policji i powiedziała o krwawym zdarzeniu w altance.

Mimo iż dziewczęta obiecały milczeć, a Leokadia z posterunkowym ze Skolego rozmawiała ściszym tonem, to jednak wieść o ataku rozszalałego zwierza rozeszła się lotem błyskawicy.

Dwie godziny później z tegoż miasteczka, leżącego w powiecie stryjskim i oddalonego o dziesięć kilometrów na północ od Hrebenowa, przyjechało na rowerach dwóch spoconych policjantów. Starszy posterunkowy Julian Bosak przyszedł na miejsce zdarzenia i zastał tam spory tłumek miejscowych chłopów oraz letników, którym dostępu do altanki bronił sam komisarz Edward Popielski ze Lwowa.

To na niego właśnie, jako na swojego kuzyna, powoływała się kobieta w rozmowie telefonicznej. Posterunkowy nie przyjechałby we własnej osobie do głupiego wypadku, jakim był atak zwierzęcia na człowieka, i ograniczyłby się do wysłania podwładnego, gdyby nie nazwisko słynnego policjanta, znanego powszechnie na ziemi lwowskiej.

Bosak, ujrawszy skutki strzelaniny, nakazał posterunkowemu Mikołajowi Bojczukowi trzymać z dala tłum, co ten uczynił podniesionym głosem i gwałtownymi ruchami, przypominającymi odpędzanie kur.

Starszy posterunkowy obejrzał trupa, nad którym już zaczęły się unosić ciężkie zielonkawe muchy, i wysłuchał relacji komisarza Popielskiego. Ten już na samym początku przeprosił za swoją bajeczkę o niedźwiedziu.

– Lepiej oszczędzać nerwy młodziutkich panienek. – Bosak pokiwał głową ze zrozumieniem.

Przykrył trupa przywiezionym ze sobą prześcieradłem, po czym nakazał Bojczukowi w te pędy telefonować do komendy powiatowej w Stryju,

zrelacjonować stan faktyczny, zażądać ambulansu, a potem przynieść coś do picia.

Cztery godziny później w Hrebenowie zjawiała się karetka, którą oprócz lekarza i sanitariusza przyjechał szef stryjskiej komendy powiatowej komisarz Piotr Sałaciński.

Popielski oczywiście powiedział, kim jest Maksym Naumiak, i postawił hipotezę, dlaczego ten podjął się zamachu. Motyw zemsty był według Edwarda głównym. O zabójcy Naumiaka nie miał wiele do powiedzenia.

– Nie widziałem go, usłyszałem tylko strzał. Nie wiem, dokąd uciekł. Bardziej martwiłem się o dziewczęta niż o to, kto zabił tę kanalię. Tak czy inaczej, sprawą Naumiaka powinna się zająć defensywa polityczna, a najlepiej kontrwywiad.

Sałaciński wszystko to dokładnie zapisał i obiecał, iż jak najszybciej się skontaktuje z owymi instytucjami.

Wszyscy wykonali skrupulatnie swoje obowiązki i po południu ambulans, obarczony dodatkowo puchnącym już ciałem Naumiaka, odjechał do Stryja.

Na wniosek Edwarda Popielskiego kierownictwo Domu Poczтового imienia Ministra Inżyniera Ignacego Boenera zwołało przed podwieczorkiem nadzwyczajne zebranie wszystkich pensjonariuszy.

Wystąpił na nim sam komisarz, który oznajmił, że dzisiaj przed południem doszło do strzelaniny nad brzegiem Oporu, którą – nie chcąc wzniecać paniki – przedstawił jako atak niedźwiedzia.

– Byłem jej świadkiem i nieomal ofiarą, proszę państwa – perorował w świetlicy pełnej cichych okrzyków i poruszających się wachlarzy. – To były najprawdopodobniej porachunki przemytników. Mój znakomity kolega ze Stryja komisarz Piotr Sałaciński wszystko niezawodnie ustali. Nic państwu nie grozi. Agresor lub agresorzy, którzy zastrzelili swojego wroga,

już tu nie wrócą. Oni mają własne przemytnicze ciemne interesa nad granicą, podobnie jak porachunki! Czy są jakieś pytania?

Owszem, pytań było dużo. Popielski, przyzwyczajony do konferencji prasowych, odpowiadał na nie wyczerpująco i cierpliwie przez ponad godzinę.

Potem – pokrzepiony podwieczorkiem, na który składała się turecka herbata i ciasto zwane sękaczem – poszedł do recepcji. Tam zapytał, czy wymeldował się dzisiaj jakiś gość. Odpowiedź była odmowna.

Recepcjonista zdradził natomiast Popielskiemu, że kucharz miał pretensje, iż nie doniesiono mu, że dwóch gości nie będzie jadło dzisiaj obiadu i podwieczorku, a on – nie wiedząc o tym – przygotował im posiłki. Owi panowie prawdopodobnie wyjechali, bo o tym recepcjonista sam się przekonał, dyskretnie odwiedziwszy ich pokój.

Zastrzegając się, że nigdy nie prosi o okazanie dowodów osobistych, gdy goście płacą za dwa tygodnie z góry, pracownik domu wczasowego podał Popielskiemu nazwiska obu letników, jakie od nich samych usłyszał.

Panowie Pawluk i Naliwajko.

Komisarz uśmiechnął się w duchu. Letnicy nazywali się jak dwaj przywódcy ukraińskich antypolskich powstań w czasach Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Tego wieczoru zrezygnowano z tańców, a Leokadia – wobec nagłego braku dwóch bridżystów – poprosiła pana Strzygowskiego do gry oraz ubłagała Edwarda, aby stanowili bridżową parę. Zgodził się po krótkim wahaniu.

\* \* \*

PO TYGODNIU W DOMU WZASOWYM wygasły już emocje i umilkły rozmowy na temat strzelaniny w altance nad Oporem. Karty, bilard i dancing powróciły do rozkładu dnia.

Popielski nadal chodził na spacerzy z Ritą i panną Beatą, w roli opiekuna wymieniając się czasami z rodzicami tej ostatniej. Już nigdy jednak nie rozstawał się z pistoletem.

Pewnego wieczoru recepcjonista przeszkodził Edwardowi w kolacji, mówiąc, iż dzwonią z policji ze Stryja „w sprawie wiadomej i do aparatu pana komisarza żądają”.

Popielski przeprosił swoje panie, po czym udał się szybkim krokiem do recepcji. Ujął w dłoń słuchawkę i usłyszał głos, którego miał nadzieję już nigdy nie słyszeć.

– Co tam się u was dzieje, kapitanie Popielski? Ze Stryja do Lwowa dzwoniło, do defensywy politycznej, tam kociokwiku dostają i ze mną się kontaktują! – mówił pułkownik Emanuel Krapiński lekko drwiącym tonem, a jego mazowieckie zniekształcenia były bardzo wyraźne. – Co tam się dzieje u was na wsi?

– Nic, panie pułkowniku – powiedział Edward. – Wsi spokojna, wsi wesoła... Tak jak pan mówił, koniokradów łapię, klaczom pod ogony zaglądam...

W słuchawce zapadło milczenie. Trwało ono tak długo, że Popielski aż dmuchnął, aby się przekonać, czy połączenie wciąż trwa.

– Sprawa z tym Naumiakiem jest poważna – rzekł w końcu pułkownik. – Na tyle poważna, że sam jutro się do pana pofatyguję. Niech mi pan da recepcjonistę! Może będzie miał wolny pokój?

\* \* \*

ZBLIŻAŁO SIĘ POŁUDNIE, słońce piekło niemiłosiernie.

W altance, w której zginął Naumiak, siedziało teraz dwóch mężczyzn.

Pułkownik Krapiński ubrał się na biało – w lniany garnitur i w okrągłą czapkę bez daszka. Materiał jego ubrania był bardzo pognieciony, na co siedzący naprzeciwko niego Edward patrzył nader krytycznie. Nigdy nie dawał sobie wmówić, że pogniecione ubranie jest ładne, bo tak zadekretował jakiś słynny krawiec czy inny „car od mody”, jak mawiają Niemcy.

Sam miał na sobie wełniane podkolanówki, krótkie spodenki na szelkach i koszulę z szeroko rozłożonym rozpiętym kołnierzem.

Krapiński dokładnie zapisał wszystkie informacje, jakie od Popielskiego otrzymywał od ponad godziny. Potem wyjął cygaro ze specjalnego skórzanego etui i długo je zapalał, patrząc, jak muchy łążą po wyschniętych smugach krwi Naumiaka.

– Palę cygara tylko przy specjalnych okazjach – rzekł, widząc zdziwione spojrzenie Popielskiego, który nigdy nie widział go palącego cygara.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął z niej kopertę i podsunął swojemu rozmówcy.

Edward otworzył ją i wyciągnął fotografię pornograficzną. Irena Barska siedziała na nim samym i wznosiła oczy ku niebu w ekstazie – udawanej, bo przecież nie rzeczywistej. Oburącz trzymała jego krawat, który miał zawiązany na gołej szyi. Koszula z oderwanymi guzikami odsłaniała jego owłosioną pierś.

Ujeżdżany „rumak” patrzył na kobietę łakomym wzrokiem.

Widząc to wszystko – przypomniał sobie, że wówczas jego cała erotyczna ochota skupiła się w spojrzeniu.

– No i co? – zapytał zaczepnie. – Po co mi pan to pokazuje, panie pułkowniku? Ta kobieta już nie żyje. A ja co? Mam wspominać dawną chwałę?

Krapiński postukał palcem w fotografię.

– Jest pan na tyle obeznany z obyczajami szpiegowskimi, że nie muszę panu przypominać, iż to, co tu widzimy, to jedna z wielu fotoreprodukcji... – Krapiński uśmiechnął się lekko. – Powierzyłem panu tę całą sprawę, bo po misji wrocławskiej sprzed roku<sup>58</sup> miał pan opinię najlepszego tak zwanego łowcy zdrajców. I rzeczywiście, muszę to przyznać, poczynał pan sobie w Warszawie brawurowo. Aż na serio zacząłem się niepokoić, że w końcu do mnie pan dojdzie...

Zdumiony Popielski poruszył się gwałtownie, zachłysnął dymem i zaczął kaszleć. Oczy wychodziły mu z orbit. W końcu zamilkł. Tylko płuca, podrażnione dymem, rzeziły z głębi swych miechów. Spojrzał zdezorientowany na pułkownika. Nie był pewny, czy dobrze zrozumiał to, co usłyszał.

– Naprawdę to mam kryptonim „Pszczola”, a owo pożyteczne stworzenie nie jest żadnym pasożytem. Planowałem działać tylko do końca czerwca, a potem się wycofać.

Oparł łokcie na stole, nie przejmując się, że zielonkawym nalotem drewna brudzi biały len.

– Ale nie tak łatwo odejść z Łubianki. W chałupie, w której Naumiak wynajmował pokój, tu, w Hrebenowie, komisarz Sałaciński znalazł list. List pisany niewątpliwie przez mojego brata. Człowieka u kresu wytrzymałości psychicznej, męczzonego i potwornie gnębianego. – Zacerpnął tchu. –

U Moskali jest też mój bratanek i chrześniak Wiesław. Jego siostra Zuzia gdzieś się ukrywa. Wiesław z rodzicami i siostrą mieszkali koło Żytomierza. I Moskale ich uwięzili... Wszystkich, oprócz dziewczyny, gdy

likwidowali Polską Republikę Autonomiczną, zwaną Marchlewszczyzną. Ten list to pierwszy straszny cios, jaki dostałem. A potem zadano mi cios drugi. W Warszawie Rosjanie zabili moją ukochaną, kobietę, z którą od lat żyłem. Te dwa morderstwa to ostrzeżenie z Łubianki...

Zamknął oczy i przycisnął powieki sękatymi palcami. Kiedy je oderwał, białka oczu były zażawione i zaczerwienione.

– Muszę im dalej donosić, Popielski, bo inaczej moich zabiją! Wiesia utłuką i do mojej bratanicy dotrą. Ale już nie będę im dawał na tacy naszych zagranicznych agentów. Teraz będę im wystawiał Ukraińców działających przeciwko nim w Charkowie, Kijowie, Doniecku, ale i we Lwowie, w Tarnopolu. Właściwie to nie ja sam będę to robił... – Wycelował palec w swojego rozmówcę. – To pan zrobi... Ma pan świetne kontakty z Ukraińcami. Tych hajdamaków to pan będzie Moskałom podawał na tacy. Wrogów Polski innym wrogom. No co? Dobrze to wymyśliłem? Wszak nie będzie pan miał wyrzutów sumienia... Nie podoba się panu ten pomysł? Ojczyźnie się pan przysłuży.

Edward pomyślał o Stepanie Wełenczuku. O człowieku honoru.

Milczał. Czuł pulsowanie w uszach. I browning w kieszeni.

– Jeśli się nie zgodzisz albo jeśli mnie teraz zaatakuje niedźwiedź – Krąpiński jakby zgadywał jego zamiary – to wszystkie te twoje zdjęcia *in flagranti* trafią pewnego dnia do tornistra twojej córeczki Rity.

Popielski poczuł, jak coś zaczyna dławić go w gardle.

– Muszę im dać coś w zamian, aby wypuścili Walka i jego żonę Stasię... Aby oszczędzili Wiesia i Zuzię... – ciągnął pułkownik. – Innego agenta muszę im dać na ich usługi. Pana, kapitanie Popielski. Pan będzie ich agentem.

Potrząsnął głową, a na ustach pojawił mu się ironiczny uśmiezek.

– To nie pan uwiódł Barską, ale ona pana. Kazałem jej to zrobić. Sam mi pan ten pomysł podsunął, kiedy wprost wyraził pan zmartwienie, że te fotografie może ujrzeć pańska Rita... – Odetchnął ciężko. – Wiedziałem, że od czasów sprawy wrocławskiej, kiedy to się pan zakochał<sup>59</sup>, żyje pan jak ksiądz. W celibacie. Wróble na Wysokim Zamku ćwierkają, że już nie jeździ pan salonką do Krakowa na erotyczne eskapady. Byłem więc pewien, że pan, wyposzczony i spragniony kobiety, nie oprze się takiej piękności jak Irena Barska. W odwodzie trzymałem też Filistynkę. Ona była dla mnie gotowa zrobić wszystko. A zresztą chyba się jej pan podobał...

– Niech mi pan powie – Popielski czuł, jak emocje ustępują i wraca logiczne myślenie – jak to wszystko wyglądało... W tych warszawskich teatrach, lokalach. Niech pan wyzna na koniec, pułkownik, jak blisko byłem zdemaskowania „Pasożyta”.

Krapiński myślał przez chwilę.

– Dobrze! Powiem panu, Popielski. Może i przesadzałem z ostrożnością, może i niepotrzebnie organizowałem aż tak koronkowe przekazywanie meldunków. Ale taki już jestem. Poza tym wielkiej, ekstremalnej wręcz ostrożności domagali się Sowieci, bo ostatnio ich wywiad ponosił w Europie wiele porażek. No cóż... Niech pan słucha! Niech się pan czegoś dowie o szpiegowskim fachu. Może będzie musiał pan czegoś się jeszcze nauczyć? Wszak niedługo będzie pan słał meldunki do Moskwy o Ukraińcach. A było to tak: moja agentka Filistynka z pewnego przasnyskiego adresu dostawała...

\* \* \*

ADELA ZIÓŁEK RAZ NA JAKIŚ CZAS OTRZYMYWAŁA z rodzinnego Przasnysza listy, na których jako nadawca widniał „Stanisław Mirowski”.



Kobieta nawet ich nie otwierała, wiedziała, że są to tajne wiadomości dla jej szefa i kochanka.

Listy te, pisane nieskładnie, pełne rusycyzmów – nic dziwnego, pisał je Makar Iwanowicz Griapinski – zawierały banalne informacje i były właściwie o niczym: że ciocia Zosia ostatnio sernik upiekła, a malutka Helusia do kałuży wpadła.

Najważniejsze było tylko w nich to mianowicie, od jakiej litery zaczyna się każde zdanie. Sczytawszy te litery, „Pszczola” otrzymywał nazwisko polskiego agenta. Zdrajca wiedział, że Rosjanie nie mogą mu podać od razu całej listy ludzi, wobec których powzięli jakieś podejrzenia. Oni ich po prostu musieli najpierw przeświecić, a czynili to powoli, analizując mniej lub bardziej prawdopodobne przesłanki ich agenturalności.

W liście były też zdania zawierające liczebniki: a to, że ciocia Zosia dwa kilo drożdży na ciasto kupiła, a to że Helusia, wpadłszy do kałuży, trzy złote zgubiła, i inne tego typu arcyciekawe doniesienia. Pierwsza litera nazwiska oraz owe liczby odnosiły się do rejestru przechowywanego w aktualnych archiwach sowieckich służb.

Krapiński sprawdzał nazwisko agenta w archiwach Dwójki. Z racji swej funkcji do Pałacu Saskiego mógł wchodzić o każdej porze dnia i nocy, co też czynił. Dyżurny oficer zgodnie z zasadami nie miał prawa jego wejść i wyjść rejestrować w księdze.

Zidentyfikowawszy agenta, pułkownik telefonował do konspiracyjnego mieszkania Griapinskiego, gdzie przebywała kochanka tegoż, pewna młoda rosyjska baletnica występująca w warszawskiej operze. Mówił krótko, zawsze przez grubą tkaninę i ze zniekształcającą modulacją głosu, podawał jedynie datę i tytuł sztuki. Mógł oczywiście od razu przekazać wiadomość, że ten a ten jest polskim agentem, ale, po pierwsze, kochance Griapinskiego nie ufał, jak zresztą żadnej kobiecie prócz Adeli, a po drugie – telefon

baletnicy mógł być na podsłuchu. Rosjanin sam sprawdzał, w jakim teatrze jest wtedy wystawiana sztuka lub opera o podanym tytule.

Następnie Griapinski zjawiał się w herbaciarni Pod Samowarem i w ubikacji zostawiał wiadomość dla miłośnika śliwkowych konfitur Adolfa Mantelmachera. Nauczyciel przekazywał wiadomość Barskiemu. Na przedstawienia teatralne chodzili razem z żonami. Krąpiński – organizując swoją siatkę – wyraźnie tego żądał. Uważał, że im więcej ludzi jest podejrzanych, tym bardziej się rozprasza uwaga kontrwywiadowców. Dlatego Mantelmacher bywał na przedstawieniach, choć nikt nigdy nie przekazał mu szpiegowskiego meldunku.

W dzień spektaklu o poranku Krąpiński dawał kopertę swej sekretarce Adeli Ziółek. W kopercie była kartka z informacją typu W425. Jeśli ta informacja była przekreślona, oznaczało to, że człowiek zapisany pod tym symbolem w odpowiednim rejestrze sowieckich służb nie jest polskim agentem. Jeśli nie była przekreślona, mówiło to jedno: na tego wydać wyrok śmierci.

Adela zanosila to swojemu bratu Władysławowi Ślusarczykowi pseudo „Tapeciarz”. Kartotekę policyjną owego bandyty i kieszonkowca z Czerniakowa zniszczył w archiwum kryminalnym nie kto inny jak pułkownik – już dużo wcześniej, aby nikt nie stawiał mu niewygodnych pytań, dlaczego zatrudnił siostrę kryminalisty. Ślusarczyk – rozpoznawalny wśród ferajny po charakterystycznej szramie na pysku – pogonił pod teatrem konkurencję, czyli pobił Edka Sztajera, a innemu doliniarzowi połamał nogi. Ślusarczyk kochał i szanował swoją siostrę, której awans społeczny bardzo mu imponował. Bez najmniejszych zastrzeżeń spełniał prośby jej kochanka, tajemniczego i bardzo wpływowego pana, któremu często służył jako obstawa i nie zadawał przy tym zbędnych pytań. Ochraniany potrafił się odwdziaczyć – choćby pięknym zegarkiem

naręcznym Omega, złożonym w pracowni wybitnego warszawskiego zegarmistrza Ferdynanda Woronieckiego.

Wśród widzów wychodzących po spektaklu „Tapeciarz” wypatrywał mężczyzn z żółtymi goździkami w butonierkach. Wiedział, że jego celem jest przede wszystkim potężny facet z ładną żoną. Gdyby nie udało mu się go zlokalizować, miał włożyć kopertę innemu mężczyźnie z żółtym goździkiem; dla pewności poinformowano go, że to Żyd, a jego żony nie sposób nazwać ładną.

„Tapeciarz” był mistrzem w swoim fachu i zawsze – błyskawicznie i niepostrzeżenie – udawało mu się zaopatrzyć Barskiego w kopertę. Jego ludzie również czynili to zgodnie z regułami sztuki. Po tym jak Edek Sztajer przekazał Popielskiemu wiadomość o znaku rozpoznawczym – szramie na twarzy kieszonkowca, Edward o tym *signum* powiedział Krapińskiemu. Pułkownik nakazał Adeli ostrzec brata przed rzekomymi agentami policyjnymi polującymi na „doliniarzy” i nakazać mu, aby przez kilka tygodni nie pokazywał się na placu Teatralnym. Ludzie Ślusarczyka dobrze wykonali swoją robotę, ale i tak koperty przechwytywali *Burmyło et consortes*.

Zanim jednak to się stało, wszystko szło zgodnie z sowieckim planem. Barski chadzał z żoną do winiarni Simona i Steckiego i tam zostawiał wiadomość za rurą odpływową od spłuczki. Griapinski był w tym lokalu od kilku godzin w większym wesołym towarzystwie. W pewnym momencie szedł do ubikacji i osobiście odbierał meldunek.

W nocy szła na Łubiankę depesza. W ciągu trzech dni po jej otrzymaniu jakiś zagraniczny agent Dwójki przechodził do wieczności.

\* \* \*

– NIE SĄDZĘ, ŻEBYŚMY MUSIELI UŻYWAĆ aż tak skomplikowanej drogi przekazywania meldunków – rzekł Krapiński. – Ale dobrze, żeby pan poznał i taką...

– Pochodzi pan spod Żytomierza, tak? – przerwał mu Popielski. – To tam jest ta Marchlewszczyzna?

– Tak. Czemu pan pyta?

– To skąd te mazowieckie formy typu „żyjo” zamiast „żyją”, „kupujo” zamiast „kupują”?

Pułkownik uśmiechnął się i rozłożył ramiona, jakby chciał swego rozmówcę uściskać.

– Wszystko pan sprawdza, co? Jest pan nieufny? To dobrze. To bardzo dobrze. Odpowiedzią na pańskie pytanie niech będzie próbka moich możliwości... By tak rzec, artystycznych.

Otworzył usta i zamienił się w żydowskiego handlarza.

– Handele! Handele! – wołał. – Numezmaty, gibeliny, landszafty, towary antyczościowy! Nikt nie widział takiego dzieła, co u mnie! *Kojfn, kojfn i giemacht!*<sup>60</sup>

Aż się poklepał po udach z wesołości. Popielskiemu jednak nie było do śmiechu.

– Ta różny szpirytusy tam sprzedawali. – Teraz zamienił się we lwowskiego batiara. – Ja sam widział, jak taki gościuniu jedyn przyszyd do niego, siendnoł sy na krześli i coś tam sobi przy bufeci ubstalował. A samy zliwki dostał taki... – Umilkł i ciężko oddychał. – Mam talent sceniczny, panie kapitanie Popielski. Jak jestem w Warszawie, to trochę po mazowiecku, jak we Lwowie, to po lwowsku... Nie zauważył pan jeszcze, że lubię teatr? No, ale dość tych facecyj! – Wstał i spojrzał na Edwarda, a potem po raz kolejny postukał w zdjęcie. – Niech pan idzie teraz do córki

i pomyśli o niej! Do jutra czekam na pańską odpowiedź. Jeśli będzie negatywna, to zastanowię się, jak by tu się dostać do tornistra panny Rity.

\* \* \*

EDWARD NIE SPAŁ TEJ NOCY, a następnego dnia rano udzielił Krapińskiemu odpowiedzi twierdzącej. Później siedział w hrebenowskiej świątyni dumania i pisał długi list.

Dwa dni później pojechał pociągiem do Stryja, a stamtąd do Stanisławowa.

W mieście swego urodzenia i lat gimnazjalnych odwiedził panią Chrystynę Nikiforów *de domo* Wełenczuk. Siostrę swojego dawnego gimnazjalnego kolegi, która prowadziła tam zakład krawiecki.

Znał ją dobrze w latach szkolnych, a nawet się w niej podkochiwał. Poprosił kobietę, która serdecznie go przyjęła, o przekazanie bratu listu.

Długo się wahała, czy zgodzić się na jego prośbę – wszak Stepan się ukrywał przed polską policją. W końcu się zgodziła – ze względu na dawną znajomość i na słowo, które jej uroczyście dał, że nie wykorzysta tej sytuacji na szkodę brata.

Nie zwiedzał później swego rodzinnego miasta, nie był ciekaw, jak teraz wyglądają jego zakątki – tak niegdyś bliskie sercu. Siedział w barze hotelu Unjon przy ulicy Sapieżyńskiej i wychylał wódkę za wódką – milczący i nachmurzony.

Po kolejnej bezsennej nocy wrócił pociągiem do Hrebenowa.

Wiedział, że teraz cała nadzieja w Stepanie Wełenczuku.

Oraz w śmiercionośnej tulei, którą Edward miał przy sobie.

---

[57](#) Bądź zdrow, Edwardzie (łac.).

[58](#) Zob. M. Krajewski, *Czas zdrajców*.

[59](#) Zob. M. Krajewski, *Czas zdrajców*.

[60](#) Kupować, kupować i po sprawie (jid.).

## EPILOG





Automobil marki Adler z opuszczaną budą jechał środkiem ulicy Trajana w rumuńskim Călimănești.

Prowadził szofer, a za nim na tylnej kanapie Edward Popielski i kapitan Jan Kowalski mierzyli się wzrokiem.

– Ma pan nadzieję, że moja propozycja nie jest równie fałszywa jak nazwisko – odezwał się końcu Kowalski. – Rozumiem ten niepokój. Ale powtarzam. Wykonuję rozkaz. I powtórzę też to, że jeśli poznam dokładnie i uznam za jasną pańską rolę w sprawie „Pasożyta”, zawiozę pana do Bukaresztu i wróci pan do domu.

– Co pan jeszcze chce wiedzieć?! – zniecierpliwiał się Popielski. – I tak pan wszystko wie! Zginął o jeden człowiek za dużo?! Kto?! Pytaj pan w końcu!

– Nie teraz. – Kapitan uspokajająco kiwnął głową. – Niebawem będziemy na miejscu.

Do rzymskiej fortecy Aruteli, położonej nad malowniczą szeroką rzeką Alutą, nad którą wykwiwały łagodne w tym miejscu wzgórza Karpat Południowych, przybyli po kwadransie jazdy.

Wysiedli i ruszyli nad brzeg opadający do wody pod ostrym kątem. Stąpali po fundamentach starych murów, układanych przez dackich niewolników pod okiem rzymskich budowniczych.

Za nimi wznosiła się stara i przebudowywana wielokrotnie forteca, a właściwie jej pozostałości – czyli dwie wieże połączone murem z flankami obronnymi, wspartymi na łukowatych podporach.

Zapalili papierosy. Zamaskowany przez gogle i skórzaną czapkę z daszkiem szofer Rumun podał im ogień i dyskretnie się wycofał do auta.

Kowalski przeczesał palcami gęste włosy.

– Żeby pan wrócił do Lwowa i zaangażował się w walkę jako szef komórki kontrwywiadu ZWZ pod pułkownikiem Smereczyńskim, to musimy najpierw coś sobie wyjaśnić... – Zaciągnął się głęboko papierosem. – Rozumie pan, kapitanie Popielski, że praca kontrwywiadowcza w uciemżonym przez Sowietów Lwowie jest piekielnie trudna. Tam szpicel pogania szpicla, donosiciel donosiciela. Musimy koniecznie wiedzieć, czy jakiś śmiertelny wróg nie siedzi tam w samym sercu naszej organizacji. A tak właśnie może być. I trochę nam się zdaje, że on ma coś wspólnego z dawną sprawą „Pasożyta”... – Zdeptał niedopałek. – Poprosiliśmy o pomoc naszych angielskich przyjaciół zakonspirowanych w Moskwie. Akta „Pasożyta”, a raczej „Pszczoły”, są ściśle tajne, jednak coś tam udało im się ustalić. Otóż cztery lata temu chwalił się on Sowietom, że trzyma w garści ważnego człowieka we Lwowie, który ma donosić na Ukraińców. Potem się okazało, że rzeczywiście w rękach moskiewskich znalazło się trzech bojowców z ukraińskiego UWÓ. Kim mógł być ów lwowianin, kapitanie? Ten, który wydał Moskałom tych trzech Ukraińców? Może pan wie? Może coś przypuszcza? Wszak to na pańskim terenie! Pułkownik Smereczyński nie może efektywnie działać, bo być może ten agent Moskali jest nadal czynny i będzie działał przeciwko nam.

– Nie wiem, panie kapitanie – odparł Popielski. – Ale myślę, że we Lwowie już nie ma nikogo takiego. Gdyby ruski agent o tak wielkich możliwościach wciąż tam działał, to wszyscy nastawieni wrogo do Kremla ważniejsi Ukraińcy z ziemi lwowskiej siedzieliby już na Łubiance. A i nasi z ZWZ-etu również... Z pułkownikiem Smereczyńskim na czele.

Przesłuchiwany oficer oczywiście wiedział, kim był ten, który wydał Sowietom trzech Ukraińców.

To był on sam, Edward Popielski.

\* \* \*

JESIENIĄ ROKU TYSIĄC DZIEWIĘĆSET TRZYDZIESTEGO szóstego pułkownik Krapiński przyjechał do Lwowa swym fiatem 508. Nie towarzyszył mu szofer Wojtanowicz, lecz jacyś dwaj osobnicy, których nikt nie chciałby spotkać w ciemnym zaułku.

Weszli do mieszkania Popielskiego o ósmej rano, gdy ten odsypiał pracowitą policyjną noc. Wpuściła ich służąca, przerażona widokiem legitymacji wojskowej Krapińskiego oraz zakazanymi mordami jego pretorianów.

Na prośbę rozspanego pana poszła sobie na spacer po Ogrodzie Jezuickim, choć deszcz i wiatr nie zachęcały wówczas do przechadzek.

Najpierw jeden z silnorękich walnął Edwarda w nos. Kiedy napadnięty starał się prześcieradłem tamować buchającą krew, pułkownik cedził pełne nienawiści słowa:

– Posłuchaj, łysa pało! Ten pan, który ci sprzedał fangę w nos, to mój człowiek z Czerniakowa. On potrafi mocniej po ryju nakłaść, potrafi i nogi połamać. Potrafi i jakąś kobitkę na siłę wyruchać. A szczególnie go rajcują młodziutkie panienki...

Popielski drżał i przyciskał do nosa mokry od krwi materiał.

– Następnym razem przyjdę tu z nim, kiedy obie twoje panie będą w domu... – sączył jad Krapiński.

– Co jest? – wybełkotał Edward. – Po co tu przyjechałeś?

– Co jest? – Krapiński zaczął go przedrzeźniać. – I on się jeszcze pyta: „Co jest?”. – Chwytał Edwarda za gardło. – Dostałem ultimatum, skurwysynu, rozumiesz? Albo nazwiska Ukraińców, albo mój bratanek Wiesław idzie do piachu! I wiesz, w czyją stronę ja teraz to ultimatum kieruję?

Kopnął go pod żebro. Popielski skulił się i zacharczał. Z góry patrzyli na niego dwaj goryle i bawili się kastetami.

– Masz tydzień – szepnął pułkownik. – Jeśli nie podasz mi w tym czasie trzech nazwisk, twoja córka dostanie przesyłkę. I pamiętaj! Ja już więcej do Lwowa, do ciebie, nie przyjadę, już nie będę się fatygował. Kto inny przyjedzie, jeśli dasz mi taki powód.

Dwa dni później w kanałach, którymi płynęła lwowska podziemna i zamurowana przez Austriaków rzeka Pełtew, spotkało się dwóch dawnych kolegów gimnazjalnych.

Nie witali się wylewnie. Ledwo kiwnęli sobie głowami.

– Powinienem mojej siostrze sprawić niezłe manto za to, że zdradziła ci, jak się ze mną kontaktować – powiedział poważnie Stepan Wełenczuk. – Ona zawsze miała do ciebie słabość.

– Muszę nakarmić potwora – przerwał mu Popielski. – Potrzebuję trzech ukraińskich bojowników za wschodnią granicą, których oddam Moskałom. Oczywiście zdrajców czy innych, których bez żalu się pozbędziecie. Pisałem ci o tym w moim liście.

Wełenczuk kiwał przez chwilę głową.

– Mam go przy sobie – powiedział Ukrainiec. – Parzy mnie on jak rozpalone żelazo, jest jak wyrok śmierci... Nikt z moich o nim nie wie.

– Nie może być inaczej. – Popielski ostrożnie dotknął wciąż opuchniętego nosa. – Jesteś przecież człowiekiem honoru, Stepanie.

Wełenczuk powachlował się kapeluszem.

– O kurwa, ależ tu śmierdzi... – A potem dodał: – Więc już się to wszystko zaczęło? To, o czym pisałeś?

– Tak. Właśnie się zaczęło.

– No, to do roboty, Cyklop! Damy ci trzech naszych zdrajców, którzy pracują dla Moskali w Charkowie. A ty w zamian...

– Wiem, co w zamian.

Popielski podał mu rękę i wyszedł ze lwowskiego hadesu. W głowie wciąż mu dźwięczało przezwisko, jakim go obdarzyli koledzy z klasy, gdy w szóstej gimnazjalnej czytali dziewiątą księgę *Odysei*. Wówczas młody Edek nazwał jednookiego mitycznego olbrzyma zlatynizowaną formą jego imienia.

– Ja ci dam: Cyklop! – wrzeszczał wówczas na niego profesor greki pan Wojciech Forbrich. – Ma być Kyklop! Wbij to sobie do swego durnego łba!

Edward sobie wbił, a we łbach wszystkich innych kolegów pozostało „Cyklop” – przezwisko latynizującego ucznia.

\* \* \*

SIERPNIOWE SŁOŃCE JUŻ ZASZŁO, rzeka Aluta szemrała, a niekiedy wzbijała się małą spienioną falą.

Kapitan Jan Kowalski nie był zachwycony odpowiedzią Popielskiego, która brzmiała: „Nie wiem, kim może być jakiś rzekomy ważny agent sowiecki we Lwowie”.

Mimo wieczoru robiło się duszno. Edward zdjął kaszkiet i powachlował się nim, a Kowalski poluzował kołnierzyk i węzeł krawata z dzianiny. Potem zdjął idealnie dopasowaną marynarkę z jasnego kortu.

– A może będzie miał pan do powiedzenia coś więcej w sprawie tamtego tajemniczego zdarzenia jesienią trzydziestego szóstego na trasie

Warszawa–Lwów? A ściśle mówiąc, na najgorszym odcinku tej trasy pomiędzy Żółkwią a Kulikowem? Pamięta pan tamto zdarzenie, o którym mówiła później cała Polska? A może ma pan na jego temat jakąś hipotezę? Co, kapitanie Popielski? Jakies sugestie? Skojarzenia?

– Jakże mógłbym nie pamiętać? – zachnął się lekko zapytany. – Jeśli cała Polska o tym wiedziała, to i ja też! Ale hipotez nie mam żadnych...

\* \* \*

PIĄTEGO LISTOPADA ROKU TYSIĄC DZIEWIĘĆSET trzydziestego szóstego pułkownik Emanuel Krapiński dostał list od komendanta wojewódzkiego lwowskiej policji inspektora Władysława Goździewskiego.

Dowiedziałem się – pisał Goździewski – że dnia 9 listopada SzPan Pułkownik wybiera się do Lwowa na spotkanie z rumuńskimi generałami z tamtejszego Związku Oficerów Rezerwy. Choć Lwów jest dla nich tylko przystankiem, bo jadą później do Warszawy na uroczystości wręczenia generałowi Rydzowi-Śmigłemu buławy marszałkowskiej, to ja nie wnिकam, dlaczego SzP Pułkownik rad się z nimi spotkać nie w stolicy, lecz w moim mieście.

Byłbym jednak bardzo zobowiązany, jeśliby SzP Pułkownik zgodził się przybyć dzień wcześniej. Nagłość i gorączkowość mojej prośby stąd się bierze, że otrzymałem nieoczekiwane i alarmistyczne doniesienia na komisarza Edwarda Popielskiego, w których przedstawiono mgliste podejrzenia tegoż o szpiegostwo na rzecz Sowietów. Zanim podejmę jakieś energiczne działania w sprawie wyżej pomienionego kom. E. Popielskiego, bardzo znanego i szanowanego w mieście Lwowie, to chciałbym koniecznie skonsultować z SzPanem Pułkownikiem pewne niejasności dotyczące tej osoby.

Dlatego upraszam się SzP Pułkownika o Jego wcześniejszy o jeden dzień przyjazd do Lwowa na ściśle tajną rozmowę na wyżej pomieniony temat i na

kolację w Hotelu George'a dnia 8 listopada o godz. 7 wieczór. Nadmieniam przy tym, iż SzP Pułkownik będzie miał do dyspozycji najwytworniejszy apartament na koszt tutejszej Komendy Wojewódzkiej.

Zgodnie ze starożytną zasadą, iż milczenie oznacza zgodę, brak odpowiedzi ze strony SzPana Pułkownika uznaje się za przyjęcie zaproszenia.

Krapiński, owszem, zaproszenie przyjął i pojechał do Lwowa swoim automobilem Fiatem 508 z nieodłącznym Zdzisławem Wojtanowiczem za kierownicą.

Przejechali już osiem godzin i wyjeżdżali teraz z miasteczka Żółkiew. Pułkownik z niepokojem patrzył na straszliwe błoto, które zalegało na tym ostatnim już odcinku trasy. Jeszcze większy niepokój wzbudzała w nim chłopska furmanka, która stała pośrodku drogi.

Wojtanowicz zatrzymał się, wysiadł, sprawdził, co się dzieje, i zameldował szefowi, że chłopci kończą już naprawiać zwichniętą oś wozu.

Zapalili i czekali. Żaden z nich nie zwrócił uwagi na chłopaka, pasażera furmanki, który wsiadł na rower przywiązany wcześniej do burty, i popędził na nim w deszczu w stronę Kulikowa.

Po kwadransie okazało się, że wóz ma poważniejszą awarię i wraz z pomocą kierowcy Krapińskiego przepchnięto go na pobocze, zachowując wielką ostrożność – tak aby się nie wtoczył do rowu.

Ubłocony niemiłosiernie Wojtanowicz wrócił po dłuższej chwili i fiat ruszył w stronę Kulikowa.

Po kwadransie jazdy, na wysokości wsi Smereków, dostrzegli, że w poprzek drogi stoi ów chłopak na rowerze, zagradza przejazd i wykonuje jakieś gwałtowne ruchy, jakby chciał prosić o pomoc albo poinformować nadjeżdżających o niebezpieczeństwie.

Zatrzymali się. Padał rześisty deszcz. Szoferowi nie chciało się już wychodzić. Zatrąbił. Chłopak, wyglądający jak zmokła kura, zbliżał się ku samochodowi.

Wojtanowicz opuścił szybę. Chłopak dalej wykonywał jakieś gesty i mówił coś po ukraińsku. Kierowca, klnąc ostro, wyszedł z szoferki.

I wtedy z wysokich krzaków, rosnących w rowie, wynurzyli się jak duchy czterej ludzie – wszyscy w podgumowanych płaszczach przeciwdeszczowych. Jeden z nich trzymał w ręku metalową tulejkę.

Pułkownik pomyślał o liście, który miał w kieszeni.

Czuł, że nie został on wcale napisany przez inspektora Goździewskiego. Słuszna to była intuicja. List był dziełem zręcznego fałszerza dokumentów.

Nazywał się on Jurko Czmyr, a nosił pseudonim „Żorzyk”.

\* \* \*

KAPITAN JAN KOWALSKI ZERWAŁ TRAWKĘ i zaczął ją żuć. Śmiesznie wystawała mu z kącika ust. Był pozornie zrelaksowany, ale Popielski wyczuwał, że ten szczupły, wyprostowany jak struna mężczyzna ma teraz mięśnie napięte jak postronki.

Spojrzał w stronę samochodu, o który opierał się kierowca.

– Chodź pan do nas, panie Wojtanowicz!

Szofer zdjął gogle i skórzaną czapkę. Popielski natychmiast go poznał.

Tymczasem ten ukłonił mu się z daleka, z wyraźną rezerwą.

– No! – krzyknął Kowalski. – Chodź pan tutaj i powiedz nam pan dalej, co się działo jesienią trzydziestego szóstego pod Lwowem, gdy ci ludzie już wyskoczyli z rowu!

Zdzisław Wojtanowicz posiwiiał, trochę przytył, ale te cztery lata niewiele go zmieniły.



– Wyszli nagle z rowu – powiedział. – I dostałem w łeb. Straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, może po kilku minutach, jeden z nich stał nade mną. Z silnym ukraińskim akcentem powiedział takie słowa: „Życie zawdzięczasz pewnemu znanemu lwowianinowi”. Tylko tyle. I odjechali wszyscy na rowerach w stronę Smerekowa. Za nami stało kilka aut. To w końcu trasa do Warszawy. Zablokowaliśmy ruch. Ale nikt nie wysiadał. Pogoda była pod psem...

– A pański pryncypał, panie Zdzisiu? – zapytał Edward. – Co z nim?

– Siedział w aucie z wybałuszonymi oczami – odparł Wojtanowicz.

– Lekarze stwierdzili później zawał serca – uzupełnił Kowalski. – Dziękujemy panu za odpowiedzi!

Szofer trzasnął obcasami wysokich butów i szybko się oddalił.

Dwójkarz przystąpił do dalszego przesłuchania.

– Zgon pułkownika Krapińskiego był bardzo tajemniczy. Uznaliśmy, że to napad ukraińskich bandytów tak go poruszył, że serce nie wytrzymało. To możliwe, prawda, panie Popielski?

– Tak, bardzo możliwe – odparł Edward.

– I pewnie postawilibyśmy tu kropkę po tym zdaniu – Kowalski zapatrzył się na mały parowiec, który zatrąbił na ich widok – gdyby nie to, że wciąż nie dawało nam spokoju, co miało znaczyć w ustach ukraińskiego bandyty: „Życie zawdzięczasz znanemu lwowianinowi”. No i nadszedł czas, że zadaję to pytanie panu: kim był ten lwowianin?

Edward spokojnie wypuścił kłęb dymu.

– A skąd mogę wiedzieć?

– A może to pan? Określenie „znany lwowianin” bardzo do pana pasuje.

Popielski milczał przez dłuższą chwilę.

– Pasuje do mnie wiele określeń, panie kapitanie – odezwał się w końcu. – Na przykład „znenawidzony przez wielu lwowianin”. I każdy, kto mnie nienawidzi, może chcieć rzucić na mnie cień. Proszę posłuchać... – Westchnął. – Pod dowództwem Krapieżskiego prowadziłem śledztwo w Warszawie. Mogliśmy się narazić wielu ludziom, a przede wszystkim owemu „Pasożytowi”, którego nigdy nie zidentyfikowano i który nagle przestał nam bruździć. Może wtedy na tamtej drodze pod Lwowem chciał on zastraszyć pułkownika Krapieżskiego? A wymieniając moje nazwisko, chciał... być może... mnie skompromitować czy przynajmniej obrzucić błotem? Pułkownika zastraszył, proszę o wybaczenie, dość skutecznie, a na mnie wciąż chyba cień pada, skoro pofatygował się pan kapitan z Konstancy, aby mnie tu przesłuchiwać, wśród tych rzymskich ruin.

Kowalski długo milczał i obserwował klucz żurawi zmierzających na południe.

– W kraju jest nam potrzebny ktoś taki jak pan – wyrzekł po minucie. – Powiem to panu szczerze. Nie wierzę, żeby był pan uśpionym sowieckim agentem, choć wokół pana jest wiele niejasności... – Chrząknął znacząco. – Ale jednak jestem przeciwny wysłaniu pana do kraju. Może mnie pan przekona, że jestem w błędzie?

Na kamiennym fundamencie rzymskiej twierdzy położył fotografię pornograficzną i przycisnął ją kamieniem, aby nie pofrunęła z wiatrem.

Było to dobrze znane Popielskiemu zdjęcie, na którym Irena Barska siedzi na nim i ciągnie za jego krawat jak za końską uzdę.

– Z powodu tych zdjęć jestem przeciwny – powiedział Kowalski. – One są najważniejszą przeszkodą.

Edward roześmiał się wesoło.

– Nie mogę wrócić do domu z powodu tych zdjęć? Dlaczego? Bo nie dostanę od księdza proboszcza świadectwa moralności?

– Niech pan sobie nie kpi, Popielski! – dwójkarz podniósł głos. – Jeśli my mamy te zdjęcia, to kto jeszcze je może mieć? Sowieci? Niemcy? Ukraińcy? No kto, Popielski?!

Podszedł do Edwarda i chwycił go za bicepsy.

– Nie rozumie pan, do cholery, że takie zdjęcia w rękach wroga to straszliwe narzędzie szantażu?!

– A pan jest moim wrogiem? Bo innych się nie boję!

Kowalski odsunął się od rozmówcy i burknął coś z głębi trzewi. Ten dźwięk zdawał się w jego ustach bardziej niebezpieczny niż krzyk.

– Wypraszam sobie! – rzekł w końcu.

Popielski uśmiechnął się przepaszająco.

– Proszę mi wybaczyć, panie kapitanie! Z nerwów powiedziałem o jedno słowo za dużo. Tak bardzo chcę wrócić do domu i zostawić ten cholerny kraj, w którym zmarnowałem rok życia...

Teraz on chwycił Kowalskiego za ramiona.

– Niech pan posłucha! Ewentualny szantaż? Tak, ale szantażysta musiałby mi zagrozić, że te utrwalone na kliszy brewerie pokaże mojej córce lub mojej kuzynce Leokadii, prawda?

– To właśnie miałem na myśli! – rzekł Kowalski.

– Szantażysta nie dotrze do nich, a inni, którzy by oglądali te zdjęcia, są mi obojętni! Moja córka jest we lwowskim szpitalu pod zmienionym nazwiskiem, panna Leokadia Tchórznicka w zabitej dechami wsi również, *mutato nomine*<sup>61</sup> chłopskie dzieci naucza. Nie dotrze do nich nikt.

Kowalski kiwał głową, ale wciąż najwyraźniej nie był przekonany argumentami swego rozmówcy.

– A pan nie boi się upublicznienia tych zdjęć? – zapytał. – Tak po prostu. Przecież wybuchłby skandal!

Popielski teraz naprawdę szczerze się roześmiał.

– No co pan? Tak między nami mężczyznami, to wcale się nie wstydę tego, co robię na zdjęciu. Źle wyglądam? Chyba dobrze wyszedłem w tym krawacie, nie sądzi pan?

\* \* \*

DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ POPIELSKI witał się z kolumną Mickiewicza na lwowskim placu Mariackim i z lwami na Cmentarzu Łyczakowskim.

16<sup>42</sup>18<sup>01</sup>20<sup>23</sup>

*Powieść ukończyłem o godzinie 16.42 18 stycznia 2023 roku.*

---

61 Po zmianie nazwiska (łac.).

# POSŁOWIE



---

POWIEŚĆ TA BYŁABY DUŻO SŁABSZA, gdyby nie życzliwa pomoc i staranność moich znakomitych współpracowników i redaktorów. Niech serdeczne podziękowania przyjmą *ordine alphabetico*: Dorota Gruszka, Mikołaj Kołyszko, Zbigniew Kowerczyk, Maciej Lamparski, Katarzyna Mach i Karolina Macios.

Pewna osoba, której zdanie wysoko cenię, zwróciła mi uwagę, iż żółte goździki, które są ważnym znakiem rozpoznawczym w powieści *Pasożyt*, były w latach trzydziestych rzadkością, o ile w ogóle występowały na rynku florystycznym. Sprawdziłem tę opinię w sposób skuteczny i najprostszy. Wpisałem mianowicie w okienko wyszukiwarki internetowej hasło „żółte goździki” (oraz różne warianty fleksyjne tej grupy nominalnej), zawęziłem pole poszukiwań do książek i dokumentów wydanych w XIX wieku oraz w latach 1900–1940 i okazało się, że w owych dokumentach rzeczywiście nie było żadnych wzmianek o żółtych goździkach. Wspomniana osoba miała rację. Goździków tej barwy po prostu wówczas nie było, a – mówiąc nieco słabiej – nie ma żadnych o nich informacji w polskojęzycznych tekstach z przeszukanego okresu.

Czy wobec wyników tych poszukiwań powinienem zamienić wszędzie w tekście powieści przymiotnik określający goździki z „żółtego” na „biały” lub „czerwony”? „No pewnie, zrób to, nic prostszego!” – tak sobie natychmiast odpowiedziałem. I już chciałem nacisnąć klawisze CTRL + F, i dokonać tej zamiany, gdy zrozumiałem, że to działanie bardzo skomplikowałoby powieściowe sytuacje. Żółte goździki były wszak znakiem rozpoznawczym właśnie dlatego, że były wyjątkowe i miały wskazywać kieszonkowcom mężczyznę, w którego kieszeni mieli oni umieścić szpiegowski meldunek. Goździki białe czy czerwone nosiło w butonierce smokingu czy fraka wielu elegancko ubranych teatromanów

i melomanów, zatem ów element garderoby nie byłby dla doliniarzy warszawskich żadną wskazówką. Pozostałem zatem z rozmysłem żółte goździki, a w tym miejscu chcę tylko zapewnić Łaskawego Czytelnika, że zdaję sobie sprawę z tej anachronicznej usterki.

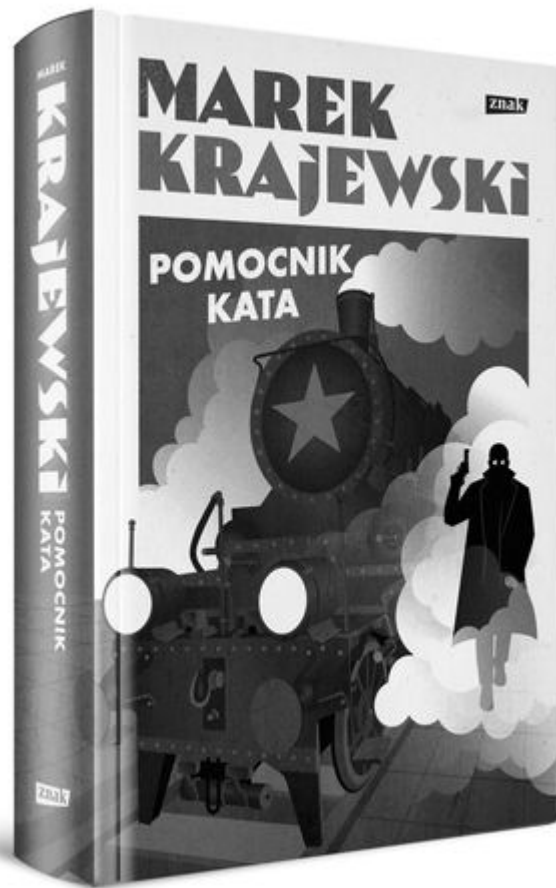
Prosząc o wybaczenie innych błędów, oświadczam, iż za wszystkie tylko ja jestem odpowiedzialny.

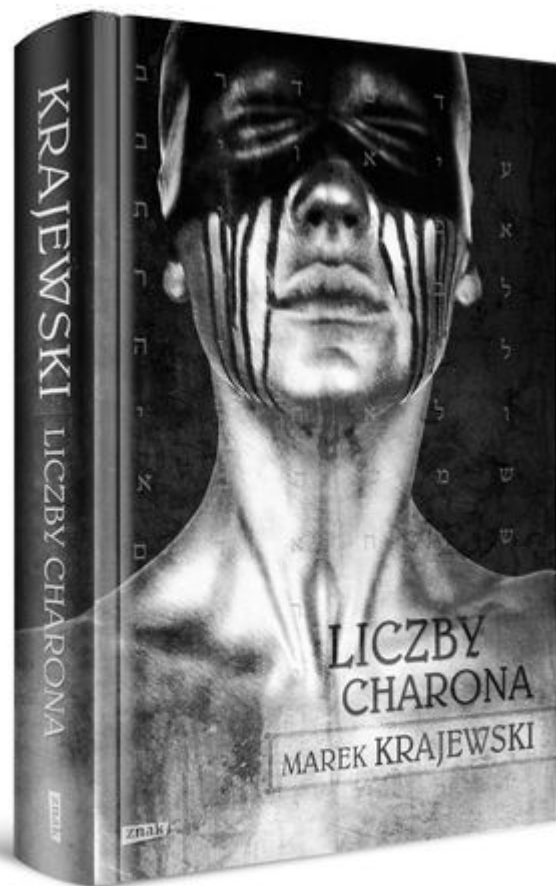
*Marek Krajewski*



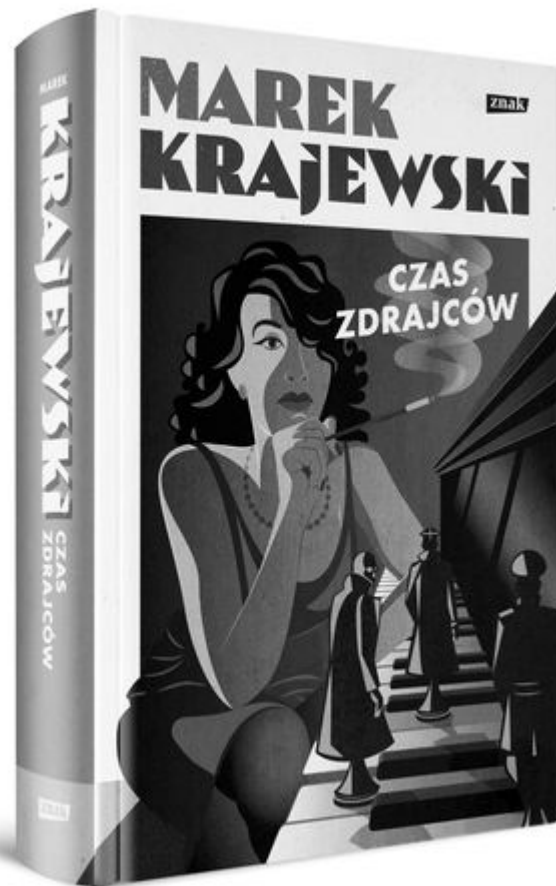
Książki Marka Krajewskiego o Edwardzie Popielskim  
(według chronologii wydarzeń)

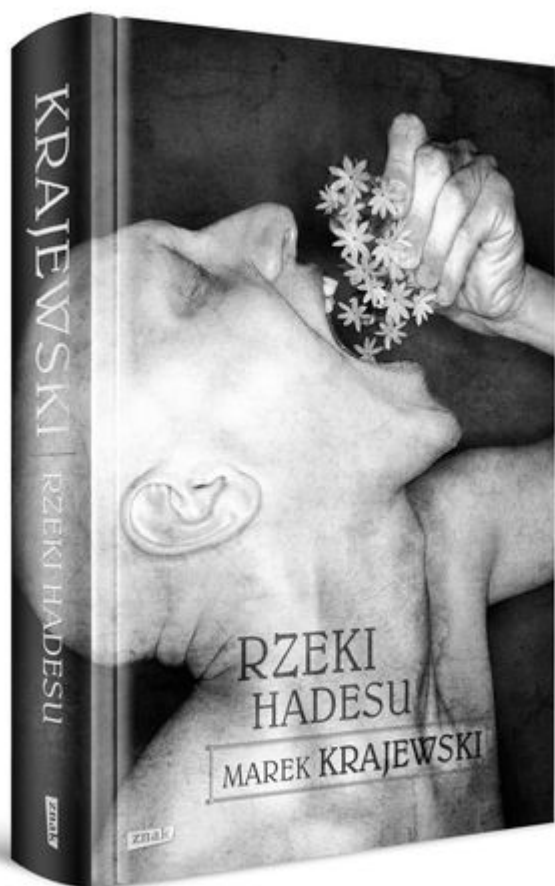










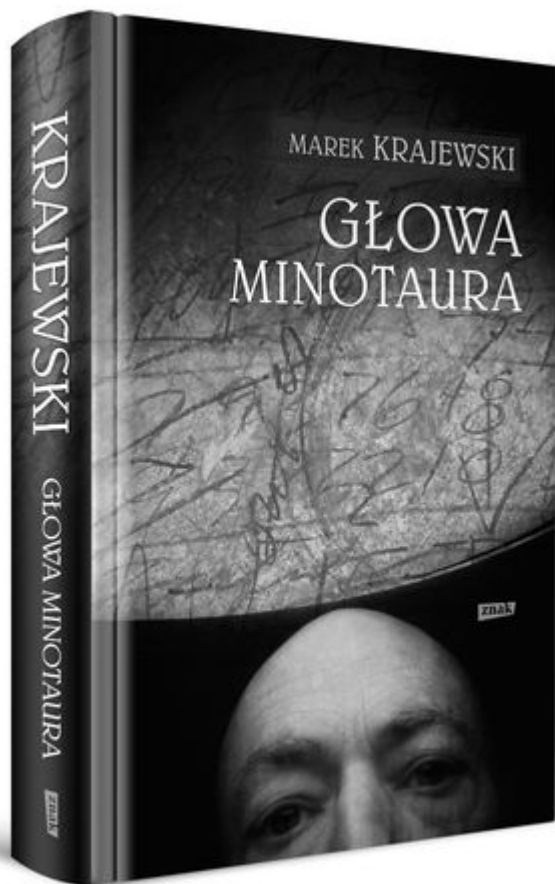


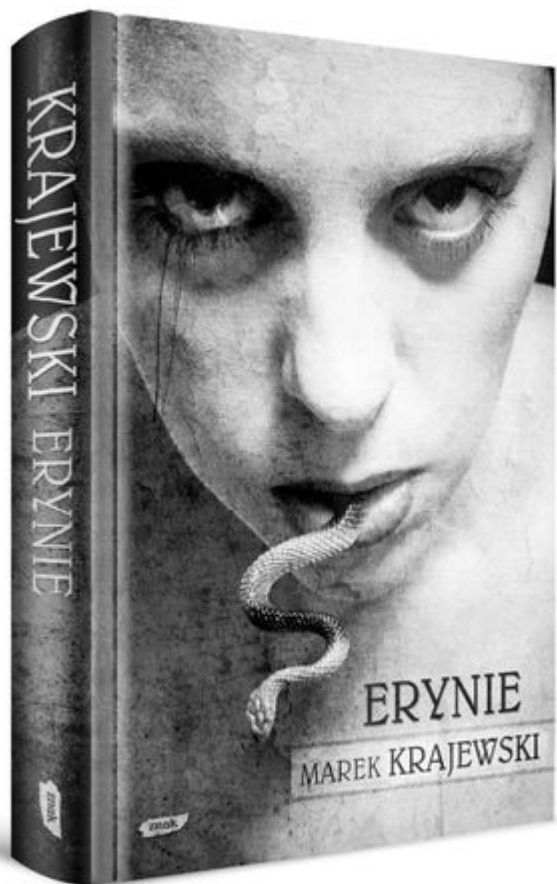
KRAJEWSKI | RZEKI HADESU

RZEKI  
HADESU

MAREK KRAJEWSKI

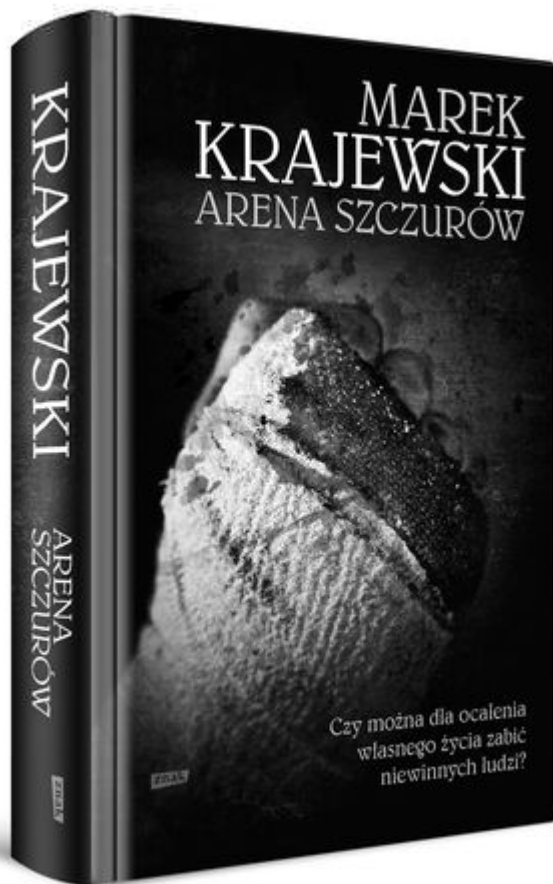
ZNAK











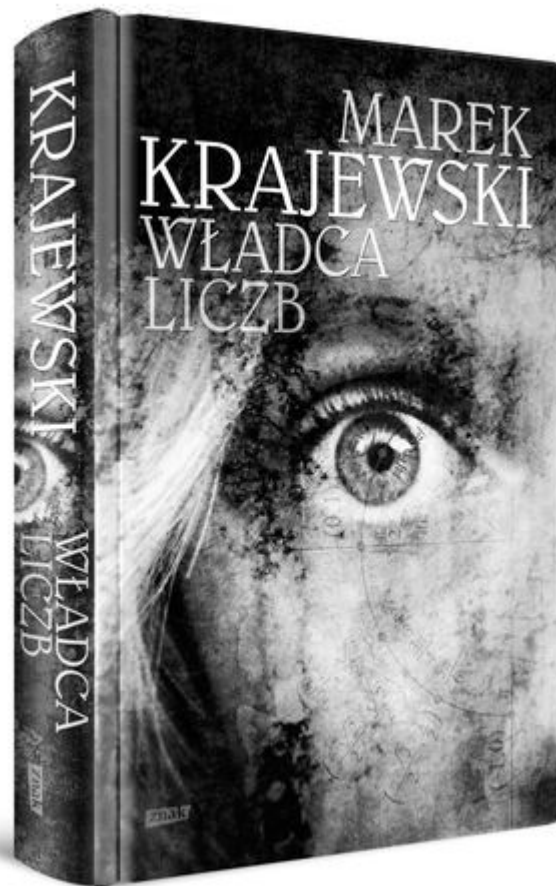
MAREK  
KRAJEWSKI  
ARENA SZURÓW

Czy można dla ocalenia  
własnego życia zabić  
niewinnych ludzi?

KRAJEWSKI

ARENA  
SZURÓW

EMMIS



MAREK  
KRAJEWSKI  
WŁADCA  
LICZB

KRAJEWSKI  
WŁADCA  
LICZB

Książki Marka Krajewskiego o Eberhardzie Mocku (według  
chronologii wydarzeń)

---

*Mock. Pojedynek*

*Mock*

*Mock. Ludzkie zoo*

*Blaganie o śmierć*

*Widma w mieście Breslau*

*Mock. Golem*

*Dżuma w Breslau*

*Koniec świata w Breslau*

*Moloch*

*Diabeł Stróż*

*Śmierć w Breslau*

*Głowa Minotaura*

*Festung Breslau*

Projekt okładki  
Michał Pawłowski  
[www.kreskaikropka.pl](http://www.kreskaikropka.pl)

Opieka redakcyjna  
Dorota Gruszka

Współpraca  
Aleksandra Pietrzyńska

Redakcja  
Zbigniew Kowerczyk  
Karolina Macios

Adiustacja  
Katarzyna Mach

Korekta  
Barbara Gąsiorowska  
Katarzyna Onderka  
Ryszard Winerowicz

Copyright © by Marek Krajewski  
© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2023

ISBN 978-83-240-6744-2

**znak**

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Więcej o naszych autorach i książkach: [www.wydawnictwoznak.pl](http://www.wydawnictwoznak.pl)  
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Wydanie I, Kraków 2023.

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Angelika Kuler-Duchnik